TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ŁÓDŹ

ODGŁOSY

ROK XX NR 49 (1043)
4 GRUDNIA 1977 R.
CENA 3 ZŁ

EUGENIUSZ IWANICKI str. 5

ziemia chce rodzić

RYSZARD BINKOWSKI str. 4

powszechny odzew

Tomasz Soldenhoff str. 3

TAJEMNICA BIAŁEJ TECZKI

Szyjemy buty miastu

STRONA 6

PROZA

Edwarda Szustra i Władysława Rymkiewicza

str. 8-9

TADEUSZ GICGIER

RODZINA INWESTYCYJNA

A W A R I A

Była godzina piąta po południu, gdy szef zakładu wrócił do domu. Żona przygotowała spóźniony obiad, a on wyciągnął się na leżance i odpoczywał. Wtorek, do niedzieli jeszcze bite cztery dni, kiedy to będzie mógł wyskoczyć na ryby i odprężyć się tak naprawdę. „Wysiąść z tego ekspresu" — jak napisał pewien dziennikarz. Myślał o tym, że przecież niedawno wrócił z urlopu, a już zdążył o tym zapomnieć. Może to skutek niezbyt udanych wakacji, lało prawie bez przerwy tego lata i nic nie wyszło z zamiaru wygrzania się na plaży, wypławienia w morskiej wodzie. Bo woda morska a deszczowa to jednak różnica.

Wtedy zadzwonił telefon. Dyrektor rozpoznał głos kierownika elektrociepłowni, starego kumpla, z którym pracował przy budowie zakładu:

— Szefie, wypadek w kotłowni.

— Co się stało? Czy coś groźnego?

— Pękły rury w kotle. Musimy natychmiast działać.

Wypadł z mieszkania tak jak stał. Blok awaryjny znajduje się o parę minut drogi od zakładów. Te parę minut wystarczy jednak, by z całą wyrazistością przypomniał sobie podobny wypadek, który zdarzył się wiele lat temu. Wtedy rozerwało kocioł, wyleciały szyby w całym zakładzie, a nawet w pobliskich blokach mieszkalnych. Ale teraz nie słyszał przecież wybuchu...

Najpierw upewnił się czy nie ma ofiar w ludziach. Nie było. W halach ciemno, turbina nie pracuje. Trzeba jak najszybciej włączyć oświetlenie zastępcze, żeby nie było paniki. Jak na złość, drugi kocioł jest w remoncie, a tu bilans pary bardzo napięty i gdy coś nawali w kotłowni — wszystko stoi. Nie tylko zresztą Sira.

Stoją od razu trzy zakłady, także mleczarnia i gorzelnia, którym dostarczają parę. Trzeba szybko ściągnąć fachowców do naprawy. Normalnie naprawa powinna trwać trzy dni, ale jeśli brygady będą pracować w dzień i w nocy, może uda się rzecz załatwić w jedną dobę.

BYŁEM TAKŻE PALACZEM

Dyrektora **Zbigniewa Smoka** poznałem wiele lat temu. W budujących się zakładach sprawował funkcję inspektora nadzoru robót wodno-kanalizacyjnych i odpowiadał za wszystko, co łączyło się z wodą i parą.

— Pewnie się starzeję, bo pamiętam każdy szczegół z tamtych lat. Sira ma lat dwadzieścia, to panna w kwiecie wieku, a ja mógłbym być jej ojcem. Zresztą w jakimś tam stopniu jestem: byłem przy jej narodzinach. Hala była już gotowa, a kotłownia nie. Brak synchronizacji robót budowlanych. Do dziś się z tym nie uporaliśmy, cóż dopiero wtedy, w latach pięćdziesiątych. Nadchodziła zima, trzeba było ogrzać halę, by ludzie mogli montować w niej maszyny. Były dwie alternatywy: albo przerwać montaż, albo coś wykombinować. Rada w radę, postanowiliśmy zwrócić się o pomoc do kolejarzy. Pojechaliśmy do Karsznic po parowóz. Udało się, kolejarze odstąpili nam wycofaną z użytkowania lokomotywę i oddelegowali do nas maszyniste. Wróciliśmy na lokomotywie, zagwizdaliśmy podjeżdżając torami pod halę. Monterzy śmieli się, ale ruszyli zaraz do podłączania rur. Wtedy wyłoniły się nowe kłopoty, bo rury zamarzały, trzeba je było zabezpieczać przed mrozem. Któregoś razu maszynista nie przyszedł, więc musieliśmy palić w lokomotywie sami. Przy budowie nauczyłem się kilku zawodów, także zawodu palacza.

CO TO ZA BELKI?

— Było nas takich trzech — powiemi później pan Marek Pawlak, kierownik elektrociepłowni. — Nasz obecny dyrektor, ja, no i Zdzisiek Jakubowski, starszy mistrz warsztatów mechanicznych, którego nazywają złotą rączką, bo tak się zna na maszynach. Wtedy zajmował sie montażem maszyn, poznawał je od podstaw — dosłownie i przenośnie. Ja prowadziłem roboty elektryczne. Wszyscy trzej pochodziliśmy z sieradzkiego, to nas zbliżyło do siebie. Chodziło się w gumiakach i w kufajce. Nazwano nas wtedy „rodziną inwestycyjną" i tak już zostało.

No więc my i budowlani, wielu z nich pracuje tu także do dnia dzisiejszego. My mieliśmy swoje kłopoty, oni swoje. Zakład powstawał blisko Warty, ważna jest dla nas ta woda pod ręką, ale gdzie rzeka, tam i piaski. Robiono wykopy pod rury wodociągowe i wtedy natrafiono na kurzawkę. Kurzawka, wiadomo, nie daje się kopać, szło to wszystko bardzo opornie, ale wreszcie udało się założyć szalunki. Założyć to założyć, ale jak je potem wyciągnąć z tych ruchomych piasków? Zdrowe belki, było ich szkoda, ale musiały pozostać w ziemi. Wyjmowanie groziło wypadkiem, mogło kogoś zasypać. Tak więc zostały w ziemi i kiedy wykopią je przyszli archeolodzy, będą się głowić, co to za belki i do czego one służyły.

PO DRUGIEJ STRONIE TORU

Tak nazywał się mój reportaż z Siry, pisany w początku lat sześćdziesiątych:

„Od dłuższego czasu nie dawały mi spokoju te światła za torami. Jeżdżę tą trasą dosyć często, w samym mieście po lewej stronie torów bywam też przynajmniej dwa razy w roku. Pamiętam, że którejś zimy zobaczyłem je tam po raz pierwszy. Białe punkciki — te niżej, i czerwone — zawieszone wysoko w ciemnościach. To były światła budowy. W jakiś czas później spostrzegłem, że czerwone punkciki znikneły jakby wessała je w siebie ciemność. Za to białe rozmnożyły się niepomiernie. Idę na przełaj polami, tyle, że nie jakąś polną dróżką a szerokim, wydeptanym przez dziesiątki stóp gościńcem".

Tak szedłem do Siry przed piętnastu laty. Teraz nie można tu już dojść polami, miasto się rozbudowało, powstały nowe zakłady przemysłowe. Ale Sira jest ciągle jednym z największych zakładów w Sieradzu, a także na terenie nowo powstałego województwa sieradzkiego, wliczając w to fabryczną Zduńską Wolę.

Dalszy ciąg na str. 7

RECENZJE: TEATR – LITERATURA – MUZYKA

WŚRÓD LALEK I MASEK

W minioną sobotę dobiegł końca Ogólnopolski Przegląd Sztuk Rosyjskich i Radzieckich w Teatrach Lalek, zainicjowany i zorganizowany przez łódzki PTL „Pinokio" z okazji 60 rocznicy Wielkiej Rewolucji Październikowej. Przegląd, akceptowany przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, odbywał się pod patronatem Urzędu Miasta Łodzi i Zarządu Łódzkiego TPP-R, a prezydent miasta i przewodniczący ZŁ TPP-R ufundowali dwie główne nagrody, postawione — podobnie jak nagrody dla realizatorów i aktorów — do dyspozycji Komisji Artystycznej.

Komisja, w której pracach niżej podpisany miał zaszczyt brać udział, miała o tyle niełatwe zadanie, że przyszło jej porównywać i oceniać sztuki zrealizowane w różnych technikach, nadto adresowane do widzów w różnym wieku, dzieci, młodzieży i dorosłych. Zarazem — jako że poprzedni przegląd sztuk rosyjskich i radzieckich miał miejsce dziesięć lat temu, również zresztą w Łodzi — oglądaliśmy przedstawienia o różnym scenicznym stażu, od bardzo już leciwych, jak pochodząca z 1968 r. inscenizacja Dormana, po premiery najnowsze.

Słyszało się jednocześnie głosy, że impreza została zapowiedziana dość późno, stąd niektóre teatry wręcz zrezygnowały z udziału, a innym zabrakło czasu na przygotowania. Oczywiście chętnie widzielibyśmy w Łodzi jeszcze kilka innych, „liczących się" w Polsce scen, jednak w braku czasu nie upatruję żadnego nieszczęścia, od spektakli realizowanych z myślą o tym czy innym festiwalu, wolę bowiem przedstawienia szeregowe, eksploatowane w normalnym repertuarze, gdyż te więcej i prawdziwiej mówią o stanie lalkowego teatru. A ten — patrząc z perspektywy łódzkiego przeglądu, choć i po festiwalu opolskim podniosły się podobne głosy — trudno niestety uznać za w pełni kwitnący i obradzający szczególnie ciekawymi inscenizacjami.

W sumie przeżyliśmy chyba więcej rozczarowań niż chwil prawdziwie radosnych, które przede wszystkim wiążą się z przedstawieniem łódzkiego „Pinokia" i brawurowym debiutem reżyserskim Konrada Szachnowskiego, absolwenta Lenigradzkiego Instytutu Muzyki i Kinematografii. Jednocześnie trafiały się przedstawienia reżysersko niedopracowane, albo też znakomicie rozpoczęte i przedziwnie załamujące się w części drugiej, jakby twórcom zabrakło nagle pomysłów i rozpędu. Słuchaliśmy ogromnie interesującej muzyki Władimira Daszkiewicza do „Bumbarasza", zepsutej, ba, zniweczonej fatalnym nagraniem i odtworzeniem. Tradycyjnie już mocną stroną okazała się scenografia, ale też aktorzy nie zawsze otrzymywali lalki, które pozwoliłyby wykazać się kunsztem animacyjnym, z kolei inne — umieszczane w żywym planie — mimo częściowego zastosowania masek chcąc nie chcąc musieliśmy porównywać z aktorami scen dramatycznych. I najczęściej — powiedzmy to otwarcie — lalkarze nie wychodzili z tych porównań zwycięsko....

Spróbujmy jednak uporządkować cokolwiek wrażenia, choć i tak mówić chcę jedynie o spektaklach zgłoszonych do przeglądu, a oglądaliśmy również imprezy towarzyszące, przedstawienia zrealizowane przez twórców radzieckich: „Samosiejka" J. Jelisiejewa w wykonaniu Teatru Lalki i Aktora „Baj" z Warszawy, oraz uhonorowanego nagrodą „Expressu Ilustrowanego" „Wielkiego Iwana" Obrazcowa i Preobrażeńskiego w wykonaniu Teatrtu Lalek „Banialuka" z Bielska-Białej.

We właściwym przeglądzie znalazło się natomiast siedem teatrów z siedmioma przedstawieniami, z których cztery adresowane były dla dzieci, a trzy dla młodzieży i dorosłych, choć oczywiście w codzienności teatru lalek proporcje te rozkładają się cokolwiek inaczej.

Odbiegając od chronologii zacznijmy może od „Budy jarmarcznej" i „Dwunastu" Aleksandra Błoka w wykonaniu Teatru Dzieci Zagłębia z Będzina, iżby mieć już za sobą omówienia część najmniej przyjemną. Jeden z jurorów, znający spektakl Jana Dormana sprzed lat wielu, kiedy w przedstawieniu palił się jeszcze żywy ogień, nazwał łódzkie wykonanie „mumią widowiska" i radbym mu wierzyć na słowo, bo sam nawet kontrowersyjnej urody nie zdołałem się tu dopatrzeć. Mało komunikatywne, pretensjonalne, zimne i martwe, a jednocześnie straszliwie amatorskie w wykonaniu (z wyjątkiem, bądźmy sprawiedliwi ogromnie wyrazistej Bożeny Wojnickiej w roli Sprzątaczki) — przedstawienie brzmiało pusto i głucho, nie znajdując żadnego odzewu na widowni. Zresztą zbyt młodej, w większości trzynasto- czy czternastoletniej, gdy trzeba dobrze znać twórczość Błoka, aby próbować się z tym spektaklem mierzyć.

Przedstawienie krakowskiej „Groteski" — „Bumbarasza" Arkadego Gajdara w reżyserii Fredy Leniewicz — nazwałbym z kolei spektaklem szans zaprzepaszczonych. Reżyser miał do dyspozycji wszystko, interesujący tekst, wartościową muzykę, bardzo dobrą i funkcjonalną scenografię Andrisa Freibergsa wraz z interesującymi maskami Kazimierza Mikulskiego, duży i sprawny zespół aktorski, a jednak wybitnego przedstawienia stworzyć nie zdołał, choć dał nam kilka obrazów doprawdy bardzo pięknych. Zapamiętaliśmy finał, zapamiętaliśmy scenę w kolejowym wagonie, czy też znakomicie komponującą się plastycznie scenę lamentacji wiejskich kobiet, zabrakło jednak konsekwencji w stosowaniu masek, jasnej myśli przewodniej, a i odtwórcy roli tytułowej również. Z Łodzi przywiozła „Groteska" nagrodę za oprawę plastyczną i nagrodę aktorską dla Janusza Karcza za rolę Jaszy — rewolucjonisty, miała jednak wszystkie szanse, aby przywieźć tych nagród więcej.

Główną nagrodę w kategorii przedstawień dla młodzieży i dorosłych otrzymał w rezultacie warszawski „Guliwer" za „Słowo o wyprawie Igora", inscenizację staroruskiej byliny w przekładzie Juliana Tuwima. Ali Bunsch — odwołując się do ikon i bizantyjskiego malarstwa — dał tu przepiękną (również zresztą nagrodzoną) oprawę scenograficzną, operując płaskimi lalkami, trudnymi wprawdzie do animacji, ale obdarzonymi ogromną siłą wyrazu. W pierwszej części widowiska — zwłaszcza w scenach przemarszu ruskich wojsk i bitwy z Połowcami — Monika Snarska możliwości lalek wykorzystała do kresu, tworząc spektakl pełen malarskiego rozmachu, w drugiej zabrakło już jej jednak nowych reżyserskich pomysłów, a finał był tu najsłabszy. Szkoda, bo ten wartościowy spektakl mógł stać się wydarzeniem artystycznym miary najwyższej.

Tyle obejrzeć mogli dorośli, choć na dobrą sprawę do nich również adresowana była „Komedia Pietruszki" Jana Ośnicy, boć wywodzący się z ludowego teatru rosyjskiego pierwowzór bawił ongiś wszystkich, tak starszych, jak i dzieci. Przedstawienie niezbyt udało się jednak Opolskiemu Teatrowi Lalki i Aktora im. A. Smolki, zresztą każda, nawet częściowa próba rekonstrukcji jest sprawą delikatną, jako że publiczności zrekonstruować się nie da i zawsze będzie ona patrzeć na widowisko swoimi własnymi oczyma. A ustawiczne walenie wszystkich pałką po łbie zdaje się nam dziś stosunkowo mało zabawne, zwłaszcza kiedy i do wykonania aktorskiego również można mieć zastrzeżenia.

Z dwóch „Koników garbusków" Piotra Jerszowa — w realizacji „Arlekina" i Teatru Lalek „Czerwony Kapturek" w Olsztynie — wyżej oceniłbym przedstawienie łódzkie, za kulturę, dyscyplinę artystyczną, sprawną reżyserię Stanisława Ochmańskiego i wyrównane aktorstwo z nagrodzoną rolą Zdzisława Owsika (Car), oraz Mieczysławem Gryglasem (Starosta) na czele.

Żywsze i wdzięczniejsze scenicznie było natomiast opracowanie tekstu dokonane przez Władysława Jaremę, co Leszkowi Śmigielskiemu — reżyserowi olsztyńskiego spektaklu — pozwoliło na stworzenie barwnego, choć raczej wątłego aktorsko spektaklu. Udała się natomiast i solennie wsparła przedstawienie nagrodzona muzyka Bogumiła Pasternaka.

Łódzkie „Pinokio", w moim przekonaniu jak najbardziej zasłużenie, za realizację sztuki Władimira Masłowa „Iwan carski syn, szare wilczysko i inni" otrzymało nagrodę główną w kategorii spektakli dla dzieci, co łącznie z nagrodą za reżyserię i nagrodą aktorską dla Mieczysława Dyrdy (Car II) stanowi piękny sukces tego ogromnie ostatnio aktywnego i nieustannie poszukującego teatru.

Oczywiście w reżyserii Konrada Szachnowskiego można dopatrzeć się usterek, a w spektaklu niepotrzebnych dłużyzn, liczy się jednak znakomity i śmiało przeprowadzony pomysł połączenia żywego planu z lalkami pacynkami oraz zastosowania przenośnych parawaników oddzielnie dla każdego aktora. Liczy się interesująca scenografia Jerzego Michalaka, jak również bardzo dobre wykonanie aktorskie, bo na uznanie zasłużyli również Jan Pieczątkowski (Iwan), Jan Ptaszyński (Piękna Wasylisa), a właściwie cały zespół.

O spektaklu godziłoby się napisać więcej, ale premiera odbyła się tak niedawno, że będzie jeszcze po temu okazja. W każdym razie zarówno przedstawienie, jak i udany debiut reżyserski możemy śmiało zaliczyć do pozytywnych osiągnięć łódzkiego przeglądu. W połączeniu z kilkoma wartościowymi spektaklami nie jest to zapewne całkiem mało, choć miejmy nadzieję, że następny przegląd da więcej. Z pewnością bowiem warto go powtórzyć i to niekoniecznie aż za dziesięć lat...

JERZY PANASEWICZ

WIZERUNEK PISARZA

Bywa tak, że obraz autora, który sobie wyobrażamy na podstawie jego dzieła, bogaci się albo ubożeje po osobistym poznaniu. Nie zawsze postępowanie człowieka jest zgodne z jego — w tym wypadku artystycznymi — deklaracjami. Nieraz są to dwa różne portrety. Ludwik Fryde, krytyk okresu międzywojennego, współpracownik wielu pism literackich, autor rozpraw teoretycznych i krytycznoliterackich, a także współautor, razem z Antonim Andrzejewskim „Antologii współczesnej poezji polskiej", był zgodny z tym, co pisał i co robił. Znałem go, gdyż często przychodził do naszego studenckiego pokoju, najpierw na ulicy Sosnowej, potem na Ogrodowej w Warszawie. Mieszkaliśmy razem z Janem Aleksandrem Królem, Król był moim kolegą i przyjacielem z ławy szkolnej. Chodziliśmy do gimnazjum kieleckiego, które szczyciło się Dygasińskim i Żeromskim. Król był zdolny, bystry, inteligentny. Zapowiadał się jako utalentowany krytyk i publicysta. Drukował także w tygodniku „Orka na ugorze". Pisze o tym Kazimierz Koźniewski w „Historii co tydzień", że w „Orce" znalazły się bodajże najciekawsze nazwiska ówczesnej krytyki literackiej: drukował tam Ludwik Fryde, Ignacy Fik, Stefan Lichański, Leonard Soberajski, Jan Aleksander Król. Pełniłem w tym piśmie funkcję sekretarza redakcji Zapewne nadgorliwości korektorskiej zawdzięczam, że moje nazwisko w „Historii co tydzień" zostało zamienione na Tadeusza Peipera. Pociechą jest to, że w spisie nazwisk figuruję pod właściwym nazwiskiem, a także w innych książkach Koźniewskiego, gdzie mowa jest o tym piśmie, a mianowicie w „Różowych cieniach" i „Pierwszej bitwie z gestapo". Otóż Fryde miał dla Króla wiele przyjaźni. Traktował go jak brata i dlatego zachodził do nas. Przed swoją męczeńską śmiercią (zabili go hitlerowcy w 1942 roku) zapisał Królowi swoje prawa autorskie. Fryde był wysoki, chudy, miał ascetyczną twarz. Mówił pięknie zbudowanymi zdanami. Był wrażliwy i subtelny. Wprawdzie Koźniewski pisze o nim, że jak wahadło przesuwał się od niemal komunizmu do niemal neotomizmu, ale każdy, kto go znał i pamięta, zachował wielki szacunek dla tego mądrego człowieka i subtelnego krytyka.

Zjawiłem się w Warszawie po raz pierwszy w roku 1935, na jesieni, i wtedy poznałem Frydego. W tymże roku w „Drodze" ukazała się rozprawa Frydego o „Nocach i dniach" Marii Dąbrowskiej. Podarował mi jedną z nadbitek z dedykacją, która mówiła między innymi o tym, „że dobrze się znamy i rozumiemy". Był to, oczywiście, gest dobrego serca ze strony Frydego, jakże cenny dzisiaj we wspomnieniu. Niestety, ten egzemplarz spalił się w czasie pożaru naszego domu.

Piszę o tym pożarze często. Motyw żołnierza ze swastyką, który podpala dom, nieprędko skreśli się z wyobraźni.

Fryde pisał, że „ideał moralny jest podstawą artystycznego kształtowania rzeczywistości (...). Prawdziwy epik ujmuje każdą egzystencję sub specie jej stosunku do wyznawanego przezeń systemu wartości". O samym dziele pisał, że jest w tej książce — mimo pewnych braków — „tyle niewyczerpanych piękności i tyle prawdziwej mądrości życia, że niewątpliwie stanie ona w rzędzie klasycznych powieści polskich". I w przypadku Frydego, i w przypadku autorki „Dni i nocy" — jakież są piękne i bogate ich portrety! Te z życia i te z twórczości.

Myślę, że Janka Brył, pisarz z Białorusi, którego u nas w Polsce wiele się tłumaczy, bardzo trafnie ujął to zagadnienie, kiedy pisał o kształtowaniu się przyjaźni. W szkicu „Echo zawsze jest ze mną", zamieszczonym w tomie opowieści podróżniczych „Choćbyś widział Etnę pałającą" Janka Brył notuje: „Przyjaźń to przecież nie deklaracja, tylko coś, co się wyczuwa raczej. To nie tylko uśmiechy, słowa, uściski dłoni, bruderszafty, ale i szczerość, która sprawdza się czasem i czynem, i wzajemne poznanie się, zainteresowanie, przenikanie tego świata, jaki pisarz i nosi w sobie, i ukazuje w swych utworach. Bogactwo pisarskich światów, ich zaludnianie żywymi obrazami, napełnianie myślami i uczuciami — to właśnie daje przeświadczenie, że mam polskich przyjaciół — pisarzy — jak sądzę, wielu". Przyjaźń sprawdza się więc szczerością, znajomością i wspólnotą spraw. Choć nieco dalej Janka Brył stwierdza, że bywa i to najgorsze, kiedy znajomość osobista rozczarowała i że lepiej byłoby nie poznać tego człowieka. W przyjaźni nie może być rozdźwięku z tym co się mówi, i z tym co się pisze. „Są przecież ludzie dopiero co spotkani (pisze Brył), których poznawszy, po pierwszej rozmowie, zaczynasz już jakby uważać za starych znajomych. Potem dopiero czytasz to, co napisali, i z radością przekonujesz się, że są podstawy do zbliżenia, do przyjaźni: że myślimy i odczuwamy podobnie. Naturalnie, że tylko podobnie, bo każdy z nas nosi przecież w sobie swój odrębny świat, ale odkrywanie jakiegoś cząstkowego podobieństwa do siebie w kimś drugim jest każdemu potrzebne. Bywa i odwrotnie. Początkowo znałeś kogoś z jego utworów i odnalazłeś w nich coś sobie bliskiego, a dopiero później poznaliście się. I oto znajomość jak gdyby zaświadczyła, uprawomocniła, utwierdziła przyjaźń". Janka Brył wymienia wiele przykładów takiej rodzącej się i umacniającej przyjaźni. Myślę, że w miesiącu, kiedy to słowo nabiera szczególnego znaczenia, przypomnienie zasad, na jakich przyjaźń się rodzi, zasługuje na uwagę.

Od początku nie mówimy bowiem o niczym innym, jak o obliczu moralnym twórcy. Janka Brył pięknie wyłożył owe zależności pomiędzy prywatnym życiem twórcy a jego dziełem. Nie może być tutaj mowy o żadnych skazach i rysach. I gdyby mi przyszło wskazać jakieś przykłady, gdzie portret twórcy, który kreślimy na podstawie jego dzieła, uzupełnia i bogaci jego „prywatny" wizerunek — czyż trzeba lepszych, jak nazwiska, które wymieniliśmy? Jak życie i dzieło Jana Sztaudyngera, poety, fraszkopisarza, który, jak głosi tablica zawieszona na ścianie domu przy ulicy Żwirki, gdzie poeta mieszkał, „uczył piękna i radości życia". Czy też jak wizerunek Stanisława Czernika, który zapisał się w wielu sercach pisarzy i czytelników, ludzi znanych mu i nieznanych. Czernik umarł w grudniu 1969 roku, odszedł od nas, a przecież jest z nami, są jego wiersze, proza, uczynki, rady, rozmowy. I dopiero owe wiersze i powieści, rozmowy, rady i uczynki stanowią pełny portret człowieka i twórcy.

TADEUSZ PAPIER

PRZESUWACZE

Z zamiarem zwrócenia uwagi na tę sprawę nosiłem się od dawna i tylko potrzeba zgromadzenia materiału programowego jako podkładki usprawiedliwiającej moje wystąpienie zmusiła mnie do tej celowo spóźnionej reakcji. Przejrzałem więc zgromadzone programy koncertów, które odbyły się w tym sezonie i znalazłszy uwertury Mozarta, Moniuszki i Schumanna oraz dwie pieśni Griega — wszystko jako utwory poprzedzające koncerty fortepianowe — decyduję się na przedstawienie propozycji zmiany obyczaju powodującego przykre rozproszenie dopiero co wytworzonego nastroju ustawianiem pulpitów i przesuwaniem fortepianu. Sądzę, że bez szkody dla sprawy wymienione utwory mogły być wykonane w sąsiedztwie przygotowanego i czekającego pośrodku swej kolei a jeno zamkniętego tylko fortepianu. Daję słowo, że dla wszystkich, co mieli lub mają do czynienia z tym instrumentem, czyli dla całej niemal publiczności, turkot wleczonego kolosa jest wyjątkowo nieprzyjemny. Do tego sala naszej Filharmonii sprzyja błyskawicznemu i to z lada powodu rozładowywaniu napięcia, więc...

Uspokojony zatem złożonym wnioskiem wracam do koncertu e-moll Chopina w wykonaniu DINY JOFFIE zakładając, że nie było rozpraszającej przerwy, która spowodowała to, że całe liczące ponad setkę taktów wejście orkiestry z tematami części I jakoś nie chciało się wiązać z podobnym materiałem muzycznym podanym później przez fortepian. Czy po próbach nie wiadomo było jak interpretować będzie solistka? Albo czy miała ona obowiązek „podłożyć się" pod orkiestrowe propozycje? Zastanowiło również, że wszystkie miejsca kantylenowe w tym super-romantycznym koncercie podane były bez wzlotów i wzdychań. Współczesna tendencja polegająca na zabezpieczaniu się przed niesmakiem bardzo prostym traktowaniem egzaltowanych miejsc nie musi oznaczać, aby gubić gdzieś chopinowską śpiewność z tak charakterystyczną w podtekście zadumą. Czyżby wyniknęło to z ustaleń współpracy dyrygent — solista? W części II już samo wprowadzenie trójkowych figuracji poprzedzonych delikatnym zawieszeniem narracji progresją i zamknięciem kadencyjnym dzieli tę część na tyle silnie, że dodatkowe pokazanie odmienności tego odcinka nie ma potwierdzenia w intencji kompozytora, który zaznacza tu „a tempo", co uściśla jeszcze związek części kantylenowej z odcinkiem kończącym. No cóż, stało się trochę inaczej.

Dina Joffie zaprezentowała swoją wersję koncertu bardzo ciepłym dźwiękiem, w piano wyjątkowo subtelnym, ale najbardziej trafiła bisem — preludium Des-dur zagranym tak znakomicie, że tylko wśród nagrań znaleźć by można porównanie. Prowadzenie kantyleny wzruszające. Tajemnicą nie rozstrzygniętą więc będzie, dlaczego było jej tak mało w koncercie. A dyrygent? Osobiście odniosłem wrażenie, że nie było komu powiedzieć orkiestrze, że po króciutkim dwukrotnie powtórzonym początkowym motywie części III nie ma smyczka na kolanko, gdy odzywają się najpierw klarnety z fagotami, a potem flety i oboje.

Z tego samego koncertu pochodząca IV symfonia Schuberta, wcale nie taki „horror" jakby z tytułu i tonacji wynikało, jest dziełem prostym. Przystawiając więc wysiłek dyrygenta do wymagań tej muzyki wydaje się, że można powiedzieć, iż był przesadzony. Zaskoczyła trochę nie wyegzekwowana zabawa z przesunięciami akcentów w części II. Również dialogi drewna z wiolonczelami i kontrabasami nie były wyraźne. Całość symfonii podobała się publiczności, moim zaś zdaniem najlepsza była... uwertura otwierająca koncert.

PIOTR PIETRZAK

KOMUNIKAT

Sąd Konkursowy pod przewodnictwem Jerzego Wawrzaka, prezesa ZO ZLP w Łodzi, redaktora naczelnego „Odgłosów", w konkursie na reportaż o **Ziemi Sieradzkiej** przyznał trzy trzecie nagrody w wysokości 5.000 złotych każda:

Tadeuszowi Giegierowi za pracę „Rodzina inwestycyjna",
Zbigniewowi Figatowi i **Andrzejowi Gowarzewskiemu** za pracę „Wieluniaki sieradzkie",
Henrykowi Polakowi za reportaż „Dziwny człowiek",

oraz trzy wyróżnienia po 2.000 złotych:

Janowi Bąbińskiemu za pracę „Pokolenia"
Ryszardowi Binkowskiemu za pracę „Karuzela z bykami"
Rafałowi Orlewskiemu za pracę „Z Płocka rodem"

Nagrodzone i wyróżnione prace będą opublikowane na łamach naszego tygodnika.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego) JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji) Stale współpracują: JAN BĄBIŃSKI ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, JERZY PANASEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC.

Foto: K. Rutkowski

TOMASZ SOLDENHOFF

TAJEMNICA BIAŁEJ TECZKI

Leży przede mną pokaźnych rozmiarów kartonowa teczka. Ma tajemnicze nadruki: „Zastrzega się wykorzystanie danych wyłącznie za zgodą Dyrektora...", „Informacja wyłącznie do celów..." Co się kryje w środku tej teczki? Jakaś „tajemnica wojskowa"? Wewnątrz jakieś druki: kwestionariusze, formularze... Sporządził je ktoś strasznie ciekawski. Z gąszczu tabelek, kratek, wykresów, strzałek i cyfr wyławiam na chybił trafił niektóre pytania: „Czy miał(a) P. kiedykolwiek w życiu bardzo silny, ostry, przeszywający ból w przedniej części klatki piersiowej trwający pół godziny lub dłużej?" — brzmi pytanie na stronie 3. A na stronie 15 ten sam wścibski autor pyta natarczywie: „Czy podczas ostatniej porady lekarskiej musiał(a) P. rozebrać się do badania? Czy mierzono P. ciśnienie krwi?".

Wertuję dalej ów „Kwestionariusz wywiadu" i mój podziw dla jego autora rośnie. Nie zliczę dzisiaj czasu który straciłem i nie umiem przewidzieć ile jeszcze go stracę, wyczekując pod drzwiami rozmaitych lekarskich gabinetów. A tu masz: na stronie 19 ów tajemniczy wywiadowca zapytuje mnie wprost z nieskrywaną troską — „Ile czasu zabiera P. zazwyczaj oczekiwanie na poradę w poczekalni?"...

Ale to nie koniec, bo następny formularz zdradza jeszcze głębsze zainteresowania jego autora: częstością skurczów mojego serca po 1, 2 i 3 minutach odpoczynku, a nawet „grubością tkanki tłuszczowej pod dolnym kątem lewej łopatki"...

— „To już przesada" — stwierdzam, lecz w chwili gdy zamierzam to powiedzieć głośno, uprzedza mnie — widząc moją konsternację — dr Gdulewicz. Jeszcze nim skończy, tajemnica białej teczki staje dla mnie otworem.

POPRZEDNICY

— Do tej pory wszelkich informacji o stanie zdrowia ludności dostarczała tzw. rutynowa sprawozdawczość — mówi kierownik Samodzielnej Pracowni Epidemiologii i Statystyki w Instytucie Medycyny Społecznej Akademii Medycznej w Łodzi — dr **Tadeusz Gdulewicz.** — Ale metoda ta dawała obraz niepełny, odzwierciedlający jedynie przypadki zgłaszane przez chorych. Jej skuteczność zbadał angielski uczony Robert Logan na przykładzie populacji miasta Birmingham. Okazało się, że zgłoszony zostaje przeciętnie co siódmy tylko wypadek choroby czy patologii. Trudno mechanicznie przenosić wyniki badań Logana na grunt polski. Wiadomo jest nam jednak doskonale, że w naszej służbie zbrowia załatwiamy ambulatoryjnie i szpitalnie tylko małą część chorób. Ale jaką — nie wiadomo... Odpowiedzi na to i inne pytania dotyczące stanu zdrowia ludności dostarczyć mogły tylko masowe badania populacyjne o charakterze kompleksowym i przekrojowym.

Jak dotąd badań takich u nas nie przeprowadzano. Doświadczenia wcześniejsze ograniczyły się do wybranych zagadnień. I tak doc. **Stefan Rywik** na przykładzie populacji Płocka i Sochaczewa badał choroby ciśnienia krwi, a doc. **Feliks Sawicki** z Krakowa — choroby układu oddechowego. Próby te nie mogły dać jednak pełnej wiedzy o stanie zdrowotnym obywateli. Celem ich nie było również wypracowanie jakiejś jednej, systematycznej m e t o d y.

CELE I ZAŁOŻENIA

Od szeregu lat nad stworzeniem tej metody oraz optymalnych założeń nowych, masowych, kompleksowych i przekrojowych badań stanu zdrowotnego ludności, pracuje grupa epidemiologów i statystyków z **Instytutu Medycyny Społecznej AM w Łodzi.**

— Pierwszą próbę tego typu badań podjęliśmy w 1972 roku w oparciu o ludność trzech dzielnic: Górnej, Widzewa i Śródmieścia. — mówi dr T. Gdulewicz. — Objęły one 502 wspólnoty mieszkaniowe, w których zamieszkiwało łącznie 1187 osób powyżej 18 lat. Szczególną uwagę zwrócono wówczas na zmiany chorobowe w układzie sercowo-naczyniowym, oddechowym i na zaburzenia metaboliczne. Dla naszego zespołu było to dobre doświadczenie tak pod względem programowym, jak i organizacyjnym.

Jesienią 1977 roku rozpoczęły się w Łodzi badania stanu zdrowotnego ludności o niespotykanym dotąd zakresie i charakterze. Są one wynikiem nie tylko potrzeb służby zdrowia czy środowiska społecznego, ale także dużego zainteresowania oceną stanu zdrowia mieszkańców Łodzi ze strony władz partyjnych i administracyjnych miasta. Pieczę nad badaniami, oprócz Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej (plan resortowy 15-MZ/XI), sprawuje Komisja Zdrowia RWPG, w której problem wypracowania optymalnego systemu informacji o zdrowiu ludności w oparciu o wielość źródeł, traktowany jest jako problem nr 1.O. Dr Tadeusz Gdulewicz: — Celem badań jest więc przede wszystkim, jak zostało to sformułowane w temacie, wypracowanie „metod kompleksowego badania stanu zdrowia ludności". Ale także: ocena tego stanu, określenie rodzajów, częstotliwości i dystrybucji chorób z uwzględnieniem kategorii przyczynowo-skutkowych. Zaś poza tym celami poznawczymi — dostarczenie danych do doskonalenia obecnego systemu ochrony zdrowia, dostarczenie wiarygodnych informacji dla celów planowania i prognozowania, dla stworzenia programu działań profilaktycznych w systemie naszej, a szczególnie łódzkiej opieki zdrowotnej.

Jeszcze raz przydały się wyniki ostatniego Powszechnego Spisu Wyborców do Sejmu PRL. W oparciu o nie sporządzono metodą losową jednoprocentową próbę spośród wszystkich dorosłych mieszkańców Łodzi. Do tej „reprezentacji", do owych 8 tysięcy 256 osób w wieku powyżej 18 lat, skierował następnie swój list Rektor Akademii Medycznej w Łodzi, pisząc m. in.: „Zwracamy się z gorącą prośbą o aktywny udział w badaniach, bowiem informacje, których Pan/Pani udzieli mogą stanowić podstawę doskonalenia działań służby zdrowia w sprawowaniu opieki profilaktyczno-leczniczej nad ludnością naszego miasta".

PIERWSZY ETAP

Podobnie jak próba sprzed pięciu lat, tak i rozpoczęte w tym roku badania składają się z dwóch etapów. W pierwszym etapie specjalnie przeszkolone ankieterki przeprowadzają w oparciu o kwestionariusze pytań wywiady w mieszkaniach wylosowanych osób. To właśnie drobiazgowość tego kwestionariusza wprowadziła mnie na początku rozmowy z dr Tadeuszem Gdulewiczem w niejakie zakłopotanie.

Wywiad obejmuje 300 pytań dotyczących przeszłości zdrowotnej respondenta, pytań o charakterze diagnostycznym (np. o niektóre dolegliwości stawowe, bóle wieńcowe, bóle w nogach, a także na temat palenia tytoniu), wreszcie pytań składających się na socjomedyczny pomiar zdrowia. W tym ostatnim przypadku chodzi o zmierzenie aktywności społecznej respondenta właśnie pod kątem jego zdrowia. Wydaje się, że zarysowana w ten sposób „skala zdrowia" ujawni różnice w stopniu zdrowotnej aktywności, w stopniu wydolności społecznej.

Osobna grupa pytań w liczącym 32 strony kwestionariuszu dotyczy sposobu korzystania przez respondentów ze świadczeń medycznych, z usług pogotowia ratunkowego, jak również pobytów w szpitalach i sanatoriach, i w końcu — oceny ich. Akcent położony jest tu zwłaszcza na pytaniach sondujących opinię o łódzkiej służbie zdrowia.

Z piętnastoma ankieterkami, wyłonionymi w końcu 2-tygodniowego szkolenia (zakończonego egzaminem), rozmawiałem w czasie jednego z ich cotygodniowych spotkań pod kierunkiem doc. dr **Tadeusza Millera.** Do 10 listopada przeprowadziły one wywiady z 323 osobami. Badania rozpoczęły się w połowie października. Plan miesięczny obejmuje przebadanie ok. 500—600 osób z wszystkich pięciu dzielnic Łodzi. Rejonów jest 40 i co tydzień właśnie następuje zmiana kwadratów, adresów. Przeciętnie jeden wywiad trwa 45 min., godzinę. W przypadku ludzi starych — do 1,5 godziny. To dużo, a zdarza się, że pod jeden adres trzeba przyjść dwa, a nawet trzy razy.

Pytałem ankieterki (różnych zawodów: nauczycielka, socjolog, technik budowlany...) o motywy podjęcia tej pracy, oprócz — rzecz jasna — pobudek prozaicznych (ankieterka zarabia 50 zł za jeden wywiad). Odpowiadały:

— Ta praca wciąga, bo jest ciekawa, odpowiedzialna, choć nie zanadto absorbująca. Daje możliwość spotkania się z różnymi ludźmi, niemal ze wszystkich środowisk, poznania warunków ich życia i konfrontacji z własnymi... Czy nasze rodziny nie protestują, że znikamy po pracy do drugiej pracy? Rodziny bywają nawet zadowolone. Niejeden mąż zaczął zajmować się dziećmi, nauczył się gotować...

A jak są przyjmowane?

— W pewnym domu byłam już trzy razy, ale nie chcą otworzyć mi drzwi, choć wiem, że lokatorzy są w środku, patrzą przez judasza. — Spotykamy się niekiedy z niezrozumieniem celu naszych wizyt. Mimo listu Rektora, mimo naszych tłumaczeń. Wszystkie przeszłyśmy przez pełny program badań lekarskich, wiemy więc do czego namawiamy respondentów, wręczając im skierowania do przychodni. Często jednak spotykamy bojaźń przed lekarzem albo opinię; że chodzi się do niego tylko wtedy gdy jest się chorym. — Pewnej pani przez 3 godziny perswadowałam sens naszej pracy, bo nawet nie chciała odpowiedzieć na pytania ankiety. A już najgorzej jest przekonać lekarzy, bo i ich nieraz wyróżnił los. — Właśnie, wyróżnił. Tylko część ludzi traktuje te badania jako wyróżnienie.

— Toteż najlepiej skutkuje „argument materialny": przekonywanie o opłacalności tych bezpłatnych przecież badań...

Ale są i bardziej sympatyczne wspomnienia:

— W jednym z mieszkań przy ul. Franciszkańskiej ludzie postawili mi warunek: odpowiedzą na moje pytania, jeśli zjem z nimi obiad — łódzkie, „żelazne" kluski z wołowiną i kapustą...

— Kiedyś w czasie mojej wizyty, na stole pojawiło się pół litra.

— A ja raz nawet kieliszek wypiłam...

— Kwiaty dostałam...

— Choć wypadki odmowy odpowiedzi na pytania właściwe się nie zdarzają — mówi dr T. Gdulewicz — chciałbym zaapelować przy sposobności do tych wszystkich czytelników „Odgłosów", których być może odwiedzą nasze ankieterki, o aktywny udział w badaniach, zwłaszcza zaś w

DRUGIM ETAPIE

który polega na pogłębionych badaniach diagnostycznych w dziewięciu problemach klinicznych. Dwie godziny na te badania warto poświęcić nie tylko w imię społecznego, ale i prywatnego interesu. Badania te może odbyć każdy respondent w wygodnej dla siebie porze, bez kolizji z czasem pracy.

Realizując te badania „stwarzamy wylosowanym osobom możliwość poddania się wszechstronnemu, specjalistycznemu badaniu lekarskiemu w ciągu jednego dnia i w jednym miejscu — napisał w cytowanym już liście przewodnim Rektor AM w Łodzi — W wyniku tych badań uzyska Pan/Pani dokładną informacje o faktycznym stanie zdrowia oraz o ewentualnej potrzebie leczenia (...) Mam nadzieję, że udział w naszych badaniach przyniesie Panu/Pani poza własnymi korzyściami pełną satysfakcję z dobrze spełnionego obowiązku społecznego".

Do Poradni Sportowo-Lekarskiej Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego im. Mikołaja Kopernika, mieszczącej się w Hali Sportowej przy al. Politechniki, trafiłem w sobotnie przedpołudnie. Toteż ruch pacjentów był raczej niewielki. Mogłem więc swobodnie porozmawiać z członkami **dziewięciu zespołów medycznych, utworzonych dzięki współpracy Akademii Medycznej z łódzką Miejską Służbą Zdrowia i wspomnianym już Szpitalem im. Kopernika.** To właśnie oni, obok 15-osobowego zespołu Pracowni Epidemiologii i Statystyki IMS AM i piętnastu ankieterek, stanowią trzon ok. 100 osobowej grupy ludzi biorących bezpośredni udział w badaniach.

Codziennie przez przychodnię przewija się ok. 20 osób, ale tego właśnie dnia do południa nadeszły tylko cztery. Idąc za drogowskazami bez trudu znajdowały właściwy kierunek: od rejestracji przez jedenaście kolejnych gabinetów z powrotem do rejestracji, gdzie do jednej białej teczki idą wszystkie tajemnicze formularze i kwestionariusze, w tym świeżo zapełnione „Karty badań lekarskich".

Badania zaczynają się od laboratorium analiz lekarskich. Już tu potwierdziło się to, co usłyszałem wcześniej: ludzie są zadowoleni, że w jednym miejscu w ciągu najwyżej dwóch godzin mogą przejść przez wszystkie podstawowe badania lekarskie.

W gabinecie spirografii dostaję propozycję „nie do odrzucenia". Jeśli dam sobie ścisnąć nos „kolczykiem" i dmuchnę (ale pełną piersią!) w wylot rury vitalographu, za chwilę minikomputer obliczy mi pojemność płuc, ilość wydmuchiwanego na sekundę powietrza, jego prędkość itp. itd.

W trzecim z kolei gabinecie badanie wydolności ogólnej, czyli „próba wysiłkowa" (nie dla starców i kobiet ciężarnych!) na którymś z dwóch ergonometrów-rowerów produkcji szwedzkiej. Pytam o wyniki: „kondycja — odpowiadają — w narodzie różna, ale zdarzają się niespodzianki, na przykład 50-letnia kobieta wykazała się kondycją lepszą niż niejedna młodolatka..."

Dopiero w następnym gabinecie, gdzie budzi zaufanie nowoczesny aparat medyczny Multicard 3M, spotykam pacjentkę. **Sabina Łukowska** w chwilę po pomiarze ciśnienia i EKG mówi: — Nigdy jeszcze nie byłam tak dokładnie badana. A dowodem mojego zainteresowania badaniami jest chyba fakt, że zostawiłam w domu z babcią moje roczne dziecko...

Obok, w sąsiednim pokoiku niespodzianka. Pod okiem dr **Jadwigi Makowskiej,** zastępcy ordynatora Oddziału Chorób Wewnętrznych Szpitala im. Kopernika, kończy właśnie badania internistyczne 83-letni mieszkaniec Łodzi.

Sędziwy pacjent chwali organizację i atmosferę badań, a dr J. Makowska mówi: — Jesteśmy nawet nieco zaskoczeni wysoką zgłaszalnością. Do 10 listopada do poradni zgłosiło się 165 osób. Przychodzą i starzy i młodzi, prawda, że gromadniej ci pierwsi. U wielu z nich spotykamy niedoleczenia, niedopatrzenia w zdrowiu z powodu braku wizyt u lekarza. Ten 83-letni pan jest przykładem. Mówi o sobie: „Jestem zdrowy", bierze tylko reumanol „na nogi" nieświadom tego, iż bóle nóg są objawem daleko głębszych zmian krążenia.

Podobnych wniosków dostarcza przegląd stomatologiczny, prowadzony tego dnia przez dr stomatolog **Zofię Gęburę.** Jego kwestionariusz uwzględnia nie tylko doraźne potrzeby walki z próchnicą, ale i potrzeby protetyczne.

Natomiast w gabinecie okulistycznym doc. **Lucyna Zeydler-Grzędzielewska** z Kliniki Chorób Oczu AM w Łodzi, oznajmia mi o wykryciu przed momentem podejrzenia jaskry. Choroba ta polega na podwyższeniu ciśnienia środocznego krwi i może wskutek ucisku na włókna doprowadzić do niedożywienia komórek zwojowych siatkówki i stopniowego zanikania nerwu wzrokowego — w końcu zaś nawet do ślepoty.

— Nie wiedziałam, że po czterdziestce zmierzenie ciśnienia śródocznego jest obowiązkiem — mówi pacjentka **Kazimiera Kaczmarek,** u której właśnie wykryto podejrzenie jaskry (kobieta ta przyszła na badania wprost z nocnej zmiany). Otrzymuje ona skierowanie do przychodni przeciwjaskrowej przy Klinice AM. Warto pamiętać o istnieniu tej placówki!

W skład badań wchodzi także pomiar antropometryczny, a także — już na koniec — pomiar ostrości słuchu w specjalnie wyposażonym w audiometr polskiej produkcji AUK-431 gabinecie.

Zakończenie tych **pionierskich w Polsce:** masowych, kompleksowych, przekrojowych i systematycznych badań, przewiduje się na przełom 1978/79. W ciągu najbliższych trzech lat sporządzony zostanie — właśnie w oparciu o kilka tysięcy tajemniczych „białych teczek" i zawartą w nich dokumentacją — **raport o stanie zdrowia mieszkańców Łodzi.** Przewiduje się również wiele publikacji w polskim piśmiennictwie medycznym. Być może wydana będzie monografia z badań.

Czy sprawdzi się wówczas pragnienie dr Tadeusza Gdulewicza oraz jego współpracowników, i opracowana w Łodzi metoda posłuży do badań również w innych regionach kraju (a łódzka placówka współpracuje już w tej mierze z ośrodkami w Szczecinie, Kaliszu, Lublinie, Olsztynie i Krakowie?) Przyszłość pokaże.

Foto: G. Puciato

Ryszard Binkowski

powszechny odzew

Spotkanie było przypadkowe, ale rozmowa, jaka się wówczas nawiązała, nie była już dziełem przypadku: o emeryturach mówi się na wsi dużo i z ogromnym zainteresowaniem. **Barbara Dratwicka**, która jest osobą samotną, ma na utrzymaniu matkę, posiada około hektara ziemi i prowadzi uprawy ogrodnicze w szklarni, oświadczyła:

— Owszem, ludzie się cieszą, ale ja emerytury nie dostanę.

— Dlaczego? Przecież chyba sprzeda pani państwu produkty o wartości 15 tys. rocznie?

— Na pewno! Kiedy jednak spytałam podczas zebrania konsultacyjnego, czy mogę się ubiegać o emeryturę, naczelnik poszperał w papierach i oznajmił, że produkcja ze szklarni się nie liczy.

— A jeśli rolnik będzie uprawiał warzywa w gruncie, to się liczy?

— Na to wychodzi...

— To jakieś nieporozumienie. Gdyby pani sprzedała sałatę, pomidory, ogórki i kwiaty ze szklarni na rynku, to jasne, że nie liczy się tego do emerytury. Jeśli natomiast sprzeda pani zakontraktowane...

— No, dobrze — przerwała mi — a jeśli matka w ubiegłym roku przekazała dzieciom gospodarstwo, to otrzyma jakieś zabezpieczenie? Nic nie dostanie...

I to było kolejne nieporozumienie, wynikające z nieznajomości ustawy. A kiedy w tej samej wsi jeden z rolników stwierdził, iż woli sprzedać wszystko na rynku, zebrać pieniądze na książeczce i zostawić sobie na starość, bo to pewniejsze zabezpieczenie, doszedłem do wniosku, że choć są to wypadki sporadyczne, należy skonfrontować je z wypowiedziami i opiniami ogółu rolników. W tym celu udałem się na północne rubieże województwa sieradzkiego, do gminy Wartkowice.

1

I sekretarz KG PZPR, **Czesław Dobrzelewski**, jest człowiekiem młodym ale w gminie pracuje już 5 lat i zna osobiście niemal wszystkich rolników.

— Znam ich choćby dzięki faktowi, że nasze wsie są znacznie upartyjnione: mamy 534 członków, w tym 237 rolników. Roboty jest sporo, gmina liczy 13.900 ha, z czego na użytki rolne przypada 11.263 ha. Gdyby określić profil gminy, to zdecydowanie stawia się na młode bydło rzeźne. W maju i czerwcu sprzedaliśmy ponad 2 tys. sztuk, brały głównie pegeery.

— A jak się przedstawia struktura gospodarstw?

— Wszystkich gospodarstw jest 1.800, większość stanowią gospodarstwa średnie. Jest wielu rolników w wieku podeszłym. Ci kalkulują najbardziej, jeśli chodzi o emerytury.

— A nie żałują, że zbyt wcześnie przekazali ziemię?

— Tak, jest wielu rolników, którzy przy uwłaszczeniach przekazywali ziemię następcom, ponieważ dokonywało się to w sposób szybki i uproszczony. Gdyby przekazali ziemię w chwili wejścia ustawy o emeryturach, osiągnęliby większe korzyści. I dlatego, wskutek nieznajomości przepisów, pytali rozgoryczeni: to jak, za to żeśmy się pospieszyli z przekazaniem ziemi, mamy pozostać na lodzie?

— Przecież tak wcale nie jest.

— Jasne, że nie! Rodzice, którzy np. przekazali ziemię w ub. roku, już od 1 lipca 1978 roku, jeśli pozostaną na wyłącznym utrzymaniu dzieci, będą otrzymywać zasiłek w wysokości 750 zł miesięcznie.

— Na jedną osobę?

— Tak, jeśli żyje jedno z rodziców. Bo dla matki i ojca zasiłek wynosi 1.000 zł. I jeśli jedno z nich zemrze, drugie bierze cały tysiąc.

— Te 750 zł — wtrąca sekretarz organizacyjny KG, **Jerzy Szopa** — niektórzy traktują z humorem. Twierdzą, że to jest dodatek na prezenty i cukierki dla wnuków. No tak, bo przecież dzieci jeść dziadkom dadzą...

— Ale dzięki tym pieniądzom dziadkowie stają się niezależni, nie muszą prosić o każdy grosz.

— Właśnie! — mówi z ożywieniem.

— Wie pan, co ludzie mówili w pierwszym rzędzie o emeryturach? Tak prosto, po wiejsku, że skończy się nareszcie to cholerne, poniżające wyczekiwanie na łyżkę strawy. Nikt nikomu łaski nie będzie robił. I jeszcze jedno. Była babka na „wycugu" przez rok wszystko w porządku, a później waśnie, niezgoda, synowa kłóci się z teściową, zięć z teściem, bo mu się teść wtrąca do gospodarki. Babka idzie ze skargą do gminy, że ją morzą głodem i grosza skąpią. Co się okazuje? Synowa była z miasta i teściowa nie była pewna, czy ona się sprawdzi w gospodarstwie. Dlatego na wszelki wypadek zostawiła sobie około 2 ha, żeby mieli z czego żyć. Uchowała na tej działce dwa świniaki, kury, kaczki, a co zebrała trochę pieniędzy, to wyniosła do drugiego syna, który siedział w mieście. Teraz koniec: masz swoje pieniądze od państwa, chcesz, to zanieś tym w mieście, ale skarżyć się nie masz prawa. Ja myślę, że zabezpieczenie pieniężne spowoduje, że rodzice nie będą sobie zostawiać kawałków ziemi.

— Ci, którzy zostawili — zauważa Dobrzelewski — zastanawiają się teraz, czy mogą zdać ten kawałek, żeby uzyskać emeryturę. Trzeba więc wyjaśniać, że jeśli przez pięć lat mieszkali razem z następcami, którym przekazali ziemię, to wszystko było pisane i kontraktowane z jednego gospodarstwa. Obecnie mogą sobie zostawić 30 arów ci gospodarze, którzy przekazują ziemię państwu za rentę. Oni, ci bez następców, czują się trochę pokrzywdzeni. Twierdzą, że renta będzie niższa. Ale to nieprawda. Przekazujący ziemię państwu uzyskują bowiem specjalne dodatki do renty. Za budynki, za sad, za las...

Jerzy Szopa zaczyna się śmiać.

— Przypominam sobie historię z jednego z zebrań — mówi siląc się na powagę. — Szło o zasiłek porodowy. Mówię o tym, a na sali śmiech. Rolnik wstaje i gada, że z tym zasiłkiem porodowym to lipa. No, bo jak on będzie miał 65 lat, żona zaś 60, to gdzie tu mowa o rodzeniu, jak warsztat niesprawny? Z początku nie wiedziałem, jak to wyjaśnić. Mówię więc, że może się zdarzyć, iż młody rolnik ulegnie wypadkowi. Dostanie odpowiednią grupę inwalidzką i ma prawo do wszelkich świadczeń. No, i może płodzić dzieci, jest jeszcze młody. Podałem przypadek krańcowy, bo sam jeszcze się nie połapałem w czym rzecz. A tymczasem w ustawie stoi czarno na białym, że kobieta może korzystać z zasiłku porodowego jeszcze w okresie prowadzenia gospodarstwa, a więc bez względu na wiek.

2

W gminie Wartkowice jest 280 gospodarstw, których właściciele w przyszłym roku znajdą się w wieku emerytalnym. Czterdziestu dwóch nie będzie mieć następców. Oni wszyscy szczególnie zainteresowani są ustawą o emeryturach. Ci ostatni pytają, czy nie mogliby przekazać swoich gospodarstw sąsiadom.

— Chodzi o to — mówi Czesław Dobrzelewski — że niektórzy z rolników bez następców chcieliby zdać się pod opiekę sąsiadów którzy, mogliby otrzymać na nich rentę. Niestety, ziemię można przekazać za rentę jedynie państwu, własnym dzieciom i wnukom. Natomiast naczelnik gminy ma prawo przekazaną państwu ziemię oddać w użytkowanie sąsiadom przekazujących.

Ale emeryturami zainteresowani są nie tylko gospodarze w podeszłym wieku. Sekretarz gminnej służby rolnej, **Władysława Rogalska**, mówi, że 44 zebrania wiejskie, na których omawiano sprawę emerytur, wiele wyjaśniły i określiły, co ludzie sądzą, co ich najbardziej interesuje.

— Odzewem na ustawę jest zadeklarowanie na przyszły rok dodatkowo 326 sztuk trzody chlewnej. Ale rolnicy będą jeszcze przychodzić z deklaracjami...

Jan Karolak z Orzeszkowa jest czterdziestolatkiem. Zadeklarował 100 sztuk warchlaków. Czym się kierował? Przecież najwyższą produkcję może uzyskiwać dopiero w ciągu pięciu lat przed przejściem na emeryturę.

— Tak — przyświadcza — ale państwu też się należy jakoś odwdzięczyć za to dobrodziejstwo. Ponadto jest sprawa, która dotyczy mnie osobiście. W tej chwili mogę jedynie usprawnić starą chlewnię. Żeby przed emeryturą uzyskać wysoką produkcję, muszę mieć dużą, nowoczesną chlewnię. Taką chlewnię będę mógł zbudować, jeśli już dziś zwiększę produkcję i zarobię na przyszłą inwestycję.

— W gminie nie ma tuczarni, warchlaki trzeba sprzedawać na rynku.

— Byłoby dobrze, gdyby zostały na terenie gminy. Mogę je sprzedawać w ramach kooperacji, tę sprzedaż też się wlicza do wartości produkcji, będącej podstawą do emerytury.

— Opłaci się?

— Kiedyś prosięta były po 3,5 tys. złotych para. Dzisiaj są po 1.000 zł. Opłaca się sprzedawać za taką cenę na rynku? Nie! Wolę je potrzymać, zakontraktować, mam za to paszę i węgiel, o który na wsi niełatwo...

— Do czego ustawa szczególnie dopinguje?

— Do intensyfikacji produkcji. Wystarczy zajrzeć do tabeli. Podstawa do emerytury to produkcja roczna wartości 15 tys. zł. Najniższa emerytura 1.500 zł. Za każde dodatkowe 10 tys. złotych produkcji emerytura wzrasta o 50 zł. Od 100 tys. złotych wzwyż emerytura wzrasta jeszcze bardziej i przy milionie złotych osiąga 6.500 zł. I to nie są wyliczenia papierkowe, w naszej gminie jest kilku gospodarzy, którzy już dziś sprzedają państwu produkty za milion rocznie...

Mieczysław Brożek ze Spędoszyna zadeklarował 40 świń własnego wychowu, **Lucjan Banasiak** z Turu wyprodukuje i sprzeda dodatkowo 10 ton wołowiny. **Marian Bojanowski** z Białej Góry ma osiem krów. Kupi jeszcze dwie i sprzeda więcej mleka.

— Zbudowałem nowoczesną oborę, postawiłem dom. Wykosztowałem się, ale nie żałuję. Dzieci uciekają, kiedy gospodarka znajduje się w ruinie. Ja nie martwię się o następcę. Syn jest w siódmej klasie i bardzo interesuje się gospodarstwem, pomaga mi. Kupię mu ciągnik, samochód, będzie żył jak człowiek. Wprawdzie mam jeszcze czas na przekazanie gospodarstwa, ale zwróciłem uwagę, jak ustawa upraszcza i udogadnia proces przekazywania. Idę do naczelnika z następcą i załatwiam wszystko w ciągu jednego dnia. A kiedyś trzeba było sporządzać „wyrys" działki, ściągać z Polski spadkobierców, nawet takich z „siódmej wody po śledziu", włóczyć się po rejentach i płacić...

Władysława Rogalska:

— Przyszedł do mnie wczoraj chłop i płacze. Sprzedał na targu trzy krowy za trzydzieści tysięcy.

Jerzy Szopa:

— Musiały być liche. Ale może on chciał wymienić stado na bardziej mleczne? Powinien podtuczyć i sprzedać w geesie jako rzeźne.

Rolnik, który trzeźwo myśli:

— SKR obrobi mi pole maszynami. Sprzedam konia do rzeźni za 20 tysięcy i mam podstawę do emerytury za jeden rok!

Ustawa o emeryturach już daje znać o sobie. We wsiach jajek nie można kupić. Kobiety niosą koszyki na punkt skupu. Jak dobrze pójdzie, to niedługo znikną jarmarki, na których pozostaną tylko dorabiający nowi emeryci z miotłami, grabiami i doniczkami. Bo jak chodzi o bydło i świnie, to różnica w cenie żadna i rolnik woli sprzedawać w geesie.

— Zauważa się duże zainteresowanie ziemią — mówi Rogalska. — U naczelnika wciąż siedzą interesanci. Chcą dokupywać. I dochodzi do tego, że naczelnik zabiera te drobne, rozrzucone kawałki, z którymi kłopoty miała SKR, i przekazuje dobrym rolnikom. Ogromnym powodzeniem cieszą się kursy kwalifikacyjne. Nareszcie będziemy mieli wszystkich rolników z kwalifikacjami, bo kwalifikacje są warunkiem do uzyskania emerytury. Przychodzą starsi rolnicy, którzy kończyli kursy przed laty, pogubili zaświadczenia i muszą je teraz odtworzyć. Wysokość renty zmusza do podnoszenia produkcji, a to można osiągnąć w gospodarstwie specjalistycznym. Mam ich 31, w listopadzie przybyły trzy, ich liczba będzie wciąż rosnąć.

W interesie państwa leży, aby tzw. dwuzawodowi zajęli się troskliwie jednym warsztatem pracy. W poprzedniej publikacji zastanawiałem się, jak zareagują na ustawę chłopo-robotnicy. W gminie Wartkowice jest ich kilkudziesięciu. Zareagowali. Ale na razie nie myślą o rzucaniu pracy w fabryce. Oni pytali: Jak z tą rentą, dostanę na wsi i w fabryce, czy tylko jedną?

Odpowiedź: Chłopo-robotnik otrzyma półtorej renty. Może sobie wybrać całą rentę, tę lepszą, i połowę niższej.

W toku dyskusji na zebraniach wyłoniła się sprawa trochę kłopotliwa, budząca niepokój u rolników mądrych i uczciwych, a takich jest przecież ogromna większość. Otóż może się tak zdarzyć, że we wsi będzie dwóch rolników zbliżających się do wieku emerytalnego i kilku rolników młodych. Czy ci młodzi nie będą produkować dla starszych? Może do tego dojść, bo ludzie są tylko ludźmi, ale jeśli się weźmie pod uwagę gorący aplauz i uznanie dla partii i rządu, jaki wzbudziło na wsi wprowadzenie w życie ustawy, należy wierzyć, że sami rolnicy nie dopuszczą do omijania norm prawnych.

Edward Gierek na IX Plenum powiedział:

„Partia nasza, tak jak dotychczas, tworzyć będzie korzystne warunki do rozwoju i unowocześniania całego rolnictwa, wszystkich jego sektorów. Umacniać będziemy gospodarstwa uspołecznione. Otaczać będziemy opieką i zapewniać niezbędne warunki rozwoju dla gospodarstw indywidualnych, zwiększających produkcję, kontraktację i sprzedaż płodów rolnych".

Słowa te znajdują szerokie zastosowanie w praktyce, są szybko realizowane i wprowadzane w życie. Wieś potrafi je docenić i na pewno nie zawiedzie. Już to zresztą robi, o czym świadczy przykładowo postawa rolników w gminie Wartkowice.

Foto: Archiwum

Foto: Archiwum

EUGENIUSZ IWANICKI

ZIEMIA CHCE RODZIĆ

Obszar gminy Zgierz wynosi ponad 20 tys. ha, co stanowi ok. 13 proc. województwa miejskiego łódzkiego. Użytki rolne zajmują powierzchnię 13 tys. ha, lasy 5 tys. ha, na grunty pozostałe przypada 1.400 ha. Niniejsza wyliczanka, jak się wkrótce okaże, ma swoje uzasadnienie. Na grunty orne przypada 11 tys. ha, na sady — 187 ha, natomiast na łąki i pastwiska poniżej 2 tys. ha. Struktura ta sprawia, że na obszarze gminy można rozwijać przede wszystkim hodowlę bydła mlecznego, owiec, a także zakładać przemysłowe fermy kurze. Oczywiście pociąga to za sobą określone poczynania władz partyjnych i administracyjnych gminy.

W trakcie gospodarskiej debaty, jaką była II Gminna Konfrencja Sprawozdawczo-Wyborcza w Zgierzu wiele miejsca poświęcono właśnie tym zagadnieniom.

W skład gminy wchodzą 42 sołectwa, skupiające 94 wsie. Gospodarstw indywidualnych jest ponad 3,5 tys., a średnia wielkość tego gospodarstwa wynosi zaledwie 4 ha. Na statystycznego więc mieszkańca gminy (13.380 osób) przypada 1 ha użytków rolnych. Należy do tego dodać, że jakość gruntów nie jest tu najlepsza, ziemia znajduje się w większości w klasach V i VI, rzadziej w IV. Dlatego cała uwaga została skierowana na rozwój wysoko wydajnych form produkcji w gospodarstwach indywidualnych. Powstały zespoły produkcyjne rolników oraz szeroko rozwija się specjalizacja. Już 22 gospodarstwa otrzymały karty gospodarstw specjalistycznych, a do końca bm. otrzyma je dalszych 58 (w tych ostatnich obecnie są prowadzone prace urządzeniowo-przygotowawcze). Gospodarstwa te specjalizują się w następujących kierunkach produkcji: 13 gospodarstw dostarczyły w I półroczu br. 82 tys. litrów mleka (roczna produkcja ma osiągnąć 208 tys.), 5 gospodarstw, które wyprodukowały w I półroczu br. 130 tys. kg jaj (roczna produkcja wyniesie 235 tys. kg), 2 gospodarstwa, które dostarczą owoce.

Oddzielnym zagadnieniem jest produkcja roślinna. **Wiesław Dobiński** z Woli Branickiej, sekretarz POP, gospodarujący wraz z rodziną na 11 hektarowym gospodarstwie (żona, dwóch synów, obecnie uczniów technikum rolniczego i 7-letnia córka) mówi, że wynik słabej wydajności leży nie w przyczynach obiektywnych, ale w strukturze wsi polskiej. Rolnictwo z grubsza dzieli na trzy grupy: na gospodarstwa wysoko rozwinięte, na takie, które zatrzymały się w rozwoju a tym samym pozostały daleko w tyle oraz na gospodarstwa podupadłe, które właściwie nie przynoszą żadnych zysków, nawet dla ich właścicieli i, na dobrą sprawę, powinny być jak najszybciej przejęte przez Państwowy Fundusz Ziemi i przekazane tym, którzy chcą i potrafią pracować. „Ziemia chce rodzić — mówi Wiesław Dobiński — ale przy niej trzeba umieć chodzić. Same dobre chęci nie wystarcza, potrzeba więcej maszyn, nawozów, materiałów budowlanych. Nie pracujemy przecież tylko dla siebie, ale dla innych, dla tych, którzy w hutach i fabrykach produkują z kolei rzeczy, które ja chcę nabyć".

Wiesław Dobiński na 4 ha sieje rzepak, na dwóch buraki cukrowe, na innych dwóch pszenicę i na trzech hektarach ma łąki i użytki zielone. Ten podział wynika z jego zamierzeń. Już teraz posiada 3 tys. kur niosek, 100 owiec, jedną krowę. Rok bieżący nie był pomyślny dla rolnictwa, a mimo to odstawił dla państwa 600 tys. jaj za co otrzymał 1.200 tys. zł, 15,5 tony rzepaku na sumę 138 tys. zł, 800 q buraków cukrowych za 100 tys. zł oraz 50 owiec po 3 tys. za sztukę. Wyliczył, że gdyby dziś odszedł na rentę, to wynosiłaby ona ok. 6 tys. zł.

W związku z przewidywanym tzw. pierścieniem mlecznym wokół Łodzi, gmina Zgierz posiada już 10 gospodarstw, które podjęły się budowy nowych obór mlecznych na 160 stanowisk. Jedna obora (u **Wiesława Czekalskiego** w Ciosach) już została „zasiedlona" w pozostałych są prowadzone prace montażowo-instalacyjne.

W przyszłym roku powstanie dalszych 8 obór podobnego typu. Zresztą produkcja mleka rozwija się dość dobrze, wielu rolników stara się w stu procentach wywiązywać z nałożonych na siebie obowiązków. Do takich należą: **Jan Knyszka** z Marcianki, wspomniany już Stanisław Czekalski z Ciosów, **Jan Adamczewski** także z Ciosów oraz **Józef Palasiński** z Dąbrówki. Zabierając głos w dyskusji na konferencji partyjnej rolnik ze wsi Kęblíny **Stanisław Łęczewski** mówił o trudnościach z jakimi musi się borykać przekształcając swoje tradycyjne gospodarstwo w gospodarstwo specjalistyczne o profilu mlecznym. — „Musiałem sprowadzać materiały — mówi — szukać wykonawców. O ile z tymi pierwszymi nie miałem kłopotów, to znalezienie wykonawców przeszło moje siły. Toteż trzeba było wszystko własnym systemem pobudować i urządzić, a to przecież opóźnia rozpoczęcie właściwej hodowli. Obora może pomieścić 32 sztuki bydła dojnego, ale muszę być ostrożny, bo bez właściwego sprzętu nie dam rady. Założyłem, że w roku 1980 odstawię dla państwa 70 tys. litrów mleka, do istniejących swoich 12 ha dokupię 7 ha z PZH. Stanę się specjalistą w tej produkcji. Ale muszę także mieć czym pracować. To wcale nieprawda, że z tej ziemi nie da się wyciągnąć lepszych plonów. Jeśli będziemy mieli dostateczną ilość nawozów i maszyn, nasza wieś wyjdzie ze stagnacji narzuconej jej przez tradycyjną gospodarkę".

Podobnie mówił **Wacław Wojciechowski** ze wsi Grabiszew, który także gospodarzy na 16 ha ziemi V i VI klasy. Zamierza produkować mleko i już posiada 8 krów dojnych, 4 jałówki, 20 owiec i 22 sztuki trzody chlewnej. W jego planach znajduje się budowa obory na 22 sztuki krów. Już sprowadził automatyczne poidła i dojarkę dwustanowiskową a także traktor. Niestety nie może otrzymać przyczepy, pługa i kultywatora. To poważnie hamuje prace, bo przecież taką ilość inwentarza trzeba wyżywić nie tylko latem ale i zimą. Stąd konieczność dokupienia lepszej ziemi by można na niej było sadzić buraki cukrowe, z których produkuje się kiszonki na zimę. Bowiem jedynie takie gospodarstwo ma sens, które może zapewnić własnemu inwentarzowi całoroczne wyżywienie.

Przysłuchując się gospodarskiej debacie można było zaobserwować troskę, z jaką rolnicy mówili o polskiej wsi, o marnującej się ziemi, o brakach w zaopatrzeniu w sprzęt zmechanizowany. Prawie nikt nie mówił „ja", „mnie", „dla mnie" lecz przeważnie słyszało się, że to będzie „dla nas", „dla kraju". To poczucie przynależności, rozumienie celów nadrzędnych sprawiało, że konferencja partyjna w gminie Zgierz przebiegała w atmosferze szczerości i ogromnej troski o przyszłe losy ziemi, która nas żywi. Jeden z dyskutantów powiedział, że on na wsi jest takim samym robotnikiem jak jego koledzy w hutach czy kopalniach. Różnimy się jedynie rodzajem pracy i niczym więcej.

Niezwykle wnikliwie i dokładnie oceniano także działalność służb rolnych i budowlanych gminy, a także służb instytucji obsługujących rolnictwo. W wyniku tych ocen zachodzi pilna konieczność wymiany niektórych pracowników na osoby mające wyższe kwalifikacje zawodowe, na specjalistów.

Na terenie gminy Zgierz działa szereg instytucji państwowych i spółdzielczych świadczących usługi na rzecz rolnictwa: Zakład Wojewódzkiej Spółdzielni Ogrodniczo-Pszczelarskiej, Gminna Spółdzielnia Samopomoc Chłopska, Rolnicza Spółdzielnia Wytwórcza w Dąbrówce, Rolnicze Spółdzielnie Produkcyjne w Giecznie, Kwilnie i Glinniku, Spółdzielnia Kółek Rolniczych. Większość z nich może poszczycić się dobrymi wynikami produkcyjnymi. Np. RSW w Dąbrówce na obszarze 650 ha prowadzi uprawę roślin, hodowlę zwierząt gospodarskich, tucz drobiu i własną przetwórnię owocowo-warzywną. Globalna wartość produkcji spółdzielni w r. ub. wynosiła 100 mln zł, co postawiło ją w rzędzie najlepszych spółdzielni w kraju. Kiedy **Wiesław Luźniakowski** z tej spółdzielni, członek ZSMP, mówił o młodych rolnikach, którzy nie uciekają do miasta, a odwrotnie, przychodzą po szkole do spółdzielni, bo chcą pogłębić swoją wiedzę, w jego słowach było przekonanie i zapał. — Już w tej chwili — mówił — mamy 260 szt. bydła, 250 buhajków eksportowych i 1.300 świń. Zobowiązujemy się podnieść ilość owiec z 350 do 560 sztuk, dodatkowo wyprodukować 500 kg wełny, dać na rynek 50 ton pasztetu więcej a także podnieść wydajność 4 zbóż do 38 q z 1 ha, a ziemniaków 250 q z ha.

Innym zespołem świadczącym usługi dla rolnictwa, a zasługującym na wyróżnienie jest Okręgowy Ośrodek Badania Odmian Roślin Uprawnych w Lućmierzu. Ośrodek ten obok działalności naukowej prowadzi wysoko cenioną działalność produkcyjną w zakresie upraw gruntowych i hodowli. W swoim zobowiązaniu złożonym na konferencji załoga postanawia: w 1978 r. i latach następnych dostarczyć indywidualnym rolnikom gminy Zgierz dodatkowo 5 tys. szt. rocznie odchowanych kurcząt typu lipcówki w celu zwiększenia produkcji jaj i mięsa drobiowego; po pełnym zagospodarowaniu własnej nowej obory postawić do dyspozycji indywidualnym rolnikom 30 jałówek hodowlanych rocznie począwszy od 1979 r. mając na uwadze zwiększenie produkcji mleka w pierścieniu mlecznym m. Łodzi; poszerzyć zakres działalności wdrożeniowej w formie szkoleń, wydawnictw, przyjmowanie wycieczek rolników, organizowanie wystaw o tematyce odmianowej, wymiany materiału siewnego i sadzeniowego.

Niestety, są także jednostki uspołecznione, do pracy których zgłaszano szereg pretensji i zastrzeżeń. Do nich należą: Spółdzielnia Kółek Rolniczych w Białej i Rolnicza Spółdzielnia Produkcyjna w Kwilnie. SKR w Białej na skutek niedbalstwa nie sprzątnęła tegorocznego pierwszego pokosu siana z 7 ha łąk, choć w tym samym czasie w SKR odczuwano deficyt paszowy. W wyniku tego zaniedbania spółdzielnia ta zmuszona jest kupować siano w sąsiednich gminach. Poważne straty powstały także w tuczu trzody chlewnej i usługach mechanizacyjnych. Jedynie za III kwartał br. straty tej spółdzielni wynoszą 14 mln zł. Podobnie było ze spółdzielnią w Kwilnie. W wyniku złej organizacji pracy nie sprzątnięto pierwszego pokosu z 5 ha łąk. Ponadto są tam częste dewastacje sprzętu rolniczego, kradzieże, brak troski o mienie społeczne.

Przeciwstawiając się temu rolnik **Jerzy Rogalski**, mówił, że nie stać nas na żadne straty, nikt w swoim gospodarstwie nie ma prawa niczego uronić z tego, co urosło na ziemi, którą uprawia. Jednakże za tym musi iść akcja skupu. Nie może być sytuacji, nawet w okresie „klęski urodzaju", by rolnik odjeżdżał z pełnym wozem przywiezionych na punkt skupu produktów. Nie stać rolnictwo na produkcję niepotrzebnych nikomu ziemiopłodów tym bardziej, że są lata, kiedy urodzaj jest mniejszy.

W parze z rozwojem produkcji musi iść rozwój kultury na wsi polskiej. Ciągle jeszcze powtarza się sytuacja, że zespoły artystyczne przyjeżdżają z miasta na wieś a nie odwrotnie. A przecież dzisiejszy rolnik przestał być biernym konsumentem dóbr kulturalnych. Młodzi ludzie w wiejskich klubach prowadzą zażarte dyskusje zarówno nad sposobem gospodarowania jak i nad serialem „Polskie drogi". Gazeta, książka, radio czy telewizja zmniejszyły odległość do miasta. Wieś nie chce być zabiedzoną osadą na skraju przysłowiowego lasu. Rozwija się więc budownictwo, powstają plany nowych mieszkań, handel coraz śmielej wychodzi naprzeciw potrzebom wiejskiego odbiorcy. W ramach tegorocznej akcji poprawy wyglądu estetycznego i stanu sanitarnego wsi pomalowano i wyremontowano 120 posesji, wybielono 380 obór, założono 80 ogródków kwiatowych, wykonano tynki zewnętrzne oraz remonty 80 budynków. W planach znajduje się wymiana 400 pokryć dachowych. Do wsi, które najbardziej zaangażowały się w te prace należą: **Dąbrówka Wielka, Szczawin, Proboszczowice, Biała, Rogóźno.** Natomiast wsie, które jakoś nie kwapią się z uporządkowaniem własnych terenów i przynoszą ujmę całej gminie to: **Władysławów, Kwilno i Lorenki.**

Niezwykle ważnym problemem nadal pozostaje sprawa mieszkań. W ramach tzw. budownictwa uspołecznionego oddano w br. dwa budynki mieszkalne dla 30 rodzin w ODBORU Lućmierz. I choć w latach 1975—1977 z tegoż budownictwa przybyło 106 mieszkań, to potrzeby są nadal bardzo duże. W ramach nieuspołecznionego budownictwa inwentarskiego przybyło 65 obór i 24 chlewnie, a remontem objęto ponad 90 budynków. Nakłady inwestycyjne miały ogromny wpływ na ogólny stan gminy: w 1975 roku wynosiły one 35 mln zł, a w rok później już 69 mln zł. W ciągu trzech kwartałów br. wydatkowano już 36,5 mln zł, z czego powstały: bukaciarnia na 540 stanowisk w Kęblinach, obora na 80 stanowisk w Giecznie, chlewnia w Giecznie, piekarnia w Dąbrówce, pawilony handlowe w Szczawinie i Smardzewie, dwa budynki mieszkalne dla wspomnianych 30 rodzin w Lućmierzu, modernizacja magazynów przetworów w Dąbrówce, adaptacja kurników na brojlernie w Dąbrówce, adaptacja brojlerni na budynek administracyjno-socjalny w Giecznie, budowa przystanków MPK i PKS, budowa sieci wodociągowej i budynku w Dąbrówce. W tym roku rozpoczęto także melioracje gruntów w Kwilnie i Lorenkach. Nie od rzeczy będzie wspomnieć o udziale społeczeństwa gminy Zgierz w pracach prowadzonych na ich terenie. W czynach społecznych wybudowano strażnice OSP w Jedliczu i Kanie Górze, rozpoczęto budowę sieci wodociągowej o długości 7 km w Grotnikach i Skotnikach, remont dróg o długości 30 km, remont ośrodka zdrowia, oświetlenie ulic, sadzenie drzew i krzewów. Dobrze to świadczy o mieszkańcach gminy, daje świadectwo społecznemu ich zaangażowaniu. Dobrze to świadczy także o grupach partyjnych działających na wsi, o aktywie, o dziewczętach i chłopcach z ZSMP.

Największa gmina województwa miejskiego łódzkiego, musi być także i najlepsza — jak mówią miejscowi działacze. Wraz z przemianami w sposobie gospodarowania idą także zmiany warunków życia ludności wiejskiej, bowiem zawsze, w każdym działaniu najważniejszy jest człowiek oraz to co służy gminie, miastu, całemu krajowi. A że tak jest, można było naocznie się przekonać na II Gminnej Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej w Zgierzu.

Foto: Archiwum

„Architektura jest widoczna dla każdego, a jej rozwój jest zależny od tego, co niewidoczne...."

Fot: Włodzimierz Parys

SZYJEMY BUTY MIASTU

Z JANEM MICHALEWICZEM prezesem Stowarzyszenia Architektów Polskich rozmawia Konrad Frejdlich

Piętnastego maja 1877 roku rozpoczęły się obrady Krakowskiego Towarzystwa Technicznego zawiązanego przez budowniczych i inżynierów...

To potwierdza, że Stowarzyszenie Architektów Polskich, choć nazwa ta zrodziła się grubo później, posiada stuletnią tradycję. Czujemy się spadkobiercami myśli polskich budowniczych, którzy w trudnych warunkach rozbiorowych pamiętali zawsze, że architektura stanowi trwały dorobek kultury narodu. To widzenie było tępione przez zaborców, którzy próbowali zaszczepić nam obce formy sprzeczne z istotą naszych tradycji. W naszym ustroju tych przeszkód już nie ma, toteż ani teorie estetyczne, ani względy oszczędnościowe, ani wreszcie pośpiech nie mogą usprawiedliwiać złych rozwiązań funkcjonalno-przestrzennych. Szkoda, że brzydka budowla jest trwalsza niż jej twórca, a przy tym natrętnie narzuca się odbiorcy, bo nikt nie chodzi z zamkniętymi oczami. Działa antywychowawczo. Przeciwnie dobra architektura, która kształtuje poczucie dumy, iż buduje się nie tylko dużo, ale rozsądnie i nowocześnie. Architektura stanowi zazwyczaj odbicie stosunków społeczno-politycznych, autentyczne świadectwo momentu historycznego.

Świadczy to o ogromnej odpowiedzialności architektów i ich zawodowej organizacji jaką jest SARP. Czy jest to odpowiedzialność czysto moralna, wobec historii i przyszłych pokoleń, czy też architekt posiada prerogatywy, które czynią go autentycznym prawodawcą pejzażu naszych miast i osad?

Architektura to wypadkowa wielu sił. W tym procesie nieustannego przekształcania naturalnego środowiska architekt niejednokrotnie odgrywa rolę wiodącą, ale nie jest jedynym partnerem w stosunku do zamawiającego. Coraz też rzadziej mamy do czynienia z samotnym twórcą, który w ciszy pracowni rozwiązuje problemy, od których będzie zależeć przyszłość naszych miast czy osad. Coraz częściej mamy do czynienia z zespołami ludzkimi, bo też coraz częściej mamy do czynienia z problematyką interdyscyplinarną. Mówię to na podstawie własnego doświadczenia gdyż poza małymi wyjątkami zawsze jestem w grupie ludzi, którzy wspólnie autoryzują określone realizacje. Można to przyrównać do procesu wspinania się po drabinie, gdzie ze szczebla na szczebel każdy wnosi określony wkład umiejętności i pasji twórczej.

Czy to jedyna różnica między dawnym a nowym sposobem projektowania?

Oczywiście, że nie. Zmieniły się nie tylko sposoby pracy architekta, ale cele architektury. Naszym zadaniem jest takie ukształtowanie miejsca bytowania człowieka, które będzie nacechowane humanizmem i egalitaryzmem. A więc chodzi o stworzenie równorzędnych warunków egzystencji człowieka, niezależnie od jego usytuowania w społeczeństwie. To generalna zasada, której musimy podporządkować wszystkie nasze poszukiwania rozwiązań urbanistycznych i architektonicznych.

Rewolucja dokonała się chyba także w samej architekturze?

Jeśli nawet nie była to rewolucja, to w każdym razie zaszły daleko idące zmiany. Stąd nasze powojenne próby projektowania osiedli mieszkaniowych, nie zawsze zresztą udane, choć wartościowe jako etap, jako ważne doświadczenie. Nie uchroniliśmy się niestety przed schematyzmem i uniformizmem w skali ogólnokrajowej. Dziś mamy już szereg pozytywnych rozwiązań, ale średnia jest wciąż daleka od naszych ambicji. Dotyczy to zwłaszcza Łodzi, gdzie z nielicznymi wyjątkami, nie wyszliśmy poza średnią. Notujemy interesujące rozwiązania indywidualne, ale ogólnie nasze próby trzeba ocenić jako dość schematyczne, co wynika m.in. z przyjętych technologii. W Warszawie, Krakowie nawet we Wrocławiu widzi się szereg znakomitych dokonań w porównaniu z naszymi rozwiązaniami i technologiami, bo tam obowiązuje zasada znana dziś powszechnie pod nazwą typizacji otwartej. W Łodzi ze strony realizatora naszych koncepcji spotykamy się z ofertą dwóch-trzech typów budynków i z nich musimy kształtować przestrzeń. Ale to tworzywo jest daleko niewystarczające w stosunku do efektów, które daje typizacja otwarta. Można w ramach tego tworzywa projektować dobrze średnio lub źle, ale efekty tych wszystkich poszukiwań, jak dowodzi praktyka są niezadowalające i dlatego tak poszukiwana różnorodność jest rzadkim zjawiskiem w naszym mieście.

Jest to grzech nie tylko łódzki...

Zapewne, zapewne, ale mówię przede wszystkim o naszym mieście, bo reprezentuję środowisko architektów regionu łódzkiego. I przypadł mi ten zaszczyt, że reprezentuję je akurat w stulecie powstania Stowarzyszenia Architektów. Wiąże się z tym duża odpowiedzialność i wiele miłych obowiązków związanych z obchodami tej rocznicy.

W czasie bieżącej kadencji nastąpiła reforma administracyjna kraju wciągając nas w wynikający z tych zmian nurt pracy. A przecież ani nasz jubileusz, ani reforma administracyjna nie zmieniły codziennej pracy architekta, który jak dawniej musi być odpowiedzialny za kształtowanie przestrzeni. Musimy sprostać odpowiedzialności za realizację społecznego zamówienia na architekturę służącą potrzebom człowieka. Architektura jest dobrem powszechnym i musi służyć społeczeństwu, musi sprzyjać rozwojowi człowieka, jego zdrowiu fizycznemu i psychicznemu. Rola SARP jako rzecznika społecznego w dziedzinie kształtowania przestrzennego środowiska życia człowieka to także codzienny obowiązek oceny zjawisk, zarówno pozytywnych jak i negatywnych. Musimy stymulować takie kierunki działania, które w ostatecznym rezultacie doprowadzą do realizacji architektury będącej niekłamaną dumą społeczeństwa i ukoronowaniem służebnego zawodu architekta.

Czy w łódzkiej tradycji architektonicznej są takie momenty, które pozwalają odwoływać się bezpośrednio do poprzedników?

Łódź przemysłowa powstała i rozwinęła się w ciągu jednego stulecia. Gwałtownemu rozwojowi demograficznemu nie zawsze towarzyszył planowy rozwój przestrzenny miasta. W konsekwencji wyrosło miasto pełne kontrastów, które dopiero dziś staramy się usunąć. W zabudowie miasta prześledzić można trzy fazy jego rozwoju.

Do roku 1914 działali w Łodzi architekci niestowarzyszeni, pracujący indywidualnie. Ten pierwszy okres w poważnym stopniu zaważył na dzisiejszym obliczu miasta. Nie wszystko zresztą, co powstało w tamtym czasie było złe tym bardziej, że działali tu utalentowani architekci. Tacy choćby jak Hilary Majewski, wychowanek Cesarskiej Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu, pierwszy architekt miejski w Łodzi. To właśnie on zaprojektował budynek Miejskiego Towarzystwa Kredytowego przy dzisiejszej ulicy Nowotki, gmach Gimnazjum Miejskiego przy ulicy Sienkiewicza czy słynną cerkiew pod wezwaniem św. Aleksandra Newskiego, prawdziwą perełkę architektury sakralnej. Ale mimo udanych pojedynczych realizacji rozwój miasta odbywał się żywiołowo, co wynikało z istoty stosunków kapitalistycznych.

Okres międzywojenny, w porównaniu z poprzednim charakteryzował się pewną stagnacją. Ożywienie w budownictwie mieszkaniowym można zaobserwować dopiero w latach trzydziestych i wtedy też Łódź, pod względem ilości architektów uplasowała się na czwartym miejscu w kraju. Nie brakowało i w tym okresie twórców wybitnych, którzy związali się z naszym regionem jak choćby Jerzy Berliner, propagujący pojęcie aglomeracji miejskiej Łodzi. Tu działał Henryk Gromski, który zrealizował wiele godnych pamięci obiektów. Jest autorem projektu radiostacji, osiedla ZUS przy ul. Bednarskiej, wreszcie Szpitala Wojskowego przy ul. Żeromskiego. Józef Kaban-Korski zaprojektował gmach Izby Skarbowej i gmach Sądów na placu Dąbrowskiego.

Oczywiście okres największego ożywienia przypadł na nasze czasy.

Popularne porzekadło głosi, że Kazimierz Wielki zastał Polskę drewnianą, a zostawił murowaną. A jak my się zapiszemy w pamięci potomnych?

My zostawimy po sobie Polskę wielkopłytową, jest to technologia, która tymczasem opanowała cały kraj. Ważne tylko, co my z tej wielkiej płyty zrobimy, jak wykorzystamy jej możliwości. Niektórzy architekci twierdzą, że pierwszym projektantem jest inwestor, kształt przyszłej Polski zależy więc w dużej mierze od zamawiającego. I oczywiście bardzo trudno mi powiedzieć, które realizacje zachowają się dla przyszłych pokoleń, bo my projektujemy budynki pod kątem wytrzymałości na 50 do 100 lat. Można by więc żartobliwie powiedzieć, że dla nowych generacji zostaną te wszystkie obiekty, które powstały w okresie Renesansu, bo one są pod opieką konserwatora zabytków. Z naszych budowli pozostaną naprawdę nieliczne i to dobrze. Próba czasu to zresztą zagadnienie ogromnie skomplikowane. Jak już mówiłem architektura jest trwałym dorobkiem kultury narodu, dlatego też ocena tego, co powinno być z naszych osiągnięć zachowane, będzie należała do naszych następców. Czy nam się to podoba czy nie w procesie kształtowania przestrzeni ogromna rola przypada także wykonawcy projektu. A ponieważ architektura spełnia funkcje dydaktyczne jakość wykonawstwa jest także świadectwem kultury. Myślę, że świadomość tego powinna zapaść głęboko w serce wykonawcom.

A jak Pan w kontekście tego wszystkiego ocenia realizacje własne?

Są wśród nich i takie, które w ogóle nie powinny się zrodzić ze względu na swój czysto interwencyjny charakter. Ściślej zaś nie powinny tak długo egzystować. Przed laty wraz z kolegami opracowałem system budownictwa uprzemysłowionego znany jako Łódzka Sekcja Mieszkaniowa. Były to lata sześćdziesiąte, charakteryzujące się znacznym głodem mieszkaniowym, który władze starały się zlikwidować w możliwie najkrótszym okresie czasu. ŁSM to był najtańszy budynek w kraju, koszty jednego metra kwadratowego powierzchni użytkowej wyniosły tylko 1.600 zł. I budynek ten miał być realizowany w krótkiej serii na osiedlu Wielkopolska. Doświadczenie uczy, że prowizorka ma najdłuższy żywot. Choć ŁSM posiada zasadnicze wady, wciąż egzystuje na placach budowy i wygląda na to, że jeszcze będzie egzystowała.

Choć mam wiele chyba udanych realizacji cenię sobie hotel „Centrum". Uważam go za osiągnięcie w mej działalności zawodowej, ponieważ ten gmach został zrealizowany w oparciu o konkurs ogólnokrajowy, który wygrałem wspólnie z kolegami Bronisławem Marszałem i Tadeuszem Nowickim. Około czternastoletnia realizacja niewątpliwie pogorszyła ostateczny rezultat, gdyż myśl architektoniczna rozwija się dziś bardzo szybko i zastosowana tam ściana kurtynowa nie jest już dziś, po upływie takiego długiego okresu czasu, rewelacją. Toteż hotel, po doświadczeniach „Forum" i „Victorii", jest dziś w swoim wyrazie „grzeczny" i reprezentuje tylko średnie osiągnięcie w skali krajowej. Spośród realizacji indywidualnych cenię sobie zajazdy turystyczne typu „dworek" zrealizowane m.in. w Łowiczu oraz między Zduńską Wolą i Sieradzem. Dają mi one satysfakcję ze względu na wkomponowanie w przyrodę i nawiązanie do tradycji tego typu zajazdów.

Słowo tradycja dość często pojawia się w naszej rozmowie. Czy tylko z tego punktu widzenia należy oceniać architekturę?

Trzeba mówić także o wyobraźni, albo zdolności przewidywania. Architektura jest widoczna dla każdego, ale jej rozwój jest zależny od tego, co niewidoczne: od infrastruktury technicznej, na którą składają się kanalizacja, wodociąg, gaz, drogi. Śródmieścia miast wiele ucierpiały w naszych czasach ze względu na niewłaściwą politykę wcześniejszego przygotowania terenu. Polityka „krótkiej rurki" przyniosła opłakane skutki. Rozwoju społeczno-gospodarczego nie można przecież powstrzymać. Nie można powiedzieć sobie: chwileczkę, zaczekajmy, aż będziemy mieli doskonały plan, aż będzie przygotowany teren, bo zwłoka prowadzi do nieodwracalnych społecznych strat. Zresztą nacisk potrzeb jest tak ogromny, że naprawdę nie możemy sobie na to pozwolić, gdy w takim Wrocławiu na mieszkanie czeka się do dwunastu lat, a w Łodzi osiem. Więc tam, gdzie teren jest choćby częściowo przygotowany wkracza się niezależnie od tego, jakie to przyniesie szkody w zakresie kształtu przestrzennego. Architekt musi się włączać do działania już na etapie wstępnym, w fabrykach domów, tam więc, gdzie rodzi się tworzywo, powinien także uczestniczyć w całym systemie działalności inwestycyjnej. Jeśli architekt uchyla się przed takim uczestnictwem natychmiast powstaje próżnia, w którą wciska się byle kto. Np. oprócz budownictwa miejskiego rozwija się przecież budownictwo dla potrzeb wsi. Powstają formy, które obrażają ład przestrzenny, a które stanowią w ogólnej puli blisko 40 proc. działalności inwestycyjnej. Ten krajobraz obrasta złym budownictwem. Próżnia zostaje wypełniona tandetą.

Kto ponosi odpowiedzialność za ten stan rzeczy?

Decydują przede wszystkim potrzeby inwestycyjne, bo jak powiedziałem rozwoju społeczno-gospodarczego nie można powstrzymać. Często przyjmuje się niewłaściwe technologie bez zgody architekta, którego pozycja zależy niekiedy od indywidualnych umiejętności taktycznych. W procesie inwestycyjnym architekt może być partnerem bardzo mocnym, albo też bardzo słabym. Znamy przypadki, że architekci potrafią zdecydowanie bronić swojej koncepcji i znamy przypadki postawy koniunkturalnej. W projektowaniu i egzekwowaniu projektu wiele zależy od władz polityczno-administracyjnych, które ustawiają wysokość poprzeczki, mówiąc językiem sportowym. Architekt pełni przecież rolę służebną wobec społeczeństwa i realizuje jego zamówienia. Egzekwowanie wysoko wzniesionej poprzeczki jest możliwe a nawet wskazane. Jeśli ta poprzeczka jest ustawiona nisko, to prowadzi do realnych strat społecznych.

Jest Pan głównym architektem województwa sieradzkiego i laureatem nagrody tego województwa za działalność projektową...

...Laureatem zespołowej nagrody, która mnie ogromnie usatysfakcjonowała. Z grupą kolegów opracowałem plan zagospodarowania przestrzennego Sieradza, który ma na celu przystosowanie tego miasta do funkcji wojewódzkich. Jest to pierwszy tego rodzaju plan w naszym kraju w odniesieniu do nowych miast wojewódzkich. Chciałbym, aby Sieradz stał się nowoczesnym ośrodkiem miejskim. Chcę, aby to miasto było nacechowane skromnością, ale piękne, bo i warunki krajobrazowe i tradycja na to pozwalają. Do roku 1990 Sieradz otrzyma godne ośrodka wojewódzkiego centrum kultury. Ale pamiętam, że gubi nas często, nas architektów, poziom potrzeb plastycznych inwestora i cieszę się, że w Sieradzu spotkałem się ze zrozumieniem władz. Przyszłość architektury w Polsce zależy od symbiozy: inwestor, projektant, wykonawca. Szkoda, że często odczuwa się ignorancję w stosunku do projektanta, chociaż to on stoi na straży wartości humanistycznych, których materialnym wyrazem powinna być architektura.

Sądzę, że czas już najwyższy, abyśmy podsumowali naszą rozmowę. Myślę, że mam prawo zapytać, jak Pan ocenia dorobek środowiska łódzkich architektów?

Myślę, że przede wszystkim powinniśmy porozmawiać o renesansie kadry. Dzięki staraniom SARP został powołany do życia Instytut Urb. i Architektury, którego kierownikiem został doc. dr hab. Jerzy Samujiło. Działalność instytutu nie tylko spowodowała wzrost liczby architektów. Prawdę powiedziawszy potrzeba społeczna na usługi architekta jest wprost proporcjonalna do poziomu materialnego i kultury zamawiającego. Szyjemy buty miastu, oczywiście w najlepszym znaczeniu tego słowa.

REPORTAŻ

RODZINA INWESTYCYJNA

Dalszy ciąg ze str. 1

Zadałem sobie kilka pytań, sprowadzających się właściwie do jednego: czym jest dzisiaj Sira dla Sieradza i jego okolic? Odpowiedź brzmi krótko: życiem. Sira daje pracę blisko czterem tysiącom ludzi, co, gdyby pracowali w niej sami mieszkańcy Sieradza, stanowiłoby jedną trzecią jego ludności. Sira wypłaca swym pracownikom około 10 milionów złotych miesięcznie. Jaki więc musiał nastąpić w tym mieście rozwój handlu, usług i wszystkich innych dziedzin życia, aby podaż mogła dorównać popytowi. Nie mówiąc już o tym, że Sira zapoczątkowała nowoczesne budownictwo mieszkaniowe w Sieradzu, które przybrało obecnie kształt kilku pięknych osiedli. Pierwsza sieradzka spółdzielnia mieszkaniowa „Dziewiarz" powstała właśnie przy Sirze. Myślę, że fakt, iż Sieradz stał się na nowo miastem wojewódzkim, jest zarówno wynikiem jego bogatych tradycji historycznych, jak i powstania takich zakładów przemysłowych jak Sira.

Idę ulicą wewnątrz zakładu przy szpalerze żywopłotu, nad którym wybujały wysoko drzewa. Ten przyjemny dla oka obraz budzi zarazem refleksję o upływie czasu. Utwierdza się ona na widok mego dawnego znajomego Zbigniewa Smoka: jego włosy, niegdyś kruczo czarne, wyraźnie poszroniały.

Dyrektor wygospodarował sobie czas na rozmowę ze mną, ale ledwo usiedliśmy przy kawie, zadzwonił telefon.

— Tak jest, farbiarnia pracuje także w niedzielę. Czy ludzie wiedzą, dlaczego?... No to dobrze.

Dowiaduję się, że Sira świadczy usługi farbiarskie dla kilku zakładów dziewiarskich spoza Sieradza, w tym dla zakładów im. Hanki Sawickiej w Legnicy. A teraz, na domiar złego, nieduża legnicka farbiarnia, i tak niewystarczająca, została zalana wodą. Powodzie w całym kraju, a tam, w Legnicy, powódź, jakiej nie notowano od trzystu lat. Wysłali pracowników z motopompą, potem brygadę do wymiany silników i instalacji elektrycznych. Była to pomoc doraźna, teraz ich farbiarnia musi pracować w niedzielę, aby ratować plan bratnich zakładów.

— Nas to spotkało w roku 1960 — mówi dyrektor. — Pamiętam, że tamtego dnia byłem na rybach nad Wartą i złapałem dużego suma. Ale nadciągnęła burza i musiałem uciekać do domu. Wróciłem w ostatniej chwili, bo takiej burzy nie doświadczyłem w życiu. Było to, jak powiadają, oberwanie się chmury. Ulicą płynęła dosłownie rzeka, i zaraz też zostałem zaalarmowany, że źle dzieje się z Sirą. Hale wypełniły się wodą na wysokość pół metra. Wtedy właśnie poznałem ofiarność naszej załogi. Ludzie nie zważali na to, że zniszcza ubrania, buty — przenosili na górne podesty wszystko, co się dało, brnąc po kolana w wodzie.

— No tak — mówię przekornie — ale wśród tak licznej załogi zdarzają się chyba i przypadki mniej chwalebne?

— Zdarzają się, a jakże. I to nieraz takie, które trudno zrozumieć. Mieliśmy na przykład pracownicę, która otrzymała złotą odznakę zasłużonej dla Siry. W ślad za taką odznaka idą rozmaite przywileje, pierwszeństwo w różnych świadczeniach socjalnych, a także zwolnienie od kontroli, która ma zresztą u nas charakter wyrywkowy. No i bach! Dowiaduję się, że moja zasłużona pracownica wyniosła dwie bluzki, a gdy dokonano u niej rewizji w domu, wykryto różne wyroby na sumę 27 tysięcy złotych. Trzeba było odebrać jej odznakę i zwolnić ją dyscyplinarnie z pracy. I to wszystko na krótko przed emeryturą. Nie było jednak rady, zwłaszcza, że świadomie zawiodła nasze zaufanie. Była to dla mnie osobista przykrość.

Inny przypadek. Pewien pracownik zaczynał u nas pracę jako uczeń murarza, potem został dziewiarzem, a jeszcze później — mistrzem w dziewiarni. I wtedy doszedł do wniosku, że jemu wszystko wolno: nawet pić wódkę w czasie pracy, zawalać robotę. Można go było zwolnić i do sprawy nie wracać. Postanowiliśmy jednak kolektywnie, że pozbawimy go funkcji mistrza. To podziałało, starał się przez dłuższy czas pracować nienagannie, teraz został przywrócony do poprzedniej funkcji.

KOLOROWE FARTUCHY I SZARE TWARZE

„Wchodzę z Janem Pędzikiem, przewodniczącym rady zakładowej, do hal produkcyjnych. Najmniej hałaśliwie jest w dziewiarni, ale już dziewiarnia huczy i trzęsie się w posadach, przypomina mi to łódzkie tkalnie, pojedyncze słowa musimy wykrzykiwać sobie dosłownie do uszu. Farbiarnia, suszarnia, krajalnia, szwalnia. Największa hala zakładów, długie równo ustawione rzędy maszyn do szycia i siedzące przy nich dziewczyny w barwnych fartuchach. Każdy rząd to fartuchy w innym kolorze, różowe, niebieskie, lila — ta miła dla oka rozmaitość ma jednak również zastosowanie praktyczne. Wiadomo, dziewczęta lubią plotkować, łatwiej jest więc dostrzec fartuszek w innym kolorze wizytujący sąsiadki, niż opuszczoną w którymś rzędzie maszynę do szycia..."

To drugi fragment mego dawnego reportażu z Siry. Teraz mym przewodnikiem po zakładzie jest mgr inż. **Maciej Czaplicki,** kierownik działu nadzoru i koordynacji produkcji. Jeden z wielu pracowników Siry mających wyższe wykształcenie. Wtedy, przed laty, jak pamiętam, pracowało w kombinacie trochę fachowców po technikum, a ponad 200 osób nie ukończyło szkoły podstawowej i uczęszczało na kursy w przyzakładowej szkole dla pracujących. Szkoła przyzakładowa, w której uczy się 320 młodych ludzi, działa dalej — ale uczy po prostu przyszłego zawodu.

Szwaczki, te młodsze i te w średnim wieku, patrzą na nas z kobiecą ciekawością, ale ich zwinne ręce nie odstają od maszyny ani na chwilę. Mają na sobie także kolorowe fartuchy, teraz są one jednak przemieszane.

— Czy nie stosujecie już jednakowych ubiorów w zespołach? — pytam pana Macieja.

— W zasadzie tak, choć trwa jeszcze okres urlopów i funkcjonują różne zastępstwa i przetasowania. Ale na dobrą sprawę nie ma już takiej absolutnej potrzeby.

Na pierwszy rzut oka widać, że zakład idzie z postępem i — dyktatem mody. Tej najbardziej kapryśnej i wymagającej mody damskiej. A więc już nie tylko sukienki, bluzki i podomki. W wielobarwnych stertach leżą tu chodliwe i poszukiwane damskie golfy, tuniki, spodniumy, ubiory kąpielowe, uszyte z nowoczesnej dzianiny przy użyciu druku transferowego.

Dochodzi godzina 14, wkrótce koniec pierwszej zmiany. W szwalni jest jasno, sporo tu doniczek z kwiatami — tym mocniej uderza mnie w tym otoczeniu szarość niektórych kobiecych twarzy. Nie tylko tych starszych. To ciężka praca, wiele godzin spędzanych dzień w dzień przy maszynie. Do tego dochodzi dom, opieka nad dziećmi, kłopoty z zaopatrzeniem dla wielu — dalekie dojazdy pekaesami.

RODZINA INWESTYCYJNA

„Sieradzanie przyzwyczaili się traktować Sirę jako swój zakład pracy, który im tylko winien dawać utrzymanie, mają w tym zresztą swoją rację, co jednak zrobić z dojeżdżającymi, tymi np. ze Zduńskiej Woli, gdzie buduje się dopiero kombinat włókienniczy i gdzie spora część młodzieży pozostaje bez pracy. Albo niektórzy ludzie ze wsi. Nie wszyscy przecież pracują tu po to, by kupić sobie motor lub się wystroić. Na pewno nie zaliczają się do nich, ci którzy żyją z rodziną na jedno- lub dwumorgowej gospodarce. Czy im nie należy się praca w kombinacie?

Jakby na potwierdzenie tego wchodzi do pokoju rady zakładowej jedna z pracownic w towarzystwie swojego „męża zaufania". Pracownica, młoda wiejska kobieta, z początku nie odzywa się ani słowem, nie wiem, czy jest zażenowana, czy też nie dowierza swym oratorskim możliwościom. Jej sprawę referuje „mąż zaufania". W tym wypadku — starsza od niej znacznie kobieta o zniszczonej twarzy. Rzecz w tym, że petentka traci do spółki ze swym mężem, również pracownikiem Siry, blisko 700 złotych na dojazdy, dotąd mieszkali kątem u rodziny w Sieradzu, ale się pokłócili i rodzina wymówiła im mieszkanie. Teraz wróciła z mężem i dziećmi do matki na wieś, jej matka jest biedna i nie może jej w niczym pomóc, pieniądze wydawane na dojazdy wynoszą trzecią część ich wspólnego z mężem zarobku, jak więc mają się z tej reszty utrzymać?

Sprawa jest trudna, bilety dojazdowe otrzymują tylko nieliczni, szczególnie zakładowi potrzebni pracownicy, petentki nie da się niestety do nich zaliczyć. Słysząc to stwierdzenie, kobieta wybucha płaczem, przez jakiś czas słychać tylko jej szloch w pokoju, nie wiadomo, ile za tym szlochem kryje się zawiedzionej nadziei, a ile nadwątlonych nerwów z powodu powikłań rodzinnych. Jedna z pracownic rady notuje sobie nazwisko kobiety, jej prośba zostanie dokładnie rozpatrzona".

To dawnego reportażu fragment trzeci. Pewna pracownica Siry powiedziała mi teraz:

— Proszę pana, rada zakładowa rada, ale u nas kobiety przyzwyczaiły się, że jak nie można czegoś załatwić, to trzeba iść do dyrektora. Nie zazdroszczę dyrektorowi tego powodzenia u kobiet. Jednakże, jak gdyby tytułem rewanżu, ja poszedłem do żony dyrektora, pani Barbary. Nie była to daleka droga. Pani Barbara pracuje również w Sirze, w dziale eksportu.

— Wiele słyszałem o pani — mówię na wstępie, a nie jest to w tym wypadku zwrot grzecznościowy. — Mąż opowiadał mi, że na początku pracy mieszkał w tym samym baraku, co pani, mieszkał z panią przez ścianę i nie mógł tego znieść, że ta ściana dzieli go od pani...

— A tak, wkrótce potem pobraliśmy się i zamieszkaliśmy razem. Spodobał mi się ten przystojny brunet. Wspominamy często z koleżankami tamte czasy, mieszkałyśmy we cztery w jednym pomieszczeniu, bo trudno to nazwać pokojem, miałyśmy połowę drewnianej szafy, pośrodku stała kanonka z rurą, fajnie było, wesoło, do tego stopnia, że kiedy pobudowano pierwsze bloki, tzw. Pytaszówkę (to od nazwiska ówczesnego dyrektora) — nikt nie chciał iść do nich. Zresztą tam umeblowanie nie było wcale lepsze: zakład wypożyczył dla mnie i męża szafę wojskową, żelazne łóżko i etażerkę. Tę pamiątkową etażerkę trzymamy do dziś w naszym mieszkaniu...

— A pani dawne koleżanki?

— Pracują dalej w zakładzie, z wyjątkiem jednej, plastyczki, która wydała się za dyplomatę i mieszka teraz za granicą. Te inne ułożyły sobie życie na miejscu, dostały mieszkania, awansowały, pełnią teraz przeważnie odpowiedzialne funkcje. Trzymamy się dalej ze sobą, jesteśmy teraz wcale liczną rodziną.

— Wiadomo: przybyły dzieci... Chyba także i państwu?

— My mamy dwóch synów, zresztą już dorastających. Żyją swoim życiem, a ja jestem najczęściej sama, bo mąż stale zajęty...

— Chyba także sporo wyjeżdża?

— Ano, wyjeżdża, nawiązuje kontakty z różnymi firmami zagranicznymi, sonduje rynki zbytu. Ale czasami podróżuje bliżej, i to z mniejszym szczęściem. Cztery lata temu był samochodem po sąsiedzku we Wróblewie, ja leżałam w szpitalu, a mąż pojechał tam z synami na obiad. Kiedy wracali, zaczęło padać, ktoś mu tam zajechał nagle drogę i mąż chciał go wyminąć. Samochód wpadł w poślizg, dwa razy przekoziołkował i moi panowie wylądowali w rowie. Nadjechał autobus, zatrzymał się, ludzie wyszli, przyglądają się wypadkowi. Mąż zobaczył znajoma szwaczkę z Siry, więc poprosił ją, żeby zajęła się synami (jeden z nich dostał szoku) i dowiozła ich do domu, a sam podjechał przygodnym wozem na Komendę, żeby zgłosić wypadek. A tam komendant ruchu drogowego siedzi i płacze. Był to czarny dzień. Okazało się, że autokar z naszą wycieczką zakładową na spływ Dunajcem miał czołowe zderzenie z Jelczem, i że są zabici i ranni. W liczbie tych pierwszych, jak podano telexem, miała się także znajdować żona komendanta, pracownica Siry.

Mąż nie zwlekając udał się do zakładu, żeby zorganizować wyjazd ekipy do Zawiercia, gdzie ranni znaleźli się w szpitalu. Wysłał tam wołge, połączył się z Zawierciem i otrzymał wiadomość, że zabity został tylko kierowca, a rannym nie zagraża już niebezpieczeństwo. To go trochę uspokoiło.

Wieczorem, po kolacji, zaczął rozbierać się do snu, schylił się, żeby odsznurować buty, upadł i stracił przytomność. Przyjechało pogotowie, lekarz zbadał go pobieżnie i kazał zaraz ułożyć na deskach. Zabrali męża do szpitala, a tam okazało się, że ma pęknięcie kręgosłupa.

Ja w szpitalu na trzecim piętrze, a mąż na pierwszym. Nikt mi nic nie powiedział o wypadku, nie chcieli mnie martwić. A tymczasem mój pan dogadał się z lekarzami, żeby mu poprzycinali gips tak, by mógł się poruszać, a przynajmniej jako tako siedzieć. Po kilku dniach wypisał się na własną prośbę do domu. Tam wytrzymał tydzień, ale mu się chciało do Siry. Na szczęście mój stan zdrowia uległ poprawie i mogłam zaopiekować się mężem. Najwięcej kłopotów było ze znalezieniem dla niego odpowiednich spodni, bo, wliczając w to gips, miał 115 centymetrów w obwodzie. No a poza tym lato, upały, a on w tej gipsowej zbroi. Zainstalował dwa wentylatory i jakoś to lato przetrzymał, jesienią było już trochę lżej. Pół roku przepracował w tym pancerzu z gipsu. Jak to się stało, że kręgosłup się zrósł, Bóg jeden raczy wiedzieć...

Państwo Smokowie to nie jedyny przypadek „rodziny inwestycyjnej" w Sirze. Pokojarzyło tu się sporo małżeństw jeszcze w trakcie budowy i dzisiaj pracują w zakładach całe rodziny. Ojciec — betoniarz budował Sirę, matka jest szwaczką, syn ukończył technikum i został drukarzem, teraz jest brygadzistą w drukarni. Inny przykład: matka — dziewiarka ma trzy córki i wszystkie pracują w Sirze: jedna po szkole średniej, druga magister inżynier, trzecia dyplomowana pielęgniarka, znalazła zatrudnienie w nowo powstałym zakładowym ośrodku zdrowia. A propos przemysłowej służby zdrowia: były już przypadki, że przyjmowała ona urodziny dzieci na terenie zakładu — obecnych honorowych obywateli Siry. Trudno się dziwić: pracują tu i młode małżeństwa.

Kierownictwo zakładu prowadzi rozmowy z rodzicami, którzy wysyłają dzieci do szkoły średniej lub na studia, aby uczyły się one w takim kierunku, który da szanse zatrudnienia ich w Sirze. Zakład funduje wtedy stypendia, stara się zapewnić absolwentom mieszkania. Tak zabezpiecza się kadrę dla zakładu, bo jeśli nawet awans jest odległejszy, miejscowi czują się z Sirą związani i łatwo z niej nie odchodzą. I tak ugruntowuje się tradycja rodzin włókniarskich, której początek dała „rodzina inwestycyjna".

ZNAKI ZAPYTANIA

Głowię się i nie wiem, co mam o tym myśleć. Przed trzema laty Ośrodek Doskonalenia Kadr Przemysłu Lekkiego w Łodzi skierował do Siry dwoje młodych ludzi, kończących Studium Organizacji i Zarządzania. Mieli napisać pracę kontrolną na temat systemu informacji i zakresu jej dopływu do dyrektora oraz gospodarowania czasem przez dyrektora. Odbyli staż i pracę napisali. Praca jest dosyć krytyczna. Rzecz w tym, że na wgląd do tej pracy naprowadził mnie sam dyrektor. Co go do tego skłoniło? Zgoda, był wtedy początkującym dyrektorem, nie wszystko mu wychodziło. Ale kto przyznaje się tak łatwo do błędów, choćby to były „błędy młodości"?

Oto jest orzech do zgryzienia. Dyrektor Smok nie mógł przecież wiedzieć, co powiedzą mi teraz o nim pracownicy Siry. Że to „ludzki człowiek", że woda sodowa nie uderzyła mu do głowy. Jest spokojny, zrównoważony, a kiedy się zdenerwuje i zaczynają mu chodzić szczęki — przerywa rozmowę i wraca do niej dopiero po jakimś czasie. Żyje z dawnymi kolegami po koleżeńsku, wymaga od ludzi, ale też pomaga ludziom. Trudno jest utrzymać taką równowagę.

* * *

Pracownica Siry, mieszkająca pod Zduńską Wolą, wynosiła z zakładu dwie bluzeczki dziecinne. Gdy to się ujawniło, przyszła z płaczem do dyrektora, mówiła, że te bluzeczki uszyła sama z odpadów, prosiła, żeby nie zwalniać jej z pracy, bo ona jest jedyną żywicielką rodziny. Dyrektor sprawdził te fakty — wszystko się zgadzało. Mąż ją porzucił, sama wychowuje dwoje dzieci, te bluzeczki to miał być dla nich prezent gwiazdkowy. Darowano kobiecie karę, a rada zakładowa zobowiązała się przyjść jej z pomocą materialną.

Inna pracownica, niekoronowana przywódczyni jednego z zespołów, kobieta energiczna, ale i nieopanowana, miała zatarg z majstrową i oświadczyła, że się z nią policzy. Groziła jej sprawa sądowa; Dyrektor zaryzykował i odbył z nią rozmowę. Wtedy przyrzekła w jego gabinecie, że taki wypadek nigdy się nie powtórzy. Zespół, w którym pracuje ta kobieta, jest teraz jednym z najlepszych zespołów.

* * *

W pracy dyrektora dają się zauważyć różne nieprawidłowości, odbywają się narady, z których nic nie wynika, potem decyzje podejmuje on sam — stwierdzają stażyści. To poważny zarzut. Ale można rzecz całą odwrócić. Prowadzenie przedsiębiorstwa, przy napiętych dzisiaj planach, domaga się szybkiego działania. Ktoś ponosić musi ryzyko decyzji i odpowiedzialności.

„Gros czasu pracy dyrektora jest zużywane na działalność interwencyjną, załatwianie spraw produkcyjnych i ludzkich. Dyrektor za mało czasu poświęca na wytyczanie perspektyw". To stażyści. A to fragment zwierzenia dyrektora:

— Trzy lata temu mieliśmy duże kłopoty, walił się plan, jakość, eksport, zakład był pod pręgierzem, wszyscy mieli do nas pretensję. Bardzo to zniechęcało załogę. Prosiłem wtedy przełożonych, żeby nam zaufali, żeby okazali cierpliwość, a my podejmiemy odpowiednie decyzje. To były prawdziwie lata chude. Ale potem wprowadziliśmy nowe surowce, nowe modele i rozwiązania technologiczne — i poszliśmy powoli w górę. Niedawno otrzymaliśmy sztandar Prezesa Rady Ministrów za najlepsze wyniki w resorcie. Sztandar ma charakter przechodni, teraz rzecz w tym, żeby go utrzymać.

Powiem panu w zaufaniu, że to wszystko zaczęło się właśnie w okresie kryzysu, z którym borykaliśmy się przed trzema laty. To paradoks, ale kiedy przeżywa się kryzys, wtedy intensywniej myśli się o przyszłości.

— III nagroda w konkursie na opisanie Ziemi Sieradzkiej.

TADEUSZ GICGIER

Foto. W. Paryś

LITERATURA

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

EGZEKUCJA NA PLACU STODÓŁ

Bestialski mord, masową egzekucję zademonstrowaną przez hitlerowców w naszym mieście na Placu Stodół przeżyliśmy w marcu w trzecim roku wojny.

W tym dniu babcia wezwała mnie z samego rana i poskarżyła się, że czuje się bardzo źle, że już z nią koniec. Wczoraj wieczorem wyszła do ogrodu, z ogrodu na ulicę, uszła parę kroków i musiała przystanąć, coś jej się zrobiło z nogą, ból i bezwład, nie mogła zrobić dalej ani kroku, brał ją strach, że upadnie, opowiadała płacząc.

Wróciła do domu czepiając się jak pijana sztachet.

Było mi babci żal, ale nie mogłem nic poradzić, kiwałem z ubolewaniem głową, stwarzałem zrostowe naczyń kończyn dolnych. Byłem zdania, że należy wezwać lekarza.

Odmówiła stanowczo, nie wierzyła eskulapom, i dalej mówiła, że na dziś była umówiona z Nosorożcem w kawiarni, ale rozumiała, że nie mogłaby wstać, bała się ruszyć z łóżka. Płacząc wyjęła ze szkatułerzyka między workowatymi piersiami miniaturowy kluczyk i kazała, żebym jej podał kasetkę z biżuterią. Kasetka była w bieliźniarce, schowana pod warstwami jedwabnej damskiej bielizny.

Podałem babci kasetkę z metalowym uchwytem. Zerknęła na mnie podejrzliwie. — Albo nie — zmieniła zamiar. — Po co masz się tłuc z pierścionkiem podmiejskim tramwajem. Nie daj Boże, zgubisz albo trafisz na łapankę i Niemcy ci zrabują pierścionek. Jedź po Nosorożca — rozkazała. — Przywieź go tutaj, a nie zapomnij powiedzieć, żeby wziął ze sobą pieniądze, już on będzie wiedział — ile. Czemu stoisz jak pień? Idź. Za to wszystko, co dla ciebie zrobiłam, masz okazję, żeby mi się odwdzięczyć.

Postanowiłem wynieść się wreszcie od babci. Jeszcze mi będzie wypominała swoje dobrodziejstwa! Mieszkanie z babcią nie miało sensu. Ogarnia a mnie gorycz i apatia. Nie chciało mi się nic robić. Przysiągłem sobie, że nie będę pośredniczyć więcej w pokątnych transakcjach babcinych, więc już raczej z rozsądku, żeby gdzieś iść, czymś się zająć, rozładować stan napięcia wewnętrznego byle jaką aktywnością, zgodziłem się pojechać do Nosorożca, ale przyrzekałem sobie, że to już ostatni raz.

Od dłuższego czasu dokuczał mi nieokreślony niepokój, coś w rodzaju bezprzedmiotowego podenerwowania, którego przyczyny nie mogłem sobie wytłumaczyć. Byłem spięty, rozdrażniony, czułem się rozbity fizycznie, odczuwałem bóle w mięśniach i w całym ciele, jak gdybym był skrępowany powrozami. Bałem się nie wiadomo czego, dokuczało mi nie wiadomo co. Rodzaj lęku przed nieznanym?... Obawa przed niepewną przyszłością? Uroiłem sobie, że moje nieokreślone lęki rozwiną się w groźną chorobę umysłową i nie mogłem się od tych obsesyjnych wyobrażeń uwolnić. Ale chociaż los mój wydawał mi się w chwilach depresji przypieczętowany, nie chciałem się pogodzić z domniemanym wyrokiem i postanowiłem stawić czoło niebezpieczeństwu. Jako były przedwojenny student z pierwszego roku na wydziale lekarskim obmyśliłem sobie, żeby jałowy intelektualnie czas okupacji poświęcić na samodzielne studia z zakresu psychiatrii, której znajomość pomoże mi w walce z chorobą. Myśl tę podsunął mi przypadek. W dwa lata po wybuchu wojny zmarł nasz znajomy lekarz, który pracował w szpitalu dla nerwowo chorych. Zmarły pozostawił bogaty księgozbiór z dziedziny psychopatologii. Wdowa po lekarzu pozwoliła mi korzystać z biblioteki męża. Nie wyjawiłem prawdziwego celu moich studiów. Nie chciałem, żeby mnie uważano za kandydata do leczenia w zakładzie zamkniętym. Upozorowałem moją gorliwość naukową zamiarem zdobycia wiedzy, która by mi pomogła wyróżnić się na egzaminie w oczach profesorów po wznowieniu studiów po wojnie. Pogrążyłem się więc w lekturze (przy okazji przeczytałem parę interesujących książek z innej dziedziny, jak „Historia filozofii", „Trois Reformateurs, Luther, Descartes Rousseau" Maritaina i in.) i po dwóch latach samodzielnych studiów posiadałem zasób wiadomości, które pozwoliły mi na uświadomienie sobie, że w moim napięciu i nieokreślonym niepokoju jest rzeczywiście coś nienormalnego. Niestety, co do terapii nie znalazłem skutecznych sposobów ani lekarstw przeciwdziałających chorobie.

Chciałem szybko uporać się z powierzoną mi przez babcię sprawą, wsiadłem do tramwaju podmiejskiego i po pół godzinie stukałem do mieszkania z tabliczką z nazwiskiem Józef Kujawa.

Spodziewałem się, że za chwilę drzwi uchylą się i zobaczę czubek karykaturalnie długiego nosa, jakby przyprawionego do maski przebierańca odpustowego, i zaflegmiony głos zapyta, kto tam?

Ale nikt nie otwierał. Zapukałem jeszcze raz. Cisza.

Zabrałem się do domu. Tramwaj nadjechał na przystanek jakby po mnie. Obijając się o twarde oparcie ławki w rytm kolebiącego się na boki wagonu przyczepnego komunikacji podmiejskiej snułem sentymentalne plany, że przed powrotem do domu, zdążę odwiedzić moją dziewczynę, powiem jej z dumą, że noszę się z zamiarem pójścia do partyzantki. Jadzia pewnie będzie płakała, ale przestanie patrzeć na mnie w taki sposób, że zdawało mi się, że czytam w jej spojrzeniu: „Ty jeszcze tutaj?".

Wzruszało mnie, że ją zobaczę, wzruszały mnie jej łzy, których się spodziewałem, gdy jej powiem, że wybieram się do partyzantki. Moja dziewczyna, Jadzia, to córka rejenta wywiezionego do Oświęcimia drobna, szczupła dzieweczka. Ja też nie jestem herkulesem, raczej — chudy, mam wąską klatkę piersiową, typowy astenik. Może właśnie dlatego dobrze nam ze sobą, że pasujemy do siebie. Gdy przyciskam Jadzię i obejmuję łagodnie, lecz ze wszystkich sił, to zdaje mi się, że mógłbym policzyć wszystkie jej kosteczki, takie z niej chuchro.

Dojeżdżaliśmy do miasta. Przymknąłem oczy i marząc o Jadzi nuciłem „Dziś do ciebie przyjść nie mogę..." I wywróżyłem sobie!

Bo naraz w przepełnionym pasażerami wagonie powstało zamieszanie, które przerodziło się w popłoch. Usłyszałem głosy: Łapanka! Tramwaj zaczął zwalniać bieg. Zobaczyłem za szybą przesuwające się powoli zimne twarze esesmanów.

Starałem się opanować, nie poddawać się panice, zachować spokój i zimną krew. Dookoła mnie wszystko huczało i wrzało. Zdawało mi się, że słyszę łoskot wymijających się pociągów pospiesznych i ludzi, uciekających spod nadjeżdżającej lokomotywy, przebiegających na drugi tor, miażdżonych tam przez koła nadjeżdżającego z drugiej strony parowozu. Słyszałem krzyki przerażenia i zgrozy, i huk tych wciąż nadjeżdżających pociągów pospiesznych, jednego za drugim, świszczących w pędzie i w ostrym gwiździe ostrzegawczym, który przyprawiał o oszołomienie i dezorientację, i popłoch ludzi miażdżonych masowo, wpadających pod rozpędzone lokomotywy zaobłoczone gorącą parą i dymiące czarnymi płatami sadzy.

Wyszedłem na platformę, zeskoczyłem na jezdnię. Mowy nie ma o ucieczce. Dookoła nas gardłowe wrzaski, raus, raus, szczekanie, jakby sfora psów nas obskoczyła. Na jezdni tłumy zaniepokojonych ludzi. Okazało się, że łapacze zatrzymywali tramwaje jadące do miasta i wyjeżdżające z miasta. Długi rząd wagonów stał po jednej i drugiej stronie.

Jakaś monstrualna łapanka czy co? Usłyszałem czyjś głos. Nieprzejrzana kolumna ludzka zamknięta barierami zielonych mundurów Schutzpolizei. I nagle jakieś wściekłe rozkazy na czele kolumny. Otaczające nas Schupo powtarza wściekle: — Marschieren! Marschieren!

Prowadzą nas w kierunku miasta. — Schneller! Schneller! — popędza Schupo.

— Niedobrze się to przedstawia — zagaduje mnie idący w szeregu mężczyzna. — Prowadzą nas w kierunku Placu Stodół. Wygląda mi to na jakiś zbiorowy mord.

Nieznajomy zasiał we mnie ziarno niepokoju. I nie tylko we mnie.

— Dokąd oni nas prowadzą, na litość boską! — usłyszałem rozpaczliwe pytanie i w kłębku głosów twardą odpowiedź: — Nie widzi pani? Prowadzą nas na Plac Stodół.

Zobaczyłem w błyskawicznym skrócie całe moje życie, które przesunęło mi się przed oczami, jak przesuwa się podobno na minutę przed utonięciem, w szalonym tempie pasmo obrazów przeszłości w pamięci tonącego: Ojciec mój, aktor, dublujący rolę Hitlera w komedii G.B. Shawa „Wielki kram", moja matka, fantastka, która wyjechała w poszukiwaniu męża, zaginionego na wojnie, wierząc, że trafił on do oflagu, i od której nie miałem od trzech lat wiadomości, moja dziewczyna, egzaltowana Jadzia, i moja babcia, Maria Konarzewska, nałogowa alkoholiczka, zatruwająca się niezliczoną ilością wypalanych dniem i nocą papierosów.

Szedłem z podniesioną głową. Nie pozostawało mi nic innego, jak iść z godnością, z podniesioną głową na spotkanie z losem, który mi był pisany. I pewnie dlatego, że byłem przekonany, że wybiła moja ostatnia godzina, i udawałem spokój i obojętność starając się zachować pozory męstwa i odwagi może dlatego świadomość bliskiego końca utrudniała mi odgrywanie roli bohatera, a już nie starczało mi absolutnie sił, żeby myśleć o czymś innym, i strzępy zdań wypowiadanych przez ludzi, którzy podzielą mój los, dochodziły do mnie tylko jako cząsteczki fonetyczne, nie zadawałem sobie trudu, żeby uchwycić ich znaczenie pojęciowe, wszystko zmieniało się w szept (niewyraźny), w szmer (deszczu), w szuranie (butów) na bruku. Wolałbym uczepić się jakiegoś innego punktu odniesienia niż ten, który majaczył przede mną, lecz nie mogłem się zdobyć na wysiłek, szedłem w ciemności, jakby mi kto zarzucił kołdrę na głowę, przede mną stała ściana ciemności, do której zbliżałem się z każdym krokiem. Wiedziałem, że w tej ostatniej pielgrzymce (bo nasz pochód był jak pielgrzymka do śmierci, na plac egzekucji) nic się nie zmieni, żadne, najskromniejsze życzenie nie będzie wzięte pod uwagę, zresztą, nie miałem żadnych życzeń, moje myślenie i chcenie zostało sparaliżowane, wpatrywałem się tylko przed siebie, w plecy mężczyzn i kobiet idących przede mną i mówiłem sobie, że nie ja jeden stanę przed plutonem egzekucyjnym, wszyscy idący przede mną będą musieli spojrzeć w lufy wymierzonych przeciwko nim karabinów i postanowiłem opanować strach, nie bać się śmierci, to moje pierwsze hasło na mój ostatni dzień życia, a drugie hasło to: śmierć faszystom, zaś trzecie hasło, jeżeli mi nie zagipsują ust, to okrzyk: Niech żyje Polska! A potem ogarnęła mnie apatia, ale trwałem przy swoim, żeby iść na śmierć z podniesioną głową, i nie dawać wrogom powodu do sycenia się naszym niemęskim zachowaniem się w obliczu śmierci. Wsłuchany w pogmatwany szurgot kroków na jezdni, szedłem przekonany, że mój spokój i opanowanie udzielą się innym, i że wszyscy zachowamy się z godnością i honorem.

Zmęczyłem się, lecz Schupo wrzeszczało: „Marschieren!" więc zrobiłem wysiłek i przyspieszyłem kroku.

Póki nie zobaczyłem wielotysięcznej rzeszy ludzi, spędzonych wcześniej przed nami na Plac Stodół, który władze miejskie przeznaczyły na wysypisko śmieci. Ten teren został uznany przez hitlerowców za właściwe dla Polaków miejsce śmierci, gdzie wykonywano egzekucję przez powieszenie lub rozstrzelanie. Trzy boki placu były zatłoczone przez zbiedzonych mieszkańców miasta; czwarta strona była wolna. A jednak zmieściliśmy się jeszcze i dołączyliśmy do ludzi zgromadzonych na trzech bokach placu. Blask słońca zapalał się i gasł nad udeptanym kwadratem ziemi. Poruszenie w tłumie wywołała wiadomość, że Kripo i Schupo ustawiły za naszymi plecami karabiny maszynowe. Byliśmy otoczeni potrójnym pierścieniem policji, członków NSDAP i miejscowych volksdeutschów.

Na czwartej, dotychczas wolnej stronie zaczęli ukazywać się na skleconych prowizorycznie trybunach wyżsi oficerowie SS w czapkach jak siodła z wierzchami wygiętnymi butnie do przodu. Tylko jeszcze środek Placu Stodół nie był zajęty, coś w rodzaju pustej areny czy ringu na wolnym powietrzu.

Coraz większy gwar przechodził we wrzawę.

— Stille! Ruhe! — zaczęli wrzeszczeć umundurowani i od razu z niepohamowaną wściekłością i furią, czerwone twarze, wytrzeszczone, szkliste oczy, jak u ludzi cierpiących na chorobę Basedowa, istny furor teutonicus. Najsroższi z rozwścieczonych odpinali kabury i sięgali po nagany.

Zrobiło się cicho. Furia wygasła.

Jeden z esesmanów zaczął przemawiać toporną niemczyzną, agresywnym tonem. Tłumacz volksdeutsch podawał całe zdania po polsku. Ogłaszał wszem wobec, że w dniu 5 marca sierżant byłego Wojska Polskiego Stanisław Mierzyński zastrzelił dwóch funkcjonariuszy gestapo.

Nie mogłem dosłyszeć wszystkiego. Wiatr zwiewał słowa. Docierały do mnie strzępy zdań — ...Z łaski Fuehrera obywatele polskiego pochodzenia, zamieszkali i pracujący na odwieczne niemieckich ziemiach Warthegau...

Propagandowe kłamstwo gładko przeszło przez usta esesmana i tłumacza.

...Korzystając z dobrodziejstw przynależności do Wielkiej Rzeszy winni ślepe posłuszeństwo i stosowanie się do zarządzeń władz...

Na wiatr rzucone słowa umknęły z wiatrem.

I dalej słuchałem, że za skrytobójczy mord na dwóch funkcjonariuszach gestapo zostanie rozstrzelanych stu bandytów i przestępców kryminalnych narodowości polskiej.

Na koniec tłumacz podał do wiadomości, że spośród zgromadzonych na placu władze wybrały stu zakładników, którym grozi rozstrzelanie w razie jakiejkolwiek manifestacji lub próby oporu przez obecnych świadków egzekucji.

Straciłem panowanie nad sobą. — Kanalie! — wyrwało mi się z ust.

Znajomy magister farmacji ujął mnie za ramię. — Niech pan milczy! nakazał gorącym szeptem. — Nie chce pan chyba ściągnąć nieszczęścia na zakładników.

Starałem się zaczerpnąć powietrza. Nie mogłem. Dusiłem się własną niemocą jak kneblem wciśniętym w usta. Dusiłem się ze słabości i wstydu, że muszę bez protestu poddać się przemocy okupanta.

Warkot ciężarówek wstrząsnął powietrzem. Warkot coraz bliższy.

W tłumie zaczęły krążyć wiadomości, że przywieziono więźniów z obozu w Radogoszczu, miejsca najwymyślniejszych tortur, jakie znała historia i jakie stosowali na bezbronnych hitlerowcy.

Ponowne poruszenie wśród stłoczonych ludzi. Zrobiło się ciasno. Przyciśnięty do mnie magister pokazał palcami na trybuny. — Niech pan się dobrze przyjrzy — mówił ledwie dosłyszalnym szeptem. — Ten na trybunach wśród esesmanów. Widzi go pan? Najwyższy wzrostem.

— Tak, widzę — odpowiedziałem.

— Podobny do Himmlera. Taka sama twarz, blada, nalana opuchlizną. Zwyrodnialec — szeptał magister ściszonym głosem. — To Erwin Kautner, sadysta. Autor tej publicznej egzekucji.

Pluton egzekucyjny wstąpił do akcji. Trzydziestu Schupo w zielonych mundurach wyszło na plac.

— Teraz rozumiem, co ma na celu ta egzekucja — powiedziałem. — Oni chcą nas sterroryzować.

— Niech pan mówi ciszej.

— Chcą nam odebrać wiarę w skuteczność walki.

— Taki jest ich cel.

— Chcą osłabić w nas wolę oporu i walki.

— Tak.

— Niedoczekanie — mełłem w ustach przekleństwa. — Niedoczekanie.

— Wśród narodów cywilizowanych znane jest pojęcie ludzkości — usłyszałem znów namiętny szept magistra. — Ale spróbuj pan iść z tym słowem do tamtych oprawców na trybunach. Wystarczy spojrzeć na ich gęby, zastygłe w wyrazie pychy i krzyżackiej buty, żeby domyśleć się, z jakich kręgów społecznych rekrutują się oprawcy, dla których okrucieństwo jest drogą do awansu. To ludzie z moralnego dna i mezginesu drobnomieszczaństwa niemieckiego, hycle i sutenerzy, gracze w trzy karty, niebieskie ptaki, wykidajły burdelowi, zdeprawowani zboczeńcy, opryszki, rajfurzy, nożownicy, stręczyciele podejrzanych transakcji, kryminaliści, hieny, szamowiny społeczne, które Reichsminister Himmler zwerbował do krwawej roboty przeciwko Polakom, i które jak robactwo wypełzły ze swoich dziur i szpar do Polski. Im bardziej wyrafinowany sadyzm i rozpasane zezwierzęcenie w torturowaniu bezbronnych ofiar, tym większa zasługa i wyższy stopień w hierarchii NSDAP, i dłuższy prefiks „obersturmbann..." w nazwie rangi w partii nazistowskiej. Żaden przyzwoity człowiek nie podjąłby się takiej katowskiej roboty, jaką oni wykonują.

Wprowadzono pierwszą partię skazanych. Piętnastu mężczyzn, skutych ze sobą kajdankami, spiętymi na rękach. Była to wyrafinowana tortura. Kajdanki wpijały się w przeguby. Każde poruszenie jednego ze skazanych sprawiało ból pozostałym czternastu.

Spojrzałem na zawieszone przedwiosenną mgłą niebo wzywając Boga na świadka.

Delikwentów ustawiono przed plutonem egzekucyjnym.

Jakaś kobieta zaczęła modlić się półgłosem: — Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech...

Serce zamarło mi w piersi. Chłód śmiertelny rozszerzał się na brzuch i nogi. Zamknąłem oczy bojąc się, że rozum zmąci mi się od widoku, jaki miałem zobaczyć.

Salwa karabinowa trzasnęła jakby niebo runęło.

— ...Jako w niebie, tak i na ziemi — modliła się kobieta.

Nad zgromadzonym tłumem wzniósł się ciężki od rozpaczy jęk.

Magister ujął mnie za ramię. Poczułem dojmujący uścisk palców. Coś mówił. Słowa zagłuszał płacz kobiet.

Magister potrząsnął mną. — Niech pan spojrzy — mówił łamiącym się szeptem. — Niech pan spojrzy — wskazał palcem na zgromadzonych na trybunie esesmanów. — Oni się śmieją. Czy pan widzi? Oni się śmieją z naszego bólu i z łez naszych kobiet. O tym nie wolno zapomnieć.

(Fragment powieści pod tytułem „Egzekucja na Placu Stodół", która ukaże się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego).

ANDRZEJ WIKTOR MIKOŁAJEWSKI

W SŁOWACH WIERSZY

w słowach wierszy
zdarza się odnaleźć
powalone serce
a zapach krwi zwierza
pachnie kwiatem

— samotność
to jedyna kobieta
do której można się przyzwyczaić

w ten sposób
raz jeszcze stwierdzamy że róża
ma kolce
i że śmierć
jest zwierzęco łagodna

ODA DO DZWONKA

Dzwoń jeżeli z ł e g o nie przynosisz
Dzwoń jeżeli miłość dobrą niesiesz
Dzwoń jeżeli nie jesteś mi wrogiem
Dzwoń odważnie jeśli-ś przyjacielem
Dzwoń wesoło gdy jesteś wesoły
Dzwoń tragicznie gdy żądasz pomocy
Dzwoń gdy jesteś głodny i spragniony

Ale nie dzwoń
gdy zabrać chcesz szczęście
gdy chcesz okraść mnie choćby z pieniędzy
i gdy radość chcesz wyrwać z ogniska
Nie ośmielaj się dzwonić gdy-ś szpiclem
Utrać ręce nim zbrodni dokonasz
Utrać siebie gdy-ś innych się wyrzekł
lecz ja ciebie
jak Chrystus tak przyjmę

W RZECE CIERPIENIA

cokolwiek trwa
zna siebie
tylko gdy jest człowiekiem
i wtedy właśnie czas swój ma
i przestrzeń
poznaje wolność
i niewolę trwania
odkrywa wieczność którą jest
I s t n i e n i e
i może kochać
śnić w Rzece Cierpienia
świadomie walczyć
i świadomie odejść
— by wrócić
w swą właściwą postać:
w urzekające go
milczenie Ziemi

LITERATURA

EDWARD SZUSTER

CZOŁGISTA

(fragment opowieści)

Kilkanaście metrów od domu kończyła się zadrzewiona płaszczyzna i stromy stok, porośnięty ostrą trawą i kępami żarnowca, opadał ku nadrzecznej łące leżącej o dobre dwadzieścia metrów niżej. Zielony dywan łąki przechodził po kilkudziesięciu metrach w piaszczystą łachę z rzadka trawą zarosłą, a ta — w szmat pilicznego piachu, schodzący łagodnie do wody. Po drugiej stronie rzeki, znów przez piaszczysko i świeżo porośniętą łachę, brzeg przechodził w rozległe łąki zajmujące wielkie zakole ciągnące się aż do wysokiego progu terasy, na której aż po horyzont kędzierzawił się sosnowy las podchodzac pod wieżyce podklasztorza. Pilica błądziła po tej dolinie, to pomykając ku Barkowicom, to uciekając od nich ku wschodowi i znów zawracając do świeżych ruin murowanieckich budynków. Ponad jej zakrętami wzrok sięgał z cypla daleko, aż po sulejowskie kominy i wieże, aż po konstrukcję kurnędzkiego wapiennika, aż po czuprynę lubieńskich lasów.

— Przydałoby się trochę słońca.

Obejrzałem się i stwierdziłem, że łuż za mną przykucnął Paweł, który bezszelestnie przyszedł tu chyba przed chwilą. Skinąłem sąsiadowi głową.

— Tak jakby się przecierało od rana.

— Gdyby przez niedzielę poświeciło, to w poniedziałek można iść na łąki.

— Niektórzy już posiekli.

— Posiekli i siano leży, a nie schnie.

— Wygląda na to, że ostatni rok będzie zbierać z tych łąk.

— Pewnie, jak woda przyjdzie...

— Odszkodowanie pan już wziął?

— E, takie tam odszkodowanie. Łąkę gdzie indziej by mi dali, a nie odszkodowanie.

— Piotr mówił, że weźmie dziewięć tysięcy.

— Może i weźmie.

Paweł wyciągnął z kieszeni wymiętoszoną paczkę papierosów i poczęstował mnie. Nie paliłem, podziękowałem i gadaliśmy sobie przez chwilę o tym, jak to papierosy szkodzą i jak bez nich trudno. Potem Paweł zapalił i zaciągnął się serdecznie.

— Porządki pan robi w obejściu?

Przytaknąłem i opowiedziałem o znalezionym w kupie bolesławowego złomu wojennym żelastwie, z którego można by chyba złożyć z pół czołgu. Paweł uśmiechnął się szeroko.

— Do czołgu — powiedział — to nieboszczyk miał specjalny dryg. Czołgista.

— Jaki on tam czołgista. Piechur i tyle. Nieraz opowiadał mi o swojej służbie.

— Czołgista, powiadam panu. Taki specjalny.

Domyśliłem się, że Paweł chce poczęstować mnie jakąś historyjką, jedną z tych, jakie lubił opowiadać, a czasem nawet wierzył, że to, o czym opowiadał, zdarzyło się naprawdę. Wiedziałem jednak, że tak wprost to mu tej historii z zanadrza nie wyciągnę.

— E, gada pan byle co — powiedziałem.

Paweł obruszył się.

— Nie byle co, a tak, jak było.

— Albo jak się panu przywidziało.

Paweł spuścił głowę i milczał. Był to dobry znak.

— Stare dzieje — rzekł wreszcie. — To było zaraz potem, jak on tu nastał. — Wskazał ruchem głowy dom stojący o kilkanaście metrów za nami.

— To znaczy zaraz potem, jak z Prus wrócił?

— Właśnie — przytaknął Paweł. — Wrócił, no i zaraz ludzie zwiedzieli się, że on i kowal, i ślusarz, to mu różne tam rzeczy do reperacji znosili. Wie pan, jak to po wojnie było: nowych statków dostać trudno, a stare się wysłużyły i wymagały starunku. Znosili do niego, ale on tyle co młotek, pilnik i pięć palców miał. Wiele się tym nie zrobi. No to i rozglądał się, gdzie mógł, za jakimś narzędziem, ale grosza nie miał, a darmo to nikt się przecież nie kwapił dawać. Ktoś mu poradził, żeby po lesie poszukał, po samochodach czy innych maszynach, co je Niemcy pozostawiali. Wie pan, w styczniu cofała się lasami przez Zarzęcin, a potem przez Pilicę i naszą wieś jakaś jednostka i kupę sprzętu porzucała po drodze, bo na reperację czasu nie było.

— Doszła aż pod Łódź i tam ją dopiero rozbili.

— Ano. W tych samochodach zostały jakieś klucze, pilniki, szczypce; mógł je brać każdy, komu były potrzebne, byle tylko znalazł. Bolesław posłuchał, zaczął łazić po lasach, po tej i tamtej stronie Pilicy, aż pod Tomaszów prawie, i coś tam sobie to tu, to tam, stronami, po bocznych duktach znalazł. Kiedyś, pamiętam, przyszedł do mnie, żeby mu furmankę dać, bo kuźnię polową gdzieś naszedł.

— Naprawdę?

— A tak. Przywiózł ją, koksu skądś wykombinował i miał ogień jak się patrzy.

— I od tego czołgista?

— Z tym czołgiem to później było. Wypatrzył go gdzieś za Zarzęcinem, wziął od mojego brata wóz i pojechał zabierać to, co mu się tam widziało. Zabrał ze sobą dwóch chłopaków, takich łebków, żeby mu pomagali. Przejechali przez rzekę tu, pod pańską górą i w las...

— Wtedy las przy rzece wycięty był na dobre pół kilometra.

— Tak jak teraz. Zdążył po Niemcach podrosnąć i wycięli go pod zalew. Ale Bolesław wybrał się daleko, tam gdzie las stał nieruszony. Jechali, jechali i dojechali do tego czołgu, co tam sobie stał przeszło z pół roku, bo ta ich jazda to gdzieś na wykopki przypadła czy wcześniej. Bardzo się chłopakom ten czołg spodobał, jeszcze nie widzieli z bliska takiego smoka. Mogli sobie łazić po nim, jak im się zechciało, a Bolesław mówił im co i jak, bo w Prusach, w fabryce, przy czołgach robił. Wlazł do środka przez klapę w tej wieży, chłopaki za nim, a on im pokazywał, gdzie motor, gdzie armata, gdzie maszynówki. No i jak im tak pokazywał, to raptem, jak ci nie łupnie! Zahuczało w czołgu jak w dzwonie, zaśmierdziało. Chłopaki i Bolesław nie wiedzieć kiedy wyskoczyli z maszyny i w las. Jak im strach minął, połapali się, że widać któryś odpalił nabitą armatę. Wrócili do czołgu, ale wpierw musieli szukać wozu i konia, który wystraszony pognał gdzieś w las.

— Teraz rozumiem, czemu czołgista...

— Niech pan posłucha, to jeszcze nie koniec. Znaleźli wóz i konia, przyprowadzili go nazad do tego czołgu i przysiedli przegryźć, co tam który miał. Jak strach minął, to im się nawet to strzelanie spodobało. Chłopaki mówią, że jak Bolesław sobie strzelił, to im się też należy. Bez strzelania, mówią, nie zaczną żadnej roboty, niech sobie Bolesław sam to co mu potrzebne z czołgu odkręca. On też nie był od tego. Strzeliło mi się, powiada, nieumyślnie, jakby pomyłkowo. Takie pomyłkowe strzelanie to żadne strzelanie. Uradzili, że najpierw jeszcze raz strzeli Bolesław, żeby sprawdzić jak i co, a potem puknie sobie każdy z chłopaków: po razie i po sprawiedliwości. No i jak uradzili, tak zrobili. Dobrze im szło to strzelanie, chłopcy chcieli nawet wszystkie pociski wystrzelać, bo było ich tam sporo, ale Bolesław nie dał. Schowamy je, powiada i jak przyjdziemy tu znowu, to będzie z czego strzelać. Jak jest coś dobrego do zjedzenia, to tylko głupi zżera wszystko od razu.

— Patrzcie, jaki filozof.

— Ano. Znaczy się, kropnęli sobie trzy razy z tego czołgu. Na zmianę jeden strzelał a inni znów konia trzymali, żeby im w las nie uciekł. Potem zabrali się do roboty. Coś tam, nie wiem już co, Bolesław chciał ze środka odkręcić i sobie przywieźć. Mordowali się z tym i mordowali, bo to przecież nie rower był ani pług, a czołg, i to jeszcze zastały, i zardzewiały przez te miesiące, co je w tych krzakach przy dukcie przestał. W środku tego pudła miejsca dużo nie było a oni, niezwyczajni ciągle się o żelastwo obijali, a robili ledwo co. Dłubali się, dłubali. Bolesław klął na chłopaków, oni sklamrzyli na niego, aż tu nagle, słyszą, że ktoś na czołg włazi, do środka zagląda i każe im wychodzić takim głosem, że ich od razu strach obleciał. Wyłażą, patrzą, a koło czołgu stoi wojsko z bronią gotową do strzału. Ze sześciu ich tam było.

— Skąd się wzięli?

— Tego to ani Bolesław, ani chłopaki nie wiedzieli, bo i skąd. Potem dopiero okazało się, że to byli kabewiacy z Tomaszowa, źli jak diabli, upaćkani, zmordowani. Złapali za kark Bolesława i tych chłopaków, pytają, czy to oni strzelali z tego czołgu. Tamci mówią, że nie, ale gdzie im tam wykołować żołnierzy znających się na rzeczy. Starszy zajrzał do lufy, powąchał i wiedział co mu trzeba. A wy cholery, powiada, idioty zatracone, to my przez was alarm mamy po nie dospaniu, po lasach przez was latamy jak te głupie, a wy tu się bawicie. Wlejcie im tam chłopcy, zdrowo na dupę, żeby więcej głupot nie robili. Bo to, panie, okazało się, że te pociski, co z nich sobie Bolesław i jego pomocniki strzelali, pod Tomaszowem się rwały i strach na całe miasto zrobiły. Wiadomo, różni jeszcze w te dni po lasach chodzili.

— To prawda — mruknąłem, przypominając sobie, że w sierpniu 1945 roku, po tamtej stronie Pilicy, gdzieś pod Białaczowem, natknąłem się na urzędującego w lesie swego towarzysza broni z okresu okupacji. W tym samym czasie, tuż nad Pilicą, w przygotowanych przez Niemców okopach, inny mój okupacyjny kombatant opierał się przez parę godzin na czele swego oddziału żołnierzom radzieckim, których niebacznie zaczepił.

— No i od tego czołgista — powiedział Paweł.

— Mieli się czego wściec ci kabewiacy — przyznałem.

— A pewnie.

— Zabrali ich do Tomaszowa?

— E, gdzie tam. Jak zobaczyli jednego starszego głupka i dwóch szczyli to im tylko zdrowo dołożyli i tyle. Tak im dołożyli, że Bolesław już się do tego czołgu nie zbliżał, obchodzili go z daleka.

Spojrzałem na Pawła uważnie.

— Skąd pan zna tę historię? Bolesław nie chwalił się nią chyba?

— On nie, ale te łebki, co z nim były, to się wygadały.

— A którzy to?

— Z tamtego końca wsi. Teraz już ich tu nie ma. Dorośli i poszli do miasta. Jeden nawet w Szczecinie mieszka.

— Dziękuję za dobrą historię, panie Pawle.

— A co, myśli pan, że nieprawdziwa? — zaniepokoił się Paweł.

— Myślę, że jest bardzo dobra.

Popatrzyliśmy na łąki dojrzałe już pod kosę, na las wełniący się za łąkami, ten sam las, w którym jeden stary głupek i dwóch szczyli strzelało niegdyś z czołgu, i w którym w ogóle działo się wiele innych rzeczy. Zadumanych i zapatrzonych, naszła wracająca ze sklepu Magda.

— Widziałam się z Piotrem — powiedziała. — Mówił, że przyjdzie pod wieczór.

HENRYK HEINE

Z „KSIĘGI PIEŚNI"

„Miłość szczęściem nas napawa,
miłość nas wzbogaca też!" —
Taka melodyjna wrzawa
kraj przebiega wzdłuż i wszerz.

Ty tę piosnkę znasz, mój druhu!
A jej urokliwe tony
odżywają w twoim uchu,
gdy nadchodzi dzień wyśniony,

kiedy dziewczę, pełne wdzięku
dłoń swą z twoją dłonią splata,
a po chwili — z sakwą w ręku —
związek błogosławi tata.

W sakwie srebro i wyprawa,
dukacików — ile chcesz...
Miłość szczęściem nas napawa,
miłość nas wzbogaca też!

* * *

Kto ma złota pełen trzos,
będzie wciąż porastał w pierze.
Kto ma mało, temu los
rychło drobiazg ten odbierze.

Ale jeśli nie masz nic,
każ pogrzebać się, hultaju!
Na tym świecie bowiem żyć
mają prawo ci, co mają.

* * *

A kiedy już będziesz poślubiona mi,
świat cały ci pozazdrości.
Na grach i zabawach upłyną twe dni,
pełne beztroskiej radości.

Nie wzbronię ci flirtów, ni szaleństw, ni hec,
dam ci wszelaką swobodę.
Lecz gdy nie pochwalisz mych wierszy, to wiedz,
że wnet się z tobą rozwiodę!

Przełożył: HORACY SAFRIN

JERZY S. FELIKSIAK

CHWILA SKUPIENIA

Chwila skupienia dla wielu — il skały,
dla mnie tak cenna jak kryształ i storczyk.
Bez niej nie można pojąć praw uroku,
dokonać w sobie rachunku szczerości
i uczcić zmarłych.

Z dala od zgiełku i upstrzonych witryn
można w niej złożyć ostrze wszystkich zmysłów,
odnaleźć słowo jak świecę w kościele,
niepokój zdławić niezależną myślą
i sprawdzić instynkt.

Chwila skupienia podlega ochronie;
jeśli ją zniszczą, utracę swój pejzaż.
W innej przestrzeni — zmienność błędnych wrażeń,
słowa bez wnętrza.

PLAC SMUTNEJ ZIELENI

Między brukiem ulic, przy fabrycznym ścieku
jak płótno płowieje plac smutnej zieleni.
Wśród krzewów bibosze dobrze podchmieleni
kupują śmiech kobiet i krótką namiętność.

Za plażą kochanków i placem pijanych
nie tylko od głogów czerwienieje szkoła.
I dzieci zbierają butelki jak zioła,
nie wierzą, że tutaj przylecą bociany.

GRZEGORZ KOŚCIŃSKI

★ ☆ ★

Tak grał Małcużyński
(i zmarł)
Komunikat radiowy
(w nawiasie komentarz)
I widzę wielki kondukt wiedziony na cmentarz
Kare konie bezmyślnie wstrząsają swe grzywy
I bezmyślny gramofon wydaje dźwięk krzywy
I ta czerń zasmucona w bieli gorsów białych
I ten koncert — urwany w pół — a może cały?

I cóż po nas zostanie — tu — na tamtym świecie
Ów błysk neutronowy — kornik w drzewie białym
Owe słowa wyryte w publicznym szalecie
(Cel oszczędzany zawsze przez świat cały)

INTYMNIE

Wbrew tytułowi nie będą to intymne zwierzenia czy szczególnie osobiste sądy. Wydaje mi się natomiast, że niedawno otwarte w łódzkich galeriach wystawy dwóch czołowych artystów młodszego pokolenia, łodzian — można spiąć taką właśnie wspólną klamrą.

Galeria Sztuki współczesnej DESA prezentuje malarstwo **Mariana Kępińskiego.** Na jego specyficzny klimat składają się dziwne labirynty, odrealnione pejzaże, przypadkowe (jakby zaczerpnięte z repertuaru malarstwa surrealistycznego czy „metafizycznego") spotkania rekwizytów. Niewielkie, wyrysowane z ogromną precyzją płótna kryją odczuwalny ładunek emocji, nastrojów i napięć — o jakich artysta stara się jednak opowiadać łagodnym, ściszonym głosem. Jego melodię wzmacniają: ściśle wyważona kompozycja i nastrojowy kolor. Można domyślić się, że z obu tych elementów złożona jest usypiająca spostrzegawczość widza zasłona — która jednak prowokuje, by mimo wszystko zechciał ją odsłonić.

Obrazy Kępińskiego z pewnością nie należą do „łatwych w odbiorze". Artysta posiada własny system porozumiewania się, prywatny zbiór kodów z których tworzy wielowarstwowe konstrukcje. Pełnoprawnymi elementami znaczeniowej struktury są: przestrzeń, powracające w kolejnych obrazach motywy ziemi porośniętej kamiennym lasem ostrosłupów i obelisków, mury z szarej cegły porośnięte wyschłą trawą. Niecodzienność lub może raczej — nadrealność tego dziwnego środowiska podkreślają pływające w przestrzeni czy wbite w ceglane mury haki i zakrzywione gwoździe. W tym świecie pancerny agregat z grubej stali nazywa się „Biblioteką" a fruwająca na uwięzi jak balon, skrępowana sztabą metalowa szafa ostrzega: „Nie wyruszaj w podróż przed świtem".

Łatwe do odczytania jest tylko to, że mamy do czynienia z intymnym, zapisanym przy pomocy wieloznacznych symboli rozrachunkiem wobec rzeczywistości. „Prywatność" zapisu jest barierą dla prób rozszyfrowania sensu poszczególnych znaków, symboli czy kontekstu. Zmuszony jestem przyznać, że nie w pełni mi się to udało. Ta sama „prywatność" sprawia jednak, że należy ją w całości zaakceptować. Kępiński zdaje się całkowicie świadomie odkrywać wobec odbiorcy zaledwie część znanych sobie prawd — po to, by pozostawić mu satysfakcję odkrywania piętrzenia własnych skojarzeń.

Galeria Współczesna BWA prezentuje twórczość **Andrzeja Kabały,** grafika i ilustratora książek. Kabała posługuje się elementami zaczerpniętymi z rzeczywistości i z kręgu ikonograficznej tradycji sztuki. Z pozorną swobodą i łatwością rozmieszcza je na ukrytej lub wyrysowanej starannie siatce — jak niekiedy dekoruje się firankę kwiatami i motylami. Swoboda jest o tyle pozorna, że postałe w ten sposób collage nie rezygnują z klasycznych prawideł kompozycji, w której poszczególne akcenty znajdują swoje odpowiedniki po drugiej stronie osi. Mimo to grafiki sprawiają wrażenie „notatek" z nieskrępowanej projekcji skojarzeń. Ich uporządkowania — na użytek odbioru — nie ułatwiają wcale zaskakujące tytuły prac. Artysta zdaje się wybierać z nieprzerwanego strumienia zapamiętanych lub odkrytych motywów te, które odpowiadają nastrojowi, psychicznej dyspozycji czy w końcu — korespondują z klimatem całości. Powstają w ten sposób dzieła pełnej lirycznej poetyckości, urzekające wyrafinowaną techniką „starych mistrzów", pełne cytatów z ich twórczości obok motywów z otaczającego nas świata.

Grafiki Andrzeja Kabały nie starają się pretendować do roli wykładni rzeczywistości. Sugerują coś zgoła odmiennego — możliwość przeniknięcia w sfery prywatnych, intymnych doznań — na tyle jednak odmiennych, że do końca nieuchwytnych. Złożone niemal w całości z przedmiotów i geometrycznych figur — nie dadzą się „opowiedzieć", jak nie można w pełni zdefiniować osobowości, nastroju czy poezji.

Malarstwo Kępińskiego i grafika Kabały mają już stabilną ogólnopolską pozycję: w pełni chyba zasłużoną. Mimo odmienności technik pozwoliłem sobie na połączenie obu nazwisk nie tylko dzięki przypadkowemu zbiegnięciu się w czasie ich wystaw. Na tle szerokiego, chętnie dziś uprawianego w plastyce nurtu „metaforycznego" obaj artyści zachowują podobny, specyficzny sposób zwracania się do widza — który da się porównać z zaproszeniem do prywatnego mieszkania przy zastrzeżeniu, że dla gospodarza pozostaje jednak bogata sfera głęboko osobistych doznań. Nie ma w tym niczego z kokieterii, kuszenia czy „zdobywania" sympatii odbiorców. Intymnie — oznacza pewną konwencję prezentacji i recepcji wartości które mogą (choć w równym stopniu — nie muszą) być wspólne. Intymnie — znaczy również opowiadać wszystkim, którzy zdecydują się na bliski kontakt własną wizję świata prawdziwą i niefałszowaną.

Wielki Pablo Picasso pytał „Czy można zrozumieć śpiew ptaków?". Andrzej Kabała i Marian Kępiński starają się nas przekonać, że nie jest to niemożliwe...

ANDRZEJ MAJER

BYĆ KOBIETĄ PO MĘSKU

Agnieszka Holland jest najbardziej przebojową postacią kina damskiego ostatnich lat. Wzięła udział w zbiorowym debiucie „Zdjęcia próbne" filmie, który zebrał nie wiedzieć dlaczego umiarkowane opinie. Zrobiła kilka coraz lepszych filmów telewizyjnych m.in. „Niedzielne dzieci", a ostatnio „Coś za coś". Jest zatem przykładem kariery dość wyjątkowej, bo po pierwsze — wychyliła głowę i dała się dojrzeć w tłumie filmowej „młodzieży", który z roku na rok gęstnieje w bezczynności, a po drugie — jest kobietą, a startuje w konkurencji wybitnie męskiej, gdzie płci przeciwnej o sukces niezmiernie trudno.

Holland jest przedstawicielką kina damskiego, co nie znaczy babskiego. „Babskość" w sztuce jest pewną dość łatwo wyczuwalną kategorią trudną do zniesienia w odbiorze. Odznacza się ona najczęściej rozmamłanym liryczeniem, szmirowatą nastroikowością i pseudopoetyckością, które razem składają się na ewidentny brak sensu. (Na marginesie: nie zapomnę egzaminu u jednego z moich profesorów który temat twórczości Orzeszkowej zwieźle podsumował — „Ma pan rację, ona jest taka pierniczkowo-babska"). Agnieszka Holland ma na sumieniu jeden film w „pierniczkowym" stylu z gołębiami w tytule wg Iwaszkiewicza — więcej nie pamiętam, bo wyłączyłem telewizor i chciałem p. Holland skreślić. „Zdjęcia próbne" zachwiały mnie w tym zamiarze, ale tutaj Holland wystąpiła w trio z przewagą głosów męskich. W „Coś za coś" przekonała mnie do końca, zaskakując dojrzałością warsztatu, wyczuciem dramaturgii i umiejętnością sformułowania ważkiego dla naszego czasu problemu psychologiczno-obyczajowego.

Film powstał w oparciu o sztukę telewizyjną Andrzeja Szypulskiego „Życie seksualne białych myszek", która zdobyła drugą nagrodę (pierwszej nie przyznano) w konkursie na utwór o tematyce kobiecej (sic!) ogłoszonym przez Ligę Kobiet. Z tego kobiecego dramatu Agnieszka Holland zrobiła kino nie tylko do oglądania ale i do myślenia.

Bohaterem filmu jest docent przedstawiony według antyhagiograficznego kanonu, jaki wypracował w odniesieniu do tej raczej waskiej kategorii społecznej Krzysztof Zanussi w swoich filmach. Jest to więc zimny drań z komputerem w głowie, cyniczny i bezwzględny w kontaktach z bliźnimi, skoncentrowany bez reszty na naukowej karierze. Z tą tylko różnica, że u Holland docent chodzi w spódnicy i nie gra go Zbigniew Zapasiewicz, lecz Barbara Wrzesińska. Obsadzenie znakomitej aktorki właśnie w tej agresywnej roli, podczas gdy pamiętamy ją doskonale ze „Struktury kryształu", gdzie po raz pierwszy błysnęła w roli kury domowej, świadczy nie tylko o wszechstronności Wrzesińskiej, ale również o przewrotności Holland.

Ale nie o przewrotność tu chodzi. Agnieszka Holland pokazując taki właśnie typ na terenie kobiecym po prostu celnie ilustruje coraz bardziej znamienne zjawisko błyskotliwych karier kobiecych, które naruszają odwieczny porządek natury. Zawodowa aktywność kobiet została zrodzona nie poprzez przerost ambicji emancypacyjnych, klasyczne sufrażystki tworzyły ruch dość nikły ilościowo, ze względu na swoją farsowość malowniczy i dlatego głośny. Światopogląd emancypacyjny jest u nas zjawiskiem wtórnym spowodowanym koniecznościami ekonomicznymi. Fakt, że przy okazji wyszło na jaw, że kobieta nie jest człowiekiem gorszym, a nawet niekiedy lepszym od mężczyzny, ale kiedy tak stawiamy problem, to wtedy nieuchronnie pada pytanie o wartości związane z takim a nie innym statusem społecznym kobiety dzisiaj. Co ona zyskuje a co traci w nowej sytuacji? Jaki jest bilans jej życia? Czy pogoń za męskim wzorem życia i osobowości jest dla niej wyborem sensownym? Do tych wątpliwości dołącze pytanie amerykańskiego psychologa Karen Horney (kobieta): „Czy potężna siła męskiego impulsu do twórczej pracy w każdej dziedzinie nie jest spowodowana tym, że mężczyzna odczuwa swą stosunkowo małą rolę w tworzeniu istot żywych i dlatego ciągle i w nadmiarnym stopniu kompensuje to sobie osiągnięciami w innych dziedzinach?".

Film Agnieszki Holland potwierdza sceptycyzm racjonalistów na temat aktualnej sytuacji kobiet. Jej heroina ponosi klęskę psychiczną i moralną. Męski model życia, jaki wybrała ulega dramatycznemu załamaniu pod wpływem wyjątkowego i lekko naciągniętego splotu okoliczności, które przeżywa. Dochodzi do uświadomienia rzeczywistej wartości kobiecego losu.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

WIECZÓR SENTYMENTALNY

Zapewne za sprawą tradycji zwykliśmy sobie kojarzyć z kabaretem przede wszystkim polityczną, społeczną i obyczajową satyrę. Bo też jak daleko sięgnąć pamięcią do lat powojennych, najżywsze reakcje wzbudzał u nas właśnie kabaret satyryczny: ostry, bezkompromisowy w treściach, żywo reagujący na to, co się wokół — w polskiej rzeczywistości — dzieje. Takie właśnie były czołowe kabarety: parodystyczny „Stańczyk" z 1954 roku, publicystyczny, otwarty na współczesność STS, bliska mu w charakterze „Egida", czy nonkonformistyczna „Owca". Czy znaczy to, że na satyrze i publicystyce kończą się możliwości kabaretu?

Że ma szansę zdobycia powodzenia i inny kabaretowy genre dowodzi pierwsza na łódzkim gruncie, po długim okresie posuchy, próba stworzenia literackiego kabaretu, podjęta przez Stowarzyszenie „Dom Środowisk Twórczych". Kabaret ten zainicjował działalność widowiskiem pióra Henryka Czarneckiego.

Jest to „kabaret autorski", co przede wszystkim oznacza, że opiera się on na tekstach jednego autora. Niezbyt to może w zgodzie z kabaretową tradycją, ale warto pamiętać, że znane są sporadyczne wypadki takich właśnie „autorskich benefisów". Sam autor broni się zresztą przed etykietką „kabaretu". Jego zdaniem, bardziej stosowna byłaby tu nazwa — „widowisko", lub „kabaret literacki". Czarnecki wyjaśnia: „Żeby nie wystawiać aktorów na obrazę boską i ludzką — autor będzie tu także świecił oczyma i ponosił tzw. odpowiedzialność, jako że sam z sobą wziął się za bary i będzie chciał się przekonać, czy winien pisać powieści, dramaty, czy też wziąć się za twórczość poważną — piosenki układać".

Ten żartobliwie wyrazony dylemat stanie się bardziej zrozumiały, jeśli przypomnimy sylwetkę autora. Większość tekstów kabaretu Czarneckiego pochodzi bowiem z wcześniejszego okresu jego twórczości: z wydanych w 1964 roku „Listów do Pana Popielnicki" i z o trzy lata późniejszej „Smierci krowy". W tomach tych zebrał Czarnecki wiele pisanych poetycką prozą miniatur i humoresek.

Z tych lirycznych „okruchów" i sentymentalno-ironicznych zapisków „małego, intymnego świata" wyrosły później formy dłuższe: powieści „Człowiek w szufladzie" (1967) i „Kurtka na ekspres" (1972), a także zebrane w tomie „Godzina deszczu" (1970) opowiadania.

Słowem — przypomnienie dawnej twórczości, ale jednocześnie Czarnecki zapowiada nowe próby, powrót do małych form literackich, opartych na surrealistycznej grze wyobraźni, dyskretnym humorze, puentowanych paradoksem.

Tymczasem autor zaprasza na wieczór sentymentów pełen, do kabaretu, który ma być wspólną z widzami wędrówką we wspomnienie, przez stare kalendarze i strychy. Nie należy tego zamiaru brać zbyt dosłownie. Na scenie panuje porządek i ład, nie ma mowy o jakiejś rupieciarni, choć wymodelowana z czerwonego aksamitu, starych mebli i podkreślona oszczędnie kilkoma znaczącymi rekwizytami dekoracja Elżbiety Iwony Dietrych przypomina jako żywo „babciny pokój"... Ale to wspólne „błądzenie" („Pob/t/ądźmy trochę razem") — odbywa się przede wszystkim w poetyckim czasie i przestrzeni, w wyobraźni, i jest rzeczywiście autoretrospekcją najważniejszych dla tej twórczości „lirycznych obsesji".

Krótki przegląd znamiennych dla wyobraźni Czarneckiego motywów tematycznych i rekwizytów, wokół których zgrupował on kolejne „bloki" monologów, scenek i piosenek, mówi nam, że mamy do czynienia z tradycyjnym wprawdzie dla „liryki sentymentalnej" typem wyobraźni, ale podbudowanym określonym „programem". W świecie, w którym istnieją „rzeczy wielkie i małe" autor opowiada się za tym, co zawsze będzie chwytać ludzi za serce... Mówić ściszonym głosem o sprawach prostych i zwyczajnych, o codziennych obserwacjach i wzruszeniach — oto cel nieprzerwanego, intymnego dialogu z drugim człowiekiem.

W poetyckiej prozie Czarneckiego pojawia się również, nie po raz pierwszy, odwieczna tęsknota za Arkadią, krainą niezmąconego ładu i harmonii, a także czysty w intencjach podziw dla świata Natury. Myślę, że udało się autorowi, tak zestroić teksty, że czytelne stało się to przesłanie, aktorom zaś tak zestroić różne temperamenty i głosy, by dotarło ono do widza w formie jeszcze bogatszej (w czym niemała zasługa autorów muzyki — Barbary Talmy i Piotra Marczewskiego). Świetnym przygotowaniem wokalnym wykazali się: Mirosława Marcheluk i Janusz Peszek (zarazem reżyser). Dali oni prawdziwy popis umiejętności interpretacji zarówno piosenki lirycznej, jak i humorystyczno-parodystycznej, acz przyznam się, że brakowało mi tu i ówdzie zharmonizowanego ze stylem piosenki rekwizytu czy zmiany kostiumów, podkreślających aktualny — poetycki, kabaretowy, jazzujący czy pastiszowy charakter utworu. Natomiast Hanna Bedryńska i Marian Stanisławski lepiej chyba niż w lirycznych monologach czuli się w scenkach charakterystycznych. Widowisko ma na ogół dobre tempo, choć nie uniknęło paru nazbyt statycznych momentów. Sam autor w roli „aktora" radził sobie dzielnie.

TOMASZ SOLDENHOFF

Teatr Wielki. Sergiusz Prokofiew — ZARĘCZYNY W KLASZTORZE, na zdjęciu Franciszek Przestrzelski (Don Antonio) i Teresa May-Czyżowska (Luiza)
Fot. Ch. Zieliński

ZARĘCZYNY W KLASZTORZE

O „Zaręczynach w klasztorze", operze Sergiusza Prokofiewa którą ostatnio zaprezentował swym widzom Teatr Wielki, tak pisał jej kompozytor do swego przyjaciela — „Zaręczyny w klasztorze", opera liryczno-komiczna w 4 aktach i 9 obrazach, libretto Prokofiewa według dramatu Sheridana *Dueno*. Liryce udzielono tyleż miejsca, ile elementom komizmu. Jest kilka ansambli typu klasycznego, arietty, serenady, balet. Czystej muzyki 2 i 1/4 godziny..." Trudno o krótszą i celniejszą jednocześnie charakterystykę dzieła, o jego bardziej lapidarny opis, a przecież „Zaręczyny w klasztorze" — cechują się niezwykłym bogactwem materii artystycznej. Osiągnięte tu mistrzostwo brzmienia i pełnia artystycznego wyrazu nie mają sobie równych w całej twórczości operowej Sergiusza Prokofiewa. Opera ta, tak frapująca pod względem muzycznym, urzeka także dowcipem i liryzmem zawartym w warstwie dramaturgicznej. Wizja sceniczna wpisana w nią przez kompozytora i autora libretta w jednej osobie dowodzi rozległości, poszukiwań nowych rozwiązań formy tak uświęconej tradycją, jak opera buffa.

Za tą niewielką notatką cytowaną na wstępie kryje się utwór ogromnej wartości, utwór oryginalny, choć jednocześnie nie najłatwiejszy dla realizatorów i wykonawców. Stopień trudności „Zaręczyn w klasztorze" sprawił, że opera ta rzadko pojawia się na scenach. Wywodząca się z ducha ekspresjonizmu, bardzo współczesna muzyka styka się tu z formą sceniczną sięgającą swym rodowodem w czasy znacznie od tego kierunku odleglejsze, formą opery buffa. Uzyskany przez kompozytora efekt organicznej spójności wewnętrznej jest tak pełny, że osiągnięcia identycznego wymiaru dzieło to żąda od każdej realizacji scenicznej, a spełnienie podobnych żądań nie zawsze mieści się w granicach możliwości zespołów operowych. „Zaręczyny w klasztorze" wymagają bowiem najlepszych głosów, szczególnie precyzyjnego aparatu orkiestrowego, świetnie brzmiących chórów, utalentowanych tancerzy. Wymagają znakomitej reżyserii, błyskotliwego aktorstwa i ciekawej scenografii. Niech więc nie budzi zdziwienia fakt daleko posuniętej ostrożności w stosunku do tego utworu, która wielu scenom każe wstrzymywać się przed wprowadzeniem „Zaręczyn w klasztorze" do swego repertuaru.

Łódzki Teatr Wielki postawił wszystkie swe siły i... wygrał. Szali zwycięstwa nie przechyliły bynajmniej łut szczęścia. Niewiele mogłoby tu ono znaczyć. O pełnym sukcesie zadecydowały talent i praca wszystkich realizatorów oraz wykonawców tego przedstawienia. Sprostali oni wymaganiom kompozytora w stopniu więcej niż zadowalającym.

Zaskakującą przez różnorodność rozwiązań stylistycznych i zmienność nastrojów osiągniętą dzięki mistrzowskiej, bardzo oryginalnej „prokofiewowskiej" instrumentacji konstrukcję muzyczną *„Zaręczyn w klasztorze"* udźwignęła orkiestra znakomicie przygotowana i świetnie prowadzona przez *Dżansuga Kachidze*. Kachidze dokonał drobnych skrótów partytury, które przyniosły znakomity efekt w postaci wyrównania proporcji między elementami liryki i komizmu. Równie interesująca, zgodna z koncepcją muzyczną, a przy tym wyraźnie podkreślająca wartości teatralne „Zaręczyn w klasztorze" była propozycja reżyserska. *Guram Meliwa* zaprezentował przedstawienie o niezwykle wprost czystym rysunku scenicznym. Klarowności sytuacyjnej nie zakłócały żadne zbędne elementy. Reżyser okazał się mistrzem gatunku tak trudnego, jakim jest opera buffa. Obok scen urzekających liryzmem znaleźliśmy w skomponowanym przez niego przedstawieniu sceny skrzące się najczystszym humorem. Wprowadzone przez reżysera elementy komedii dell'arte znakomicie podkreślały klimat całego przedstawienia.

Scenografia *Teimuraza Murwanidze*, która sama w sobie stanowić mogła autonomiczną i bardzo interesującą wartość plastyczną, tym bardziej godna jest uznania, że podporządkowana została przedstawieniu i w wyraźny sposób pomagała zarówno jego reżyserowi, jak i wykonawcom.

Na najwyższe uznanie zasługują wszyscy wykonawcy i to zarówno głównych, jak i epizodycznych ról tego przedstawienia. Dawno nie widzieliśmy zespołu Teatru Wielkiego w tak znakomitej formie wokalnej i aktorskiej. Kunszt zaprezentowany przez nich, tym razem wzbudza najszczerszy podziw. Pełnym blaskiem lśniły tym razem wszystkie głosy, co podkreślam z tym większą przyjemnością, że partie wokalne nie należą tu do najłatwiejszych. Pięknie w premierowym przedstawieniu śpiewała znajdująca się obecnie w szczytowej chyba formie *Teresa May-Czyżowska*. Wyjątkowo skupienie z jakim wykonała partię Luizy nie przeszkodziło artystce w stworzeniu znakomitej kreacji aktorskiej. Równie ciekawie zaprezentowałą się w tej samej roli *Maria Szczucka-Kudanowska*. Wielką kulturę wokalną i piękny głęboki, bardzo nośny głos zaprezentowała *Izabela Kobus* w roli Klary.. Oszczędne aktorstwo pozwoliło jej na stworzenie interesującej postaci. Wykonująca tę samą partię *Krystyna Rorbach*, choć mniej od swojej koleżanki swobodna na scenie, również podobała się bardzo. Na wyrazy szczególnego uznania zasługuje *Jadwiga Mirecka*. Kreowana przez nią bohaterka, to prawdziwy motor wszystkich wydarzeń. Artystka nie zawahała się wykorzystać wszystkich swoich możliwości głosowych i aktorskich. Ostro przez nią zarysowaną postać długo wspominać będziemy jako wielkie osiągnięcie wokalne i aktorskie. Świetnie spisali się w tym przedstawieniu wszyscy panowie. Odmienne, choć równie wysokiej wartości kreacje stworzyli *Włodzimierz Zalewski* i *Stanisław Michoński* w roli Mendozy. Rola ta, w obydwu przedstawieniach świetna wokalnie, w pierwszym (Włodzimierz Zalewski) oscylowała wyraźnie w stronę ostrej w rysunku groteski, w drugim (Stanisław Michoński) przedstawiona została w sposób dowodzący istnienia w tej postaci wewnętrznego ciepła. Don Jeromem, dobrym zarówno wokalnie, jak i aktorsko był *Adam Duliński*. Osobną, a równie cenną w tym przedstawieniu kartę znakomitymi rolami zapisali wykonawcy partii narzeczonych. Mocny głos *Jerzego Jadczaka* szlachetnie brzmiał w roli Don Ferdynanda zakochanego bezgranicznie, a dla rywali groźnie, w pięknej Klarze. Bardziej romantycznym narzeczonym figlarnej Luizy był *Franciszek Przestrzelski* i — w drugiej obsadzie — *Jan Kunert*. Obydwaj zaśpiewali swą trudną partię czysto i lekko, obydwaj użyli właściwych dla tej roli scenicznych środków wyrazu. Szczególne uznanie należy się *Romanowi Werlińskiemu*, którego z przyjemnością — tak wspaniałą bowiem stworzył on postać — oglądaliśmy w niewielkiej, a przecież błyskotliwie, mistrzowsko zaśpiewanej i z również wielką maestrią zagranej roli Ojca Eustachego.

Podsumowując uwagi dotyczące aktorstwa podkreślić pragnę rzecz niezwykle dla tego przedstawienia istotną: wszyscy wykonawcy konsekwentnie i z dużym wyczuciem tego gatunku realizowali tak charakterystyczną dla opery buffa zasadę typizacji postaci.

Świetnemu przedstawieniu „Zaręczyn w klasztorze" wróżyć należy duże powodzenie. Z całą pewnością podobać się będzie muzyka, wysoki poziom wokalny i aktorstwo solistów, perfekcyjnie brzmiący chór (kierownictwo chóru — *Zbigniew Pawelec*), znakomicie przez *Janinę Niesobską* opracowane tańce. Spodoba się także na pewno ciekawa oprawa plastyczna.

EWA PANKIEWICZ

WITOLD PARNIEWSKI

DO PRZYJACIÓŁ POLAKÓW

Zainteresowanie środowiska literackiego naszych wschodnich sąsiadów Polską, jej dziejami, kulturą, literaturą i językiem datują się nie od dziś. Mają one swoją wielowiekową tradycję.

Przed przystąpieniem do omówienia najnowszego poetyckiego dokumentu tych zainteresowań, jakim jest niewątpliwie wydana ostatnio przez oficynę łódzką antologia wierszy poetów radzieckich o Polsce: JAK UNIEŚĆ WIERSZEM TWOJĄ CHWAŁĘ, warto uprzytomnić sobie, chociażby w ogólnym zarysie, jak kształtowały się owe tradycje na przestrzeni minionych epok, poprzedzających Rewolucję Październikową.

Kultura i literatura polska przyciągała już uwagę jednego z wybitniejszych siedemnastowiecznych pisarzy, współtwórcy nowożytnego piśmiennictwa rosyjskiego, wychowawcy i nauczyciela dzieci carskich (Białorusina z pochodzenia) Symeona z Połocka.

W XVIII i XIX wieku, mimo wielu niesprzyjających czynników zainteresowanie Rosjan piśmiennictwem polskim nie słabnie. Dzieła naszych twórców czytają Łomonosow, Kantiemir, Triediakowski. Przekładane są utwory Bogusławskiego, Krasickiego, Bohomolca, Naruszewicza.

W stosunkach literackich między obu narodami wielkim wydarzeniem jest zetknięcie się dwu najwybitniejszych poetów Rosji i Polski — Mickiewicza i Puszkina. Niektóre środowiska kulturalne Rosji witały polskiego zesłańca entuzjastycznie, witały go „nie tylko jako reprezentanta literatury polskiej, ale ponadto jego Polaka, przedstawiciela narodu, dla którego wielu pragnęło szczęścia i niezawisłości".

Nawet w okresach wzmożonej propagandy antypolskiej, czyniącej wszystko, by odseparować społeczeństwo rosyjskie od wpływów polskich, znaczna część przedstawicieli różnych środowisk Rosji nie ulega tej presji, nie zmienia swego stanowiska wobec Polski. Aleksander Odojewski w roku 1830 pisze znane strofy „tchnące uczuciem braterskiej solidarności, przepojone zrozumieniem wspólnoty interesów w rewolucyjnej walce z caratem i pełne głębokiej wdzięczności za uczczenie pamięci przywódców ruchu dekabrystowskiego".

Duże ożywienie zainteresowań Polską daje się zauważyć w końcu XIX i na początku XX wieku. U wielu pisarzy rosyjskich następuje swoisty zwrot ku Polsce. Obserwujemy to m. in. w postawie Lwa Tołstoja. Losem Polaków interesują się w tym czasie Aleksander Błok, Konstanty Balmont, Włodzimierz Sołowiew, Włodzimierz Korolenko, Aleksander Kuprin. Popularnością cieszy się zarówno polska poezja romantyczna, jak i twórczość Elizy Orzeszkowej, Henryka Sienkiewicza, Marii Konopnickiej, Władysława Reymonta, Stanisława Przybyszewskiego.

Jak spostrzegają znawcy przedmiotu w wieku XIX kwestia polska „była przede wszystkim zagadnieniem wewnętrznym państwa rosyjskiego i wiązała się nierozerwalnie z problemem polskiej walki narodowowyzwoleńczej. Ów motyw narodowy dominował w klasycznej literaturze rosyjskiej", która rozwiązywała go oczywiście w różny sposób.

Zasadniczą zmianę przyniosła dopiero Rewolucja Październikowa, która jednoznacznie rozstrzygnęła kwestię polską, ale dla młodego państwa radzieckiego nie przestała ona być istotną i aktualną. „Oczy mas pracujących Związku Radzieckiego ze szczególną uwagą zatrzymały się znów na Polsce" — pisał największy poeta rewolucji — Majakowski i stwierdził dalej, że o Polsce pisze się mało. Nie miał jednak chyba racji. Zaprzeczają temu współczesne prace poświęcone wzajemnym kontaktom polsko-rosyjskim oraz bogaty materiał zawarty w antologii Białokozowicza, w której co prawda utworów poetyckich z lat międzywojennych jest znacznie mniej, ale i one świadczą przecież o wielkim, jak na ówczesny układ stosunków między obu państwami, zainteresowaniu poetów radzieckich Polską.

Antologia „Jak unieść wierszem Twoją chwałę" nie jest pierwszym wyborem, w którym znalazły się utwory poetów radzieckich poświęconych naszemu krajowi. Tuż po wojnie, w roku 1947 ukazały się **Dwa wieki poezji rosyjskiej** pod redakcją Mieczysława Jastruna i Seweryna Pollaka, a w roku 1951 drugie, rozszerzone wydanie tej księgi. Mogło się tam znaleźć jednak, ze zrozumiałych względów, zaledwie kilka wierszy poetów radzieckich, które podejmowały sprawy Polski. To samo dotyczy publikacji Jana Śpiewaka: **Polska w poezji narodów świata** (1959). Ponadto ukazały się w 1975 roku **Księga przyjaciół** (Wybór Igora Sikiryckiego) i analogiczna, wydana w ZSRR, **Kniga druziej**. „Obie **Księgi przyjaciół** gromadziły w jednym woluminie poezję, prozę i reportaż pisarzy z obu naszych literatur. Pięknie wydane, miały na celu raczej tylko sygnalizować temat i ukazać temperaturę uczuciową zjawiska (...), jakim jest przyjaźń i więź ideowa naszych narodów".

400-stronicowa antologia **Bazylego Białokozowicza** jest bez wątpienia najpełniejszą z Ksiąg przyjaźni, bo zawierającą 247 utworów 123 radzieckich poetów: rosyjskich, białoruskich, ukraińskich, litewskich, gruzińskich, łotewskich, turkmeńskich, estońskich, czuwaskich awarskich, ormeńskich, bałkarskich, tatarskich — poetów wywodzących się z różnych ugrupowań i kierunków (symbolizm, akmeizm, futuryzm, „Bractwo Serapiona", komsomolska poezja lat 20...) i reprezentujących różne pokolenia, poczynając od znanych już przed rewolucją pisarzy, a kończąc na przedstawicielach „obecnej młodzieży literackiej".

Obok twórców wielkich i uznanych, takich jak Briusow, Błok, Achmatowa, Pasternak, Asiejew, Majakowski, Rylski, Tichonow... znaleźli się tu również poeci mniej, a nawet zupełnie nieznani. Obok utworów odznaczających się wysokimi walorami artystycznymi znalazły się utwory niższego lotu. To samo można powiedzieć i o wartości przekładów, bardzo zróżnicowanych jakościowo. Nie to jednak jest w tym wypadku chyba istotne. Istotna jest treść tych wierszy, ich emocjonalne zabarwienie, autentyczne zainteresowanie Polską, niekiedy wprost fascynacja, oczarowanie naszym krajem, jego dziejami, dumą narodową Polaków, bogactwem tradycji, kulturą, językiem.

Utwory zawarte w antologii można by pogrupować w pewne kręgi tematyczne. Wiele z nich mówi o męczeństwie narodu polskiego w czasach wojny i okupacji hitlerowskiej, inne — o bohaterskiej walce z najeźdźcą. Częstym motywem jest braterstwo broni i przyjaźń między żołnierzem polskim i radzieckim. Spora część utworów poświęcona jest wielkim Polakom — pisarzom, kompozytorom, ludziom nauki, rewolucjonistom (Mickiewicz, Słowacki, Broniewski, Szopen, Ogiński, Maria Curie-Skłodowska, Jarosław Dąbrowski, Świerczewski... Można by również wyodrębnić cykl wierszy, które w całości bądź we fragmentach swych mówią o polskim pejzażu, o miastach: Krakowie, Łodzi, Gdańsku, Zakopanem i przede wszystkim o „niezwyciężonym mieście Warszawie".

Układ antologii nie jest jednak tematyczny (i chyba słusznie), lecz raczej chronologiczny, według dat urodzenia autorów. Szkoda, że nie udało się ustalić dat powstania niektórych wierszy. Układ ten ułatwia bowiem dostrzeżenie pewnych prawidłowości i zmian w spojrzeniu na Polskę, jakie zachodziły w czasie, uchwycenia „rozwoju i falowania" owych zainteresowań.

Wiadomo, iż okres 1917—1939 w ocenie spraw polskich przez społeczeństwo radzieckie różnił się dość wyraźnie od okresu powojennego. W pierwszych dwóch dziesiątkach lat po zwycięstwie rewolucji socjalistycznej, gdy oba państwa dzieliła różnica ustroju społecznego, motywy polskie były „podporządkowane naczelnej problematyce internacjonalizmu i hasłom jedności wszystkich proletariuszy". Ostro rozgraniczono wówczas warstwę rządzącą od klasy uciskanych proletariuszy. Autentyczną, żywą Polskę w oczach pisarzy radzieckich stanowiła lewica, komuniści polscy. I antologia także, charakterystyczne dla tego okresu poetyckie wypowiedzi, zamieszcza, chociaż wydaje mi się, że mogłoby ich być nieco więcej, chociażby kilka wierszy z tego okresu Majakowskiego, Tichonowa, Biednego, wyrażających sympatię dla polskich robotników i chłopów, i dezaprobatę wobec przedstawicieli klas rządzących. Nieco szersze uwzględnienie tego typu utworów jeszcze bardziej wzbogaciłoby i urozmaiciło ten najpełniejszy z dotychczasowych wyborów wierszy poetów radzieckich o naszym kraju, a przede wszystkim podkreśliłoby jeszcze ostrzej doniosłość przemian, jakie nastąpiły po wojnie w stosunku narodów radzieckich do Polski i Polaków.

W wyborze Białokozowicza polonica powstałe po roku 1944, a zwłaszcza po 1956 (stanowią one zdecydowaną większość utworów zamieszczonych w antologii) oddają ową pełnię uczuć sympatii w stosunku do całego narodu polskiego.

W dotychczasowych wzmiankach i recenzjach zwrócono już uwagę na olbrzymi udział w powstaniu tej edycji łódzkiego środowiska literackiego. Znalazły się tu przecież przekłady aż siedemnastu pisarzy łódzkich, m. in. tak zasłużonych tłumaczy poezji radzieckiej, jak **Tadeusz Chróścielewski** (największą ilość przekładów jego autorstwa), który jest również razem z **Kazimierą Iskrzyńską** redaktorem tomu oraz **Igora Sikiryckiego** (konsultant).

Podkreślano również niezwykle staranną oprawę edytorską tej najnowszej **Księgi przyjaźni** (doskonały żeberkowy papier, krój czcionki, jedwabna tkanina z motywami rosyjskiego haftu ludowego, kolorowe grafiki **Andrzeja Strumiłły, Janusza Stannego i Zygmunta Magnera**), stwierdzając i słusznie, że jest to niewątpliwie „najlepsza pozycja pod względem edytorskim, jaką otrzymaliśmy z rąk wydawców w ostatnich latach". Zważywszy te wszystkie jej walory, nie dziwi nas fakt przyznania antologii Bazylego Białokozowicza **honorowego dyplomu** Związku Pisarzy Radzieckich na międzynarodowej wystawie książki w Moskwie, zorganizowanej w 60 rocznicę Rewolucji Październikowej.

ZAKRĘT

W fali debiutów tak charakterystycznych dla dotychczasowej działalności łódzkiego zespołu filmowego „Profil" znajdujemy filmy o różnym stopniu wzbudzania zainteresowań odbiorców. Debiut w filmie fabularnym Stanisława Brejdyganta „Zakręt" podczas swojej obecności na ekranach kin nie wywołuje specjalnych emocji. Niesłusznie. Film ten zasługuje na uwagę i zainteresowanie z zupełnie podstawowego względu: stanowi przykład całkowitej pomyłki artystycznej, a w konsekwencji zawiera wiele nie zamierzonych momentów humorystycznych.

Ironiczne brawa i śmiech podczas projekcji festiwalowej w Gdańsku zwracały uwagę na momenty najbardziej absurdalne, w których dystans pomiędzy intencjami twórcy, a ich społecznym odbiorem jest najsilniej rażący. A przecież tematyka tego filmu daleka jest od wszelkich prób spojrzenia ironicznego. Zarówno problem: kryzys życiowy i obrachunek z przeszłością typowego homo faber z pokolenia ZMP, jak i wybrana przez realizatorów konwencja: sugerująca tzw. „poetyckie" potraktowanie tematu — to sprawy oczywiście i bezdyskusyjnie serio. Powstaje więc problem — dlaczego to, co ma poruszać świadomością widza w sposób tragiczny — śmieszy, dlaczego subtelne rozważania o życiu (jakie w intencjach mają zawierać się w filmie) nie dorastają nawet do rangi poczciwych, ale słusznych banałów. Przyczyn jest parę. W sumie składają się na efekt ostateczny.

Podstawowy problem tkwi w zupełnie — moim zdaniem — fałszywym „subiektywizowaniu" świata filmowego „Zakrętu". Brejdygant wspominał swego czasu o problemie podporządkowywania rzeczywistości w filmie sytuacji psychicznej jej bohatera. Sądzę jednak, że potrzeba subiektywizowania świata musi być umotywowana rzeczywistym i uzasadnionym konfliktem bohatera, który to konflikt powinien dać się określić obiektywnie. To, co jest ważne w świadomości postaci przenika do świata, ale jest niezrozumiałe jeżeli nie wyjaśnione poza nim. W „Zakręcie" zabrakło właśnie takiego wyjaśnienia. Inna sprawa jakimi metodami jest realizowany wspomniany zabieg. To niestety wygląda jeszcze mniej udanie; główny bohater — Stefan (Józef Nowak) objawia w filmie wyobraźnię tak stereotypowo-filmową i męczącą, że nawet powroty do scen w miarę realistycznych nie pozwalają się wyrwać od jej przemożnego wpływu. Rozterki duchowe bohatera nie ujawniają się w kontakcie z otoczeniem, w każdym razie początkowo. Intuicyjnie odgadujemy, że chodzi tu o tzw. „konflikt z samym sobą". Ale konflikt tego typu deus ex machina natrafia na podatny grunt w postawach innych postaci. Bohater odwiedza przyjaciela — samotnika — brodacza, pędzącego żywot w górskiej pustelni. W jego izdebce widzimy na półkach tomy dzieł Dostojewskiego, co sugeruje jakże obcą dotąd Stefanowi ucieczkę w kontemplację problemów egzystencji człowieka. W parę godzin później spotyka go następny wstrząs. Bohater doświadcza kruchości ludzkiego losu — umiera człowiek (taternik) z którym Stefan zetknął się na krótko, a uczestniczył w jego ratowaniu.

Świat, który niebezpiecznie uległ zachwianiu, w świadomości bohatera odnajduje nową formę w postawie afirmacji zjawisk i zachowań najprostszych. Po wypadku samochodowym ranny Stefan — Nowak odnajduje złudzenie spokoju w chatce bieszczadzkich samotników. Jakaż filozoficzna głębia ujawnia się w rozumowaniu tych prostych, pogodzonych z naturą ludzi. Oto monolog jednej z napotkanych tam postaci: „o, ptaki" — milczenie — „przylatują i odlatują" — milczenie — „niektóre nie odlatują wcale". Obserwacja pary młodych gospodarzy, ich fizycznej miłości (ale pogłębionej filozoficznie Rousseau'owską scenerią górską) godzi bohatera o świcie z żoną, od której niegdyś oddaliły go zawodowe ambicje. Późniejsze spotkanie z dawno nie widzianym synem, podczas którego widzimy Stefana — Nowaka w retrospekcji jako aktywnego członka ZMP, otwiera perspektywę na problematykę przeżyć pokoleniowych.

Oczywiste jest, że kryterium typowości pokoleniowych doświadczeń nie może być jedyną podstawą badania prawdziwości sądów twórcy. Ale w tym akurat wypadku wyraźnie znajdujemy fakty zdradzające ukazanie problemów bohatera, jako typowych. W sytuacji kiedy filmy artystycznie interpretujące to, co w naszej historii charakterystyczne, oskarża się o stronniczość, trudno jednak nie mieć pretensji do filmu, który znamienne cechy pokoleniowych wątpliwości umieszcza na ułatwionym przeciwstawieniu: życiowa aktywność w działaniu (Stefan — Nowak wspinający się na maszt stacji przekaźnikowej) — aktywność intelektualna (Stefan — Nowak patrzący rozumnym wzrokiem w niebo nad Zalewem Solińskim).

To, co najbardziej fałszywe w tym filmie, to właśnie spekulacja myślowa, która dodatkowo przybrana jest w strój artystycznej demagogii. To, co miało usprawiedliwiać i pogłębiać: konwencja „nierealistyczna" jest w gruncie rzeczy przystająca (co pozornie paradoksalne) do tezy „Zakrętu". Bowiem związki tego filmu z rzeczywistością pod dwoma wymienionymi względami są równie słabe. Zrozumiałe jest, że życiorysy pokolenia się uwzniośla, dowartościowuje. Ale niedostatek intelektualny pomysłu, w realizacji ujawnia swoje działanie demaskatorskie wobec siebie samego, w równym stopniu, jak ośmieszające. To smutne, że tak wesoło na „Zakręcie".

PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI

Foto: W. Parys.

PROGNOZA NIEZUPEŁNIE PROSTA

Wydawać by się mogło, że w kraju gdzie planowanie stanowi podstawę praktycznej działalności we wszystkich dziedzinach gospodarki, budownictwa a nawet społecznego życia obywateli — nietrudno odpowiedzieć na pytanie jak będzie, na przykład, wyglądała stolica włókiennictwa — Łódź, w okrągłym dwutysięcznym roku. W końcu to przecież oczywiste i jak na dłoni widoczne, że miasto w oczach nam się przemienia, od dobrych już kilku lat trwa generalny remont, a przede wszystkim wielka przebudowa, zgodna, jak należy przypuszczać, z przyjętym planem. Cóż tedy za sztuka, znając ów plan rozwoju miasta, obmyślony przez tęgie głowy, powiedzieć jak będzie ono wyglądało za niespełna ćwierć wieku? Pewnie lepiej, ładniej niż się założyło, ponieważ z reguły plany przekraczamy.

Takiemu przekonaniu nie uległ LUCJUSZ WŁODKOWSKI, który zaprezentował ostatnio czytelnikom interesującą i bardzo rzadką w piśmiennictwie poświęconą Łodzi książkę, zatytułowaną — „ŁÓDŹ — 2000". Rzadką chociażby ze tego względu, że nasi godni uznania „łodziolodzy" sięgają najczęściej wstecz, do burzliwej, rewolucyjnej historii robotniczego miasta, natomiast książek o Łodzi współczesnej ze świecą szukać. Myślę, że „Łódź — 2000" to, po prostu, logiczne następstwo wieloletnich zainteresowań autora. Publikacje Włodkowskiego zamieszczane w „Odgłosach", zalecające się grutowną wiedzą a i odwagą, poświęcone dzisiejszym i przyszłym losom Łodzi, już od dłuższego czasu zwracały uwagę.

Podoba mi się powściągliwość Włodkowskiego. Jakże łatwo epatować czytelnika urokczymi wizjami wspaniałego miasta przyszłości, każdy chętnie przeczyta, a co ma być i tak będzie. Któż sprawdzi publicystę po ćwierć wieku? Łapanie za słowo po takim czasie nie miałoby większego sensu, inna rzecz, że Włodkowski takiej szansy nie daje. Jest ostrożny i zdaje się przestrzegać przed tanim optymizmem. Ukazuje ogrom wysiłku, jaki był, jest i będzie podejmowany w związku z przekształcaniem Łodzi w wielki jak na nasze warunki i nowoczesny ośrodek przemysłowy, naukowy i kulturalny. Nie mieliśmy dotąd książki, z której można, czarno na białym, dowiedzieć się jak bardzo jest trudna i skomplikowana praca nad wszechstronnym rozwojem miasta, którego funkcje nie mogą się sprowadzić do przyzwoitego dachu nad głową i pracy w dobrych warunkach. Żadna zresztą dziedzina wielkomiejskiego życia nie da się wyabstrahować, rozpatrywać jak rzecz sama w sobie, wszystko, co dla człowieka ważne zazębia się, występują nieustannie wzajemne zależności, nie można uzyskać jednego bez drugiego.

Łódź radzi sobie nieźle z modernizacją starych, a przede wszystkim budową nowoczesnych zakładów pracy różnych specjalności zachowując wszakże tradycyjny prymat włókna. Ale równocześnie trzeba odpowiedzieć na niebagatelne pytanie — czy dotychczasowa struktura zarządzania przemysłem nie jest już anachroniczna, przestarzała, niemrawa? Przemysł nie tylko po to istnieje, aby dać ludziom pracę, zarobki, musi także energicznie wkraczać na rynek wewnętrzny, eksportować. Włodkowski przytacza interesującą dyskusję naukowców — specjalistów na temat nowych rozwiązań w organizacji przemysłu.

Nie można mówić o dobrych warunkach pracy jeżeli nie rozwiąże się problemu zaopatrzenia, opieki nad dziećmi, zdrowotnej, czy komunikacji. W zatłoczonej, zakorkowanej Łodzi, komunikację przyrównuje się często i nie bez racji do przysłowiowego węzła gordyjskiego. Ludzie tracą mnóstwo czasu na przejazdy, skracają sobie czas przeznaczony na odpoczynek. A ów właśnie odpoczynek to nic innego jak jeden z niezbędnych składników ogólnych warunków pracy. Włodkowski doskonale widzi łódzkie dysproporcje i wcale nie jest pewien, czy do roku dwutysięcznego zostaną one zlikwidowane. Buduje się przecież wielkie dzielnice, większe od niejednego z dawnych powiatowych miast, ale nudno bywa czasem w tych dzielnicach, brakuje kin, dobrze urządzonych parków, kawiarń, szwankuje sieć usług, nie mówiąc już o domach zwyczajnie spartaczonych, gdzie trudno mieszkać.

Podoba mi się także szerokie spojrzenie Lucjusza Włodkowskiego, nie można już dzisiaj mówić wyłącznie o przyszłości Łodzi, lecz o wielkiej, ponad milionowej aglomeracji, w której robotnicza Łódź powinna odgrywać wiodącą rolę. W stosunku do Pabianic, Zgierza, Ozorkowa, Konstantynowa czy Aleksandrowa. Ale przecież nie tylko. Ku Łodzi ciążą leżące poza granicami administracyjnymi województwa miejskiego — Zduńska Wola, Brzeziny czy rosnący szybko Bełchatów. Ileż tu wcale niełatwych do rozwiązania problemów — kształcenia specjalistów, współpracy pomiędzy pokrewnymi czy kooperującymi zakładami pracy, sprawnej komunikacji, organizacji życia kulturalnego. Ile jeszcze barier, partykularnych często nawyków, tradycyjnych sposobów myślenia, minimalizmu, przeszkadza powstawaniu spójnej wewnętrznie i logicznie rozwijającej się aglomeracji.

Zmierzamy w stronę roku dwutysięcznego opierając się na planowaniu. To prawda, ale plan nie jest kanonem ewangelicznym, przekazanym wiernym do wierzenia, nie jest kategorią stałą, niewzruszoną. Włodkowski mocno ten fakt akcentuje i ma rację. Przecież to nawet dobrze, że plan przebudowy śródmieścia Łodzi nie jest zamknięty i pozostawia nadal dużo swobody tym, którzy umieją propozycje dobre zmieniać na lepsze. „Pisząc o przyszłości Łodzi — powiada Włodkowski — kierowałem się przede wszystkim chęcią przezwyciężenia łódzkiego minimalizmu, rozbudzenia fantazji, przekonania nas wszystkich, że Łódź ma ogromną szansę i musi z niej skorzystać".

Sądzę, że książka Włodkowskiego, oparta na bogatym materiale dowodowym, przypominająca poważne dyskusje i wypowiedzi na temat przyszłości wielkiej aglomeracji, powinna stanowić dobrą okazję dla dalszych rozważań, a nawet sporów wszystkich zainteresowanych wielką przebudową Łodzi. I chyba nie tylko Łodzi, cały nasz kraj także zmienia nam się w oczach.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

Lucjusz Włodkowski — „Łódź — 2000", Książka i Wiedza, Warszawa 1977.

ANDRZEJ BLAJER

WŁOCHY — DROGA KU EUROPIE

Włochy — dla wszystkich, którym wypadło bliżej zetknąć się z historią tego kraju, stanowią iście zaskakującą zagadkę. Z jednej strony pozostaje faktem niezaprzeczalnym ogromny, o ile nie największy, wkład Italii w dzieło tworzenia i kształtowania cywilizacji europejskiej, z drugiej natomiast — znikomy wpływ, jaki państwo to wywarło na polityczne dzieje naszego kontynentu.

Antynomia? A jeśli nie, to gdzie szukać źródła owej niemal absurdalnej rozbieżności między wartościami narodu włoskiego, których ucieleśnienie znajdujemy w fascynujących dziełach jego wybitnych przedstawicieli, a historycznymi losami Włoch? Właśnie, przecież państwo to doznało tak dotkliwych porażek, zaś więź narodowa mieszkańców Półwyspu Apenińskiego, ich poczucie jedności osłabło do tego stopnia, iż Włochy, według słów Metternicha, pozostawały jedynie „pojęciem geograficznym" i to nie tylko dla obcych, ale również dla obywateli tego kraju.

Nie pozostało to bez wpływu na rolę i znaczenie odgrywane przez Włochy na arenie międzynarodowej. Z chwilą bowiem, gdy w II połowie XIX stulecia zakończył się proces narodowo-politycznego zjednoczenia państwa — owładnięty niemocą, zacofany gospodarczo i pogrążony w chaosie kraj — sztuczny zlepek wielu małych państewek, których dotychczasowe cele i interesy pozostawały często w jaskrawej wzajemnej sprzeczności — był zaprzątnięty daleko poważniejszymi problemami wewnętrznymi, by troszczyć się w tym momencie o należną mu pozycję w Europie i świecie. Zresztą prawdą jest, iż Włochy nie miały w tym względzie zbyt wielkich tradycji, czego widomym przejawem był chociażby fakt, że jako zjednoczone państwo pojawiły się na arenie europejskiej w trójprzymierzu z Niemcami i Austrią (1882), sojuszu co najmniej dwuznacznym, biorąc pod uwagę jeszcze nie tak dawne panowanie imperium austriackiego pod znacznymi obszarami włoskich prowincji oraz niewygasłe spory terytorialne z tym krajem. Alians ów w polityce zagranicznej ówczesnych Włoch nosił podobny charakter, jak porozumienie z Anglią — był podyktowany obawą przed ekspansją Francji w Afryce Północnej. Nic dziwnego więc, iż wkrótce załamał się tak, jak załamała się cała bismarckowska koncepcja sojuszów, torując tym samym drogę do nieuniknionego starcia światowych potęg, do wojny 1914—1918.

I znów z całą wyrazistością ujawniło się niezdecydowanie włoskich polityków. Dylemat — czy przystąpić do wojny, a jeśli, to po czyjej stronie — spowodował, że Włochy długo się wahały z podjęciem decyzji, a gdy wreszcie ją podjęły to walczyły tak nieskutecznie, iż na kongresie wersalskim nie odegrały niemal żadnej roli. Notabene w zupełnie podobnej sytuacji znalazł się ten kraj w 28 lat później, na kongresie paryskim. W rezultacie większość obietnic poczynionych Włochom przez aliantów, a zawartych w tajnym porozumieniu londyńskim z 1915 roku (miały otrzymać Triest, Gorycję i Dalmację oraz uzyskać dominację polityczną w Albanii), pozostała nie spełniona i państwo Półwyspu Apenińskiego poczuło się oszukane.

Aktywizację nastrojów nacjonalistycznych i wzrost powszechnego niezadowolenia (m. in. również na tym tle) zręcznie wykorzystał w latach 20 Mussolini, ale wkrótce okazało się, że zaproponowana przezeń koncepcja polityki zagranicznej była nie mniej zagmatwana niż poprzednie i równie niejednoznaczna, a do tego całkowicie pozbawiona poczucia rzeczywistości w ówczesnej sytuacji międzynarodowej. Włochy usiłowały bowiem, nawiązując do tradycji starożytnego Rzymu (którego czuły się moralnym i duchowym spadkobiercą), odbudować jego dawne, śródziemnomorskie imperium. Wyrazem tych dążeń i nadziei była wojna w Abisynii, która jednak nie przyniosła Włochom ani korzyści politycznych, ani tym bardziej terytorialnych. Mając ambicje wielkiego mocarstwa Włochy pod rządami duce próbowały także innych „wielkich ról", jak „pakt czterech", porozumienie z Anglią, kontakty z krajami Europy Wschodniej i Środkowej, by wreszcie skończyć na wasalnym uzależnieniu się od hitlerowskiej III Rzeszy.

Odsunięcie od władzy Mussoliniego w lipcu 1943 roku, wskutek zamachu stanu, dokonanego przez Pietro Badoglio, uzmysławia Włochom całą pełnię politycznej próżni, w jakiej znalazł się kraj. Brak jest jakiejkolwiek płaszczyzny odniesienia, a nawet jakiegokolwiek punktu zaczepienia. Na dodatek brak jest również wspólnej platformy przyszłej polityki zagranicznej wśród głównych ugrupowań ruchu oporu. W odniesieniu do tej kwestii panują całkowicie różne i często przeciwstawne zapatrywania. Chrześcijańska Demokracja orientuje się wyraźnie na aliantów zachodnich, przy czym z naciskiem podkreśla konieczność stworzenia po wojnie szerokiego w swym zasięgu ugrupowania regionalnego, co stanowi zresztą odzwierciedlenie jej poglądów w kwestii ponadnarodowego zjednoczenia Europy Zachodniej. Socjaliści Pietro Nenniego wypowiadają się za polityką neutralistyczną, to znaczy za niewiązaniem się ani z ZSRR, ani z USA, akcentując, że chodzi im nie tyle o opcję między Wschodem a Zachodem, lecz raczej o rodzaj syntezy między radykalizmem ekonomicznym i demokracją parlamentarną. Włoska Partia Komunistyczna stanęła na stanowisku, iż Włochy należy utrzymać poza zasięgiem sporów, jakie notabene wkrótce miały się ujawnić między mocarstwami zwycięskiej koalicji, a przede wszystkim dążyła do zapobieżenia sytuacji, by kraj znalazł się w orbicie wpływów anglo-amerykańskich. Natomiast wszystkie ugrupowania i stronnictwa polityczne reprezentowane w ruchu oporu były zgodne jedynie co do tego, że w chwili obecnej udział Włoch w wojnie przeciwko Niemcom jest główną powinnością narodową. Z tym, że koła dworskie i wojskowe, skupione wokół rządu Badoglio, liczyły na utrzymanie przedwojennych zasad polityki zagranicznej, które rzekomo wyznaczały Włochom rolę wielkiego mocarstwa, prowadzącego niezależną politykę. Toteż w tych kołach fakt przystąpienia Italii do wojny rozpatrywano w kategoriach nie tyle obowiązku moralnego, ile raczej elementu kalkulacji politycznej, obliczonego na przesunięcie Włoch z grona zwyciężonych do obozu zwycięzców. Próby w tym kierunku podejmowane były przez rząd Badoglio wielokrotnie, a chodziło w nich jedynie o umocnienie w maksymalnym stopniu prestiżu państwa i zapobieżenie większym stratom terytorialnym, zwłaszcza w odniesieniu do kolonii.

Foto: Archiwum

Jednak rachuby oparte na przekonaniu, że Włochy staną się równoprawnym partnerem aliantów, okazały się całkowicie płonne. W trójstronnej deklaracji (amerykańsko-brytyjsko-radzieckiej), wydanej 13 października 1943 roku, (a więc w dniu ogłoszenia przez rząd Badoglio, że Włochy znajdują się w stanie wojny z III Rzeszą), określono zasady „wspólnej walki" Włoch z państwami koalicji antyhitlerowskiej, lecz odmówiono rządowi włoskiemu miana sojusznika. Włosi wielokrotnie zabiegali w dalszej fazie wojny o zmianę statusu państwa „współwalczącego", ale wywalczyli jedynie tyle, że w memorandum rządów sojuszniczych z 21 stycznia 1945 roku znalazło się sformułowanie, dotyczące nowych norm regulujących relacje wzajemne Włoch z aliantami, przy czym zezwolono rządowi włoskiemu na nawiązywanie stosunków dyplomatycznych z zagranicą.

Dopiero po zakończeniu wojny sprawa Włoch, a konkretnie traktatu pokojowego z tym państwem znalazła się w zasięgu uwagi mocarstw sojuszniczych. Problemy te początkowo podjęto na konferencji poczdamskiej, później dyskutowano na forum obrad moskiewskiej konferencji ministrów spraw zagranicznych (w grudniu 1945 roku), by wreszcie, przynajmniej częściowo uregulować je na paryskiej konferencji pokojowej w październiku 1946 roku, co znalazło odbicie w traktacie pokojowym z lutego 1947 roku.

Na mocy postanowień tego ostatniego miały m. in. zostać dokonane korektury graniczne (stosunkowo nieznaczne) na korzyść Francji i Jugosławii, ponadto zaś Włochy zostały zobowiązane do uznania niepodległości Albanii i Etiopii oraz do rezygnacji z wszelkich praw do kolonii w Afryce. Decyzje te wywołały w społeczeństwie włoskim silną niechęć i wzrost tendencji nacjonalistycznych, zarzucono rządowi chadeckiemu, że nie dość energicznie bronił obecności Włoch w Afryce. Równie duże rozgoryczenie spowodowała utrata Triestu, którą to kwestię ostatecznie uregulowano dopiero w październiku 1975 roku w następstwie Aktu Końcowego KBWE z Helsinek, jak i problem Górnej Adygi, notabene do dziś jeszcze nie rozstrzygnięty.

A jak kształtowała się powojenna polityka Włoch w odniesieniu do stosunków z mocarstwami zachodnimi, z Europą i państwami socjalistycznymi?

Otóż zaraz na początku II połowy lat 40 przywódca Partii Chrześcijańsko-Demokratycznej, Alcide De Gasperi, zaczął silnie akcentować zachodnioeuropejski charakter nowej polityki zagranicznej Włoch. W myśl krystalizującej się wówczas w kołach chadeckich koncepcji chodziło o umocnienie politycznej odrębności Europy w obliczu wyłonienia się dwóch potęg światowych — Stanów Zjednoczonych i Związku Radzieckiego. Zjednoczona Europa, ukształtowana w duchu tradycyjnych wartości chrześcijańskich, mogłaby, w mniemaniu polityków włoskich, reprezentujących obóz rządowy, stanowić przeciwwagę dla obu wielkich mocarstw. Wizja „zjednoczonej Europy" stała się odtąd dominującym elementem polityki zagranicznej Włoch. Koncepcja ta opierała się na przesłance, iż rozwój kraju, jego umocnienie i perspektywy postępu uzależnione są „jedynie od naszego stopniowego wrastania w międzynarodową tkankę, jako czynnika bezpieczeństwa, lojalnej współpracy i aktywnego uczestnictwa". (A. De Gasperi, Nella lotta per la democrazia", Roma 1976). Inspiracja chadecji do występowania na rzecz idei zacieśniania więzi między krajami o tradycji chrześcijańskiej płynęła zresztą z ideologicznej doktryny Kościoła katolickiego.

Ale Europa, a tym bardziej Włochy, nie działały w politycznej próżni. Era Roosevelta należała już do przeszłości, zaś doktryna Trumana, ogłoszona w marcu 1947 roku, szybko zmieniła poglądy na nowy sens Europy Zachodniej. Wprawdzie De Gasperi wielokrotnie przy różnych okazjach (wizyta w USA w styczniu 1947 roku, wystąpienie w Izbie Gmin w 1949 roku) występował z ideą utworzenia Stanów Zjednoczonych Europy, sojuszu opartego nie tylko na integracji gospodarczej, ale i politycznej (powołując się przy tym na szczególną, tradycyjną rolę, jaką Włochy mają do odegrania w dziele jednoczenia Europy), ale sam proces integracji dokonywał się już pod ścisłą hegemonią USA, zaś głównym czynnikiem integrującym była walka z komunizmem.

Faktem jest, iż przyjęcie zachodnioeuropejskiej orientacji w polityce zagranicznej pozwoliło Włochom w stosunkowo krótkim czasie wyrwać kraj z wieloletniej izolacji, pogłębionej przez politykę autarkii z okresu rządów faszystowskich. W rezultacie wzrastającej liberalizacji wymiany handlowej krajów Europy Zachodniej, amerykańskiej pomocy finansowej i technicznej (plan Marshalla), poważnemu ożywieniu uległa włoska gospodarka.

W tym samym czasie, gdy rząd włoski zacieśniał swe stosunki z Europą Zachodnią, rozpoczęły się pertraktacje w sprawie utworzenia Paktu Północnoatlantyckiego. W tej kwestii stanowisko włoskie było niejednoznaczne. Nawet politycy chadecji, pomni zresztą doświadczeń minionej wojny, bynajmniej nie pragnęli ścisłego udziału w sojuszu wojskowym, jako że kłócił się on z jej formułą politycznego zjednoczenia Europy. Zdecydowanie negatywne stanowisko zajęła lewica — socjaliści i komuniści. Jedynie liberałowie, republikanie i socjaldemokraci od początku opowiedzieli się jako zwolennicy NATO. Zresztą, patrząc z perspektywy lat na rolę Włoch w tym pakcie, nietrudno dostrzec, iż była ona w zasadzie bierna, a państwo nie uzyskało dzięki temu liczącej się w świecie rangi politycznej. Przyczyniły się do tego niewątpliwie dość silne tendencje neutralistyczne, w rezultacie Włochy traktowały NATO raczej jako uzupełnienie systemu zachodnioeuropejskiego, niż jako samoistną wartość w polityce światowej (J. Stefanowicz: „Włochy współczesne").

Po okresie stagnacji w aktywności politycznej Włoch na arenie międzynarodowej (zimna wojna) w kręgach chadecji pojawiły się głosy, iż kraj powinien odgrywać w Europie Atlantyckiej bardziej samodzielną rolę). Gronchi, Fanfani — reprezentanci tzw. neoatlantyzmu). Włochy zaczęły się więc odwoływać do swego powołania „śródziemnomorskiego", tj. do odnowienia swej aktywności w Afryce Północnej i na Bliskim Wschodzie. W sferze pozaeuropejskich zainteresowań Włoch znalazł się m. in. Daleki Wschód, gdzie agresywna i ekspansjonistyczna polityka USA niejednokrotnie spotykała się z oficjalną dezaprobatą kół rządowych Republiki Włoskiej.

Powracając jeszcze do europejskich aspektów włoskiej polityki zagranicznej łatwo zauważyć, że strategia integracyjna partii chadeckiej spowodowała, iż Włochy należały do aktywnych inicjatorów powołania Parlamentu Europejskiego, niedoszłej Europejskiej Wspólnoty Obronnej, Europejskiej Unii Płatniczej i wreszcie Wspólnego Rynku, którego traktat został podpisany w Rzymie w marcu 1957 roku. Włoskie koła rządowe, odrzucając zarówno gaullistowską koncepcję utworzenia niezależnej Europy jak i ideę „Europy Ojczyzn" (głoszoną przez zachodnioniemiecką CDU) konsekwentnie forsowały własną wizję zakładającą ściślejsze zespolenie polityczne krajów zachodniej części naszego kontynentu m. in. poprzez ograniczenie „narodowych egoizmów". Ale ujawnienie się silnych nurtów protekcjonistycznych (w polityce gospodarczej EWG) oraz rozbieżność interesów politycznych w łonie NATO udaremniły na długo te wysiłki. Dopiero na paryskim „szczycie" (październik 1972) powrócono do idei jedności zachodnioeuropejskiej, lecz niebawem, w obliczu oznak głębokiego kryzysu gospodarczo-społecznego Zachodu sprawę tę ponownie odłożono ad acta. Mimo to czołowi politycy włoscy (m. in. A. Forlani) nie zaniechali głoszenia swej „europejskiej" doktryny, wciąż podkreślając, iż stanowi ona zasadniczy cel ich działań. Celowi temu ma służyć m. in. koncepcja stworzenia federalnej partii zachodnioeuropejskiej, podjęta na paryskim kongresie Europejskiej Unii Chrześcijańskiej Demokracji (w lutym ub. roku), której zadaniem byłoby „zapewnienie ścisłej i stałej współpracy między partiami chadeckimi krajów EWG w celu realizowania wspólnej polityki zmierzającej do budowy federalnej Europy, a w szczególności zorganizowania udziału chadecji w wyborach do Parlamentu Europejskiego". Owo współdziałanie partii chadeckich ochrzczono nawet mianem „eurosolidaryzmu" (na wzór „eurokomunizmu") sugerując, że chodzi o zdobycie przez chadecję hegemonii w zjednoczonej Europie oraz o osłabienie oddziaływania ze strony Włoskiej Partii Komunistycznej i „rozcieńczenie" siły jej politycznych wpływów (A. Fanfani).

Osobną kartę we włoskiej polityce zagranicznej stanowią stosunki z krajami socjalistycznymi. Zainteresowanie nimi Włoch datuje się od początku lat 60, a motywacją działań w tym kierunku były nie tylko poglądy „umiarkowanego atlantyzmu", lecz chyba przede wszystkim względy gospodarcze. Zbliżenie ze Związkiem Radzieckim, zwłaszcza w dobie kryzysu energetycznego i surowcowego, stało się sprawą wyjątkowo atrakcyjną. Ożywiona kooperacja handlowa, przemysłowa i technologiczna przyczyniła się niewątpliwie do ugruntowania na trwałe pozycji państw naszego obozu we włoskiej strategii politycznej. Na tym tle rola i znaczenie Polski w stosunkach z tym krajem nabiera szczególnego charakteru.

Nie oznacza to bynajmniej reorientacji polityki zagranicznej Włoch. Była ona i pozostaje, z racji sprawowanych rządów, domeną chadecji, ale odzwierciedla także aktualne interesy klas rządzących, które z kolei kształtowały się w zależności od układu czynników zewnętrznych (USA, Watykan). Należy przy tym pamiętać, że uwarunkowany klasowo i geopolitycznie fundament włoskiej polityki zagranicznej, jaki uformował się w okresie „zimnej wojny" — lojalny sojusz ze Stanami Zjednoczonymi i NATO, nadal obowiązuje. Uległy natomiast ewolucji zbieżne przedtem motywy: **narodowy** (ambicje Włoch co do obecności na arenie międzynarodowej, a zwłaszcza europejskiej); **klasowy** (konieczność rozwijania ekspansji gospodarczej również na Wschodzie z uwagi na ograniczone możliwości tradycyjnych rynków zbytu) i wreszcie **ideologiczny** (nie manifestuje się już ostentacyjnie antykomunizmu, a dialog ze światem socjalistycznym stał się faktem, niemniej obecność silnej partii komunistycznej wywołuje w łonie konserwatywnych sił politycznych poczucie zagrożenia). Toteż polityka zagraniczna Włoch musi często oscylować wokół owych wzajemnie sprzecznych motywacji — atlantyckiej lojalności i wewnętrznego antykomunizmu oraz — interesów swych klas rządzących wymagających m. in. dobrych stosunków z krajami obozu socjalistycznego.

ODWIEDZINY BONDARCZUKA

Siergiej Bondarczuk jest jednym z tych artystów radzieckiego kina, których twórczość cieszy się w naszym kraju szczególnym uznaniem i popularnością. Jego filmy są wysoko cenione na całym świecie, czego świadectwem są liczne międzynarodowe nagrody przyznawane Bondarczukowi zarówno za reżyserię jak i wybitne aktorstwo. Ostatnio S. Bondarczuka gościliśmy w Polsce z okazji przeglądu jego filmów, filmów które zrealizował i w których występował jako aktor. Do znanych obrazów jak „Los człowieka", „Oni walczyli za ojczyznę", „Waterloo" i cztery części „Wojny i pokoju" doszły dwa następne filmy „Step" i „Takie wysokie góry".

— Każda wizyta w Polsce jest dla mnie radosnym przeżyciem — powiedział red. Hannie Frenkiel z PAP. — Lubię odwiedzać kraj moich przyjaciół, interesuję się też osiągnięciami polskiego kina. Śledzę twórczość Kawalerowicza, Wajdy, Zanussiego, chciałbym poznać dorobek i młodszych kolegów. Sprawa „młodzi w filmie" ostatnio mnie bardzo pasjonuje. I to zarówno jako kierownika I Zespołu „Mosfilmu" i jako wykładowcę WGIK-u, gdzie stykam się z wieloma młodymi ludźmi, których cenię i staram się im pomagać w znalezieniu właściwego miejsca w radzieckiej sztuce filmowej. Ich twórczość wnosi nowe wartości, zwłaszcza w odniesieniu do tematyki współczesnej, stanowiącej dziś główny nurt naszego kina. Przykładowo wymienię nazwiska Nikołaja Gubienki, Nikity Michałkowa, Gleba Panfiłowa czy twórców reprezentujących kinematografie republikańskie. Młodzi, do których zaliczam również Larysę Szepitko, realizatorkę „Wniebowstąpienia", w innym wymiarze podejmują również tematykę wojenną, kreśląc przede wszystkim wizerunki psychologiczne bohaterów, ukazując dramaty, konflikty postaw i charakterów ludzkich.

Na pytanie dotyczące związków jego filmów z literaturą, a zwłaszcza z utworami klasyki Bondarczuk wyjaśnia:

— W wielkiej literaturze odnajduję te wartości, które najwyżej cenię, a więc przede wszystkim bogactwo treści. Właśnie treść czyli to co twórca ma do powiedzenia od siebie jest najważniejszym tworzywem każdego dzieła sztuki. Zarówno w powieściach Tołstoja, dramatach Czechowa, utworach Szołochowa zawarty jest głęboki, szczery humanizm, przekazany w doskonałym kształcie artystycznym. Wynikiem tej fascynacji jest najnowszy zrealizowany przeze mnie film — „Step" wg Czechowa. Premiera tego filmu odbyła się niedawno w Moskwie w Domu Filmowca. Po projekcji salę zaległa głęboka cisza, która bardzo lubię w podobnych okolicznościach. Nie był to film łatwy w realizacji, do której od kilkunastu lat trudno mi było przystąpić, mając nawet napisany scenariusz. Te opory były częściowo skutkiem obawy, aby nie zubożyć filozofii Czechowa, jego umiłowania natury i wiary w jej potęgę jako źródła wszelkiego twórczego działania.

— Jako aktor wywodzę się ze szkoły Stanisławskiego — wyjaśnia Bondarczuk zapytany o rodowód swego aktorstwa — i jestem z tego dumny. Jego metoda nie jest czymś skostniałym, co się zatrzymało w jednym miejscu. System Stanisławskiego nieustannie rozwija się twórczo, pozyskuje zwolenników na całym świecie i właściwie do tej pory nikt nie stworzył niczego doskonalszego... Co najwyżej cenię w tej metodzie? Staram się doskonalić w swych umiejętnościach przeżywania losów bohaterów, a nie ich zewnętrznego, powierzchownego przedstawiania. Takie ujęcie roli spotyka się na ogół z akceptacją widza, wzbogaca jego odczucia estetyczne, pozostawia trwalszy ślad w pamięci.

Wybitny twórca odwiedził również Łódź, wprawdzie tylko na kilka godzin. Zwiedził naszą uczelnię filmową, obejrzał etiudy zrealizowane przez studentów i spotkał ze studiującą tu młodzieżą. Z relacji z tego spotkania red. Renaty Grzelak zamieszczonej w „Dzienniku Popularnym" wynotujmy tylko dwie refleksje przypomniane przez Bondarczuka za klasykami literatury rosyjskiej. „Słowa to tylko środek przekazu myśli, a w sztuce następuje nie wymiana myśli lecz uczuć. Sztuka to ich odkrywanie i przekaz... jej celem jest jednoczenie ludzi" I druga: „Klasyka dlatego właśnie jest klasyką, bo do dziś zostaje współczesna".

Cała twórczość Siergieja Bondarczuka jest potwierdzeniem tych słów.

Kilka dni temu amerykańska naftowa korporacja — Exxon Corporation — poinformowała, iż w okresie pierwszych dziewięciu miesięcy tego roku jej czysty zysk wyniósł 1 miliard 85 mln dolarów. Dla Standard Oil of Indiana wskaźnik ten wynosi 195 mln dolarów, a dla Phillips Petroleum — 125 mln dolarów. W ubiegłym roku dziesięć największych amerykańskich kompanii naftowych przyznało, że ich czysty zysk wyniósł ni mniej ni więcej tylko 10 miliardów dolarów. A przecież dodajemy do tego jeszcze pokaźną sumę z operacji zagranicznych. Monopole naftowe posiadają także dużą część zasobów gazu ziemnego i rudy uranu w USA oraz znaczną część narodowych zasobów węgla.

USA

LOBBYŚCI ATAKUJĄ KAPITOL

Amerykańskie monopole naftowe, spekulując na kryzysie energetycznym w USA, sztucznie tworzą niedobór paliw i podnoszą nań ceny zgarniając i tak już bajeczne zyski. Przyczyny tego kryzysu, który przeżywają obecnie Stany Zjednoczone tkwią w samej istocie kapitalizmu: garstka monopolistów zgarnia ogromne zyski z rabunkowej eksploatacji bogactw naturalnych kraju, a rachunek za to płacą masy pracujące, kupując po wygórowanych cenach materiały pędne i paliwo.

Pogłębiające się trudności energetyczne, o których coraz głośniej w prasie amerykańskiej, mają także inne przyczyny i nie są bynajmniej skutkiem przypadku. Stany Zjednoczone są teraz największym spośród krajów kapitalistycznych konsumentem i importerem paliw i materiałów pędnych. W 1971 roku USA wydatkowały na import nafty blisko 4 miliardy dolarów. W ubiegłym roku liczba ta była niemal dziesięciokrotnie większa i wynosiła już 36 miliardów dolarów. Oczekuje się, iż do końca br. wydatki na import nafty wyniosą około 45 miliardów dolarów. Tó brzemię spoczywające na barkach ludzi pracy jest zaledwie preludium tego, czym może się ono stać, jeśli Stany Zjednoczone będą importować coraz więcej nafty z zagranicy, a rząd USA nie okiełzna samowoli koncernów naftowych. Administracja, biorąc pod uwagę istniejące obecnie tendencje, przewiduje, iż w 1985 roku wydatki na importowaną naftę wyniosą 550 miliardów dolarów.

Powstaje pytanie, dlaczego w USA zużywa się tak kolosalne ilości paliw płynnych? Przede wszystkim dlatego, iż głównym konsumentem tych paliw i materiałów pędnych jest amerykański kompleks wojskowo-przemysłowy. Jest on największym w świecie zachodnim marnotrawcą energii, pożerającym lwią część uranu otrzymywanego w świecie kapitalistycznym oraz setki milionów baryłek produktów naftowych (baryłka naftowa zawiera 159 litrów ropy naftowej). Nie przypadkiem wojskowi odgrywają tak wielką rolę w opracowywaniu kierunków polityki zagranicznej USA. Tworzeniu baz wojskowych w pobliżu krajów socjalistycznych i stałemu zagrożeniu wojną jądrową przyświeca nie tylko cel przeszkadzania krajom obozu socjalistycznego w pokojowej, twórczej pracy. Zgodnie z zamierzeniami kół imperialistycznych powinno to również przeszkadzać krajom socjalistycznym w okazywaniu pomocy krajom rozwijającym się, w tej liczbie krajom — producentom nafty, w ich walce o pełne wyzwolenie z imperialistycznego ucisku i położenie kresu totalnej grabieży. Taka właśnie polityka znalazła swój wyraz w rozpaleniu wojny w Wietnamie, podczas której Waszyngton, między innymi, postawił sobie za cel zagarnięcie bogatych złóż nafty w strefie kontynentalnego szelfu; w operacjach CIA w Angoli, zasobnej w bogate złoża „czarnego złota"; w politycznym i wojskowym poparciu reżimu białej mniejszości w RPA, gdzie znajdują się największe w świecie kapitalistycznym złoża rudy uranowej. USA okazują pomoc militarną reakcyjnemu reżimowi Arabii Saudyjskiej, będącej jednym z głównych dostawców nafty do krajów kapitalistycznych, USA wreszcie aktywizują swoją wojskową obecność w tej strefie kontynentu. Komentator polityczny „Political Affairs", teoretycznego organu KP Stanów Zjednoczonych podkreśla, iż Waszyngton próbuje nawet w jakiś sposób dokonać rozłamu w Organizacji Krajów Eksporterów Nafty (OPEC), a amerykańscy ultrasi przeróżnych maści, przedstawiciele kompleksu wojskowo-przemysłowego, „jastrzębie" różnego lotu itp. wzywają otwarcie do militarnych akcji przeciwko krajom OPEC.

Ciężar kryzysu energetycznego spoczywa na barkach szerokich mas narodu amerykańskiego. W okresie od 1971 do 1975 roku ceny na paliwo i materiały pędne wzrosły o 54,5 proc., w porównaniu z 24 procentami wzrostu cen na towary masowego spożycia i usługi. Ta tendencja nie tylko zachowała się w latach następnych, lecz nawet przybrała na sile, szczególnie podczas wyjątkowo ostrej, zeszłorocznej zimy. Wskutek polityki monopoli, które stworzyły sztuczny niedobór gazu, nafty i elektryczności zamknięto wiele fabryk, jak również instytucji, i miliony robotników i urzędników znalazły się na bruku. Obecny wzrost wydatków na paliwo poważnie uszczupla rodzinne budżety, w konsekwencji obniżają się realne dochody ludności i poziom życia milionów ludzi pracy.

Jeśli chodzi o monopole naftowe, jak również inne monopole działające w sferze energetyki, to wzrost cen na paliwa i materiały pędne przynosi im nowe, kolosalne zyski. W 1974 roku, kiedy kryzys energetyczny miał szczególnie ostry przebieg, bajeczne zyski kompanii naftowych wzrosły co najmniej dwukrotnie. Jeśli wziąć 4-letni okres, od 1972 roku do 1976, to zyski koncernów energetycznych wzrosły trzykrotnie. Czyste dochody kompanii naftowych i węglowych, jak również firm dostarczających gaz i elektryczność, wzrosły w tym okresie, ogólnie, z 12 do ponad 35 miliardów dolarów. Wstrzymanie zaopatrzenia w gaz dużych przemysłowych miast, a nawet całych rejonów USA, podczas wyjątkowych chłodów ubiegłorocznej zimy, było konsekwencją cynicznej zmowy monopoli. Chociaż kompanie mówiły o wyczerpaniu „rezerwowych zapasów", paliwa w tym czasie nie brakowało. Nie ma co do tego najmniejszej wątpliwości, bowiem natychmiast po tym, jak Kongres podjął decyzję czasowego uchylenia kontroli cen gazu, pojawił się on na rynku w wielkiej obfitości. Kompanie nie mówiły już więcej o „katastrofalnych brakach", osiągnęły bowiem zamierzony cel: podwyższenie cen gazu.

Obecnie, monopole działające w sferze energetyki rozwinęły szczególnie gwałtowny atak na froncie wewnętrznym. Chociaż od momentu „proklamowania projektu niezależności", który miał na celu położenie kresu zależności USA od zagranicznych dostawców nośników energii, minęło ponad trzy lata, ani jedno z postawionych tam zadań nie zostało wykonane. Dziś głównym celem krzątaniny monopoli jest wywalczenie całkowitego uchylenia rządowej kontroli cen na paliwa i materiały pędne. Skutki tego działania są już widoczne, bowiem federalne i miejscowe władze przejawiają coraz większą wyrozumiałość wobec żądań kompanii gazowych o podwyższenie cen paliwa. Ta ofensywa kapitału monopoli na Waszyngton, jak informuje niezależny tygodnik „US News and World Report", przebiega w atmosferze skoncentrowanego ataku przeróżnych grup amerykańskiego lobby na siedzibę Kongresu USA na Kapitolu. Lobbyści „przepychają" żądania swoich mocodawców przez wszystkie stadia przygotowywania ustaw w Kongresie. „Obrabiają" senatorów, członków Izby Reprezentantów i ich współpracowników. Teraz, w związku z omawianiem problemów energetycznych, lobbyści monopoli naftowych przejawiają szczególną aktywność. Chodzi wszak o setki miliardów dolarów i kompanie naftowe wysyłają w bój swoich najbardziej wyspecjalizowanych mistrzów w dziedzinie „obróbki" ustawodawców. Nikt dokładnie nie wie, ilu lobbystów okupuje stolicę USA, mówi się o 6 tysiącach...

Generalny sekretarz Komunistycznej Partii USA, Gus Hall, pisał niedawno: „Źródła energii — gaz, nafta, paliwo jądrowe — są własnością narodu. Oddanie przez rząd tych zasobów korporacjom już samo przez się jest ograbianiem narodu. Nadszedł czas, żeby przystąpić do nacjonalizacji całego przemysłu energetycznego. Miliony ludzi doskonale zdają sobie sprawę, że jeśli dokona się nacjonalizacji — gaz, opał i elektryczność będą tańsze".

JERZY CZECH

J. F. STRAUSS W OBJĘCIACH PINOCHETA

Przestępstwa wojskowej junty Pinocheta — masowe aresztowania i mordowanie politycznych przeciwników, gwałcenie praw człowieka, głód i nędza spowodowane ekonomiczną polityką junty — wszystko to wzbudza oburzenie światowej opinii publicznej. W tej sytuacji wizyta w Chile przewodniczącego bawarskiej Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej (CSU), Franza Josefa Straussa, wygląda na otwartą próbę poparcia faszystowskiego reżimu Pinocheta, usprawiedliwienia go i wydostania z coraz szerszej, międzynarodowej izolacji.

Nie przypadkiem junta powitała Straussa z otwartymi ramionami. Przyjął go Pinochet, odbył spotkanie z innymi chilijskimi liderami. Jednocześnie inny działacz prawego skrzydła zachodnioniemieckiego bloku opozycji rządowej CDU/CSU — A. Dregger, udał się w 10-dniową podróż, podczas której spotkał się z przywódcami rasistowskich reżimów Republiki Południowej Afryki i Rodezji — Vorsterem i Smithem oraz przedstawicielami przemysłowych, finansowych i wojskowych kół tych krajów. Występując w roli obrońcy rasistowskich reżimów, Dregger, jak podaje zachodnioniemiecki dziennik „Frankfurter Allgemaine Zeitung", wypowiedział się „przeciwko ekonomicznemu bojkotowi" RPA i Rodezji, czego żąda przytłaczająca większość państw afrykańskich. Dregger przyznał otwarcie, iż Zachód uważa Afrykę Południową za „ważne źródło surowców" i wojskowo-strategiczny poligon. Jak wiadomo, RFN okazała Republice Południowej Afryki wydatną pomoc w stworzeniu własnego przemysłu zbrojeniowego, a przede wszystkim w budowie fabryk wzbogacania uranu.

Zachodnioniemiecka opinia potępia te próby CDU/CSU nawiązania bliskich stosunków z najbardziej reakcyjnymi reżimami świata. „Przewodniczący CSU, Strauss — pisze komentator polityczny „Frankfurter Rundschau" — obejmuje się z jednym z najbardziej zatwardziałych zbrodniarzy współczesności, wodzirejem chilijskiej junty, Pinochetem, który ma zbroczone ręce krwią tysięcy zgładzonych i potajemnie zamęczonych ludzi". Niedawno odbyty zjazd Socjaldemokratycznej Partii Niemiec (SDP) scharakteryzował zabiegi CDU/CSU jako „współdziałanie w próbie uznania wojskowej dyktatury w Chile na arenie międzynarodowej", podkreślając przy tym, iż „przynosi to wielką szkodę międzynarodowemu prestiżowi RFN".

Zwraca uwagę fakt, że wizyta Straussa w Chile, a Dreggera w RPA i Rodezji nastąpiły w ślad za podróżą członka władz CDU — Wernera do Pekinu i po jego rozmowach z chińskimi przywódcami.

Komentując wizyty i kontakty wiodących działaczy CDU/CSU z wodzirejami rasistowskich i faszystowskich reżimów oraz przywódcami chińskimi, postępowi zachodnioniemieccy obserwatorzy wskazują, iż wszystkie te siły łączą wspólne dążenia i interesy polityczne.

(C)

■ Odpowiedź Sejmu
■ Pożyteczny dialog
■ Dalsze skomplikowanie

Sejm PRL wyraził solidarność i pełne poparcie dla orędzia radzieckiego, skierowanego z okazji 60-lecia Wielkiego Października do narodów, parlamentów i rządów.

Sejm powitał również nowe inicjatywy Leonida Breżniewa, podkreślając ich znaczenie dla światowego pokoju.

Ten fakt zakończył bogaty w wydarzenia miniony tydzień. Najgłośniej w nim było o dialogu Polska — RFN.

Wizyta kanclerza H. Schmidta z wielu względów budziła szerokie zainteresowanie. I dlatego, że stan stosunków Polska — RFN jest ważny dla procesu dalszego odprężenia międzynarodowego, i dlatego, że przypadła na półmetek spotkania belgradzkiego sygnatariuszy Aktu Końcowego KBWE, i dlatego, że była to pierwsza podróż kanclerza po kłopotach, jakie przeżywała w ostatnich miesiącach RFN. Czekano na sukces tej wizyty i tak też się stało. Stwierdzili to zgodnie Edward Gierek i Helmut Schmidt.

Oficjalnymi dokumentami spotkania są: wspólne oświadczenie, memorandum w sprawie rozszerzenia współpracy gospodarczej między średnimi i małymi przedsiębiorstwami oraz noty (dokonano ich wymiany) o wejściu w życie umowy o współpracy kulturalnej.

Wspólne oświadczenie składa się z dwóch części: bilateralnej i międzynarodowej. Z tego obszernego dokumentu zwróćmy uwagę na niektóre stwierdzenia.

Układ z 1970 roku, porozumienia z 1975 roku i wspólne oświadczenie z 1976 roku są decydującymi etapami w procesie normalizacji i rozwoju wzajemnych stosunków. Obie strony są zdecydowane iść tą drogą — wszechstronnie rozwijać i pogłębiać wzajemne stosunki. Raz jeszcze potwierdzają więc zamiar **„intensyfikacji dialogu politycznego i wzajemnych konsultacji w sprawach bilateralnych i wielostronnych"**, a także podkreślają **„znaczenie, jakie przywiązują do rozszerzenia i pogłębienia współpracy gospodarczej i przemysłowej, stanowiącej jeden z zasadniczych filarów stosunków między PRL a RFN"**.

Rok miniony i bieżący zaznaczyły się we współpracy postępami, ale nie zostały jeszcze wykorzystane wszystkie możliwości. Dokument wymienia następnie płaszczyzny szczególnego zainteresowania, a więc — podajmy przykładowo — rozwój kooperacji w przemysłach: maszynowym, chemicznym, hutniczym, energetycznym, rolno-spożywczym, drzewnym, wydobycia i przetwarzania surowców, współpracę na rynkach trzecich, współpracę w dziedzinie energii w Europie, współdziałanie w dziedzinie badań naukowych i rozwoju technologicznego. Wiele uwagi poświęca się stosunkom kulturalnym, wolnemu od uprzedzeń wychowaniu młodego pokolenia, podkreśla znaczenie rozbudowy prawno-traktatowych podstaw wzajemnych stosunków.

Druga część wspólnego oświadczenia informuje na wstępie, iż głównym tematem międzynarodowym dyskusji Edwarda Gierka i Helmuta Schmidta były problemy odprężenia i rozbrojenia.

Obie strony potwierdziły, że przez swe działania na arenie międzynarodowej będą służyć **„zapewnieniu trwałego pokoju, umocnieniu bezpieczeństwa, jak również wszechstronnemu rozwojowi równoprawnej i wzajemnie korzystnej współpracy międzynarodowej"**. Opowiedziały się też za **„urzeczywistnianiem Aktu Końcowego KBWE jako całości zarówno w stosunkach dwustronnych jak i wielostronnych"**. Belgradzkie spotkanie powinno przynieść pozytywne rezultaty i przyczynić się do intensyfikacji procesu odprężenia.

Polityczne i militarne aspekty bezpieczeństwa muszą się uzupełniać. Dlatego konieczne jest ograniczenie i zaprzestanie wyścigu zbrojeń oraz podjęcie konkretnych kroków na rzecz powszechnego i całkowitego rozbrojenia pod skuteczną kontrolą międzynarodową. Podkreślono znaczenie rozmów radziecko-amerykańskich na temat ograniczenia zbrojeń strategicznych, rokowań wiedeńskich i zapowiedzianej specjalnej sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ, która będzie poświęcona rozbrojeniu.

Wspólne oświadczenie mówi także o niezbędności wzmożenia dalszej międzynarodowej współpracy w celu zagwarantowania bezpieczeństwa lotnictwa cywilnego i zapobiegania piractwu lotniczemu.

Jak widać — w rozmowach podjęto szeroki zakres spraw, a wspólnym dla nich mianownikiem jest gotowość rozwoju odprężenia. Można więc wyrazić przekonanie, że warszawskie rozmowy kanclerza RFN służyć będą w wymiarze dwustronnym dalszej normalizacji, natomiast w wymiarze międzynarodowym dalszemu umacnianiu pokojowych tendencji.

Na zakończenie przeglądu aktualiów powróćmy do tematu sprzed tygodnia: wizyty egipskiego prezydenta Sadata w Izraelu. Zastanawialiśmy się wówczas nad sensem tej podróży i rozmów ze strona izraelską tak nieoczekiwanie podjętych. Z pewnością nie wszystko z nich zostało ujawnione — to jednakże co znamy bardziej może sytuację na Bliskim Wschodzie skomplikować niż rozwiązać. Wydaje się, że Izrael nie zmienił swego stanowiska i Sadat nie uzyskał żadnych wskazówek co do pokojowej gotowości Tel Awiwu. Natomiast wizyta wzburzyła i podzieliła świat arabski. Sadat nie miał żadnego mandatu innych państw, występował więc z pozycji słabszego partnera w dialogu z Izraelem.

W. SŁAWSKI

Droga do Grenado

ANDRZEJ MAKOWIECKI

DWIE DROGI DO PARANY

(DZIENNIK PODRÓŻY)

Niedziela, 21 sierpnia. Rano. Podczas śniadania pani Janina Figurska mówi o Polakach. Jest ich tu, pi razy oko, cztery tysiące. Tylko część należy do związku, inni naturalizują się — zmieniają nazwiska, wyposażają potomstwo w brazylijskie imiona, zrywają z językiem. Jakkolwiek Sociedade Polonia uchodzi za najbardziej prężną i skonsolidowaną organizację w całej południowej Brazylii, wielu członków miga się od płacenia niewysokich, przecież składek. W wyniku dewaluacji trzeba było podnieść miesięczną opłatę o dziesięć cruzeirów. Pewien osiemdziesięcioletni staruszek, właściciel niezliczonej ilości sklepów i domów, najbogatszy chyba Polak w mieście, oświadczył listownie, w pełnych oburzenia słowach, że wypisuje się z Towarzystwa, które tak haniebnie drenuje obywatelską kiesę. Warto dodać, że staruszek nie ma żony i dzieci...

Do Związku zapisuje się sporo Brazylijczyków. Ano, nie można im odmówić we własnym kraju... Co ich tu ciągnie? Przede wszystkim muzyka. W zespole Pieśni i Tańca, wśród wystrojonych na łowicką modłę Polonusów, trzej Mulaci wywijają z siarczystym przytupem obertasy i polki galopki.

We władzach Towarzystwa również znajdują się przedstawiciele innych narodowości. Najbardziej rzutką działaczką polonijną jest chyba małżonka Zenona Gałeckiego. Wprawdzie pochodzi z Syrii i nie zna ani słowa po „warszawsku", ale za to — co za poświęcenie i serce!

Będąc sekretarką, Janina Figurska ma pod swoim nadzorem bibliotekę. Parę tysięcy tomów. Współczesna literatura polska? Jak najbardziej! Czytelnicy palą się do tego. Wprawdzie Sienkiewicz, Prus i Żeromski ciągle są na pierwszym miejscu, ale... to chyba kwestia talentu. Brak wielkiej, epickiej powieści, która odbiłaby złożony obraz życia w dzisiejszej Polsce. Już raczej trzeba sięgać do monografii i reportaży, a tych — niestety — mają tu mało... Co do prozy międzywojennej, czyta się tu nieraz Uniłowskiego.

— Zna pan „Żyto w dżungli"?

— Znam. Pisałem o tym pracę magisterską.

— Niech pan powie — czemu on się tak pastwił nad nami i nad naszą kochaną Brazylią?

Milczę.

Fakt, że relacjonując swój pobyt w Paranie, nie przebierał w środkach. Każda prawie napotkana chałupa cuchnie to moczem, to łajnem; większość ludzi — działaczy polonijnych, urzędników, sklepikarzy i wieśniaków — to łajdaki, debile, oszuści, zaprawieni od rana kaszaszą. Z pięciu występujących w książce księży, jeden jest zdeklarowanym pijakiem, drugi wyłudza pieniądze, trzeci żyje z siostrą zakonną, czwarty „omiata wzrokiem biodra Grzeszczeszyna" zaś sam Grzeszczeszyn, czołowa postać utworu, ma skłonność seksualną do kóz i dopuszcza się przeróżnych zdrożności. Indianie, których autor spotyka, są bez wyjątku zidiociali, chytrzy, bez żadnej godności, żebrzą o papierosy i targują się chciwie o pieniądze za pozowanie do zdjęć. Dzieci w polonijnej szkole, które przepytuje w obecności autora i ograniczonego belfra Grzeszczeszyn takie mają wiadomości o Polsce.

— „Powiedzcie mi teraz, co to jest Wisła?

— Woda — ponuro odpowiedział śniady chłopiec z pierwszej ławki.

— Ale jaka?

— Polska.

— A, tak?... no... no, dobrze, ale gdzie ona płynie?

— W Polsce.

— No, a duża ta Wisła jest?

— Duża.

— A długa?

— Oj, chyba długa!

— Ryby tam są?

— Chyba nie ma!

— Skąd wiesz?

— Albo są!...

Choć poziom kultury Polonii w prowincjonalnych ośrodkach rzeczywiście bywa czasem żenujący (potwierdzają to zresztą działacze polonijni z dużych miast), Uniłowski niewątpliwie przesadził. Ja go rozumiem. W zamierzeniach twórczych „Żyto w dżungli" nie było wcale reportażem, a rewizją reportaży i książek podróżniczych w ogóle. Totalny atak na mity panoszące się w owej literaturze — sprzeciw wobec przesadnych opisów egzotycznej przyrody i sielskiej wegetacji ludzi na jej łonie. Wrzask gniewnego pisarza okresu międzywojennego, którego nadrzędnym celem było burzenie literackiej tandety. Przy okazji jednak zburzył prawdę, skrzywdził ludzi i całkowicie sfałszował pejzaż.

Oto, jak odbrązawia port w Rio de Janeiro, najpiękniejszym mieście świata:

„Wszystko tu jednakie: smutna, brudna blacha dnia roboczego. Woda siecze o wodę, na wodzie nieco kolorowego śmiecia, skórki pomarańczowe, rozdarte puszki, bzdurna deszczułka z kilku wystającymi gwoździami i z pospolitym fragmentem napisu: made in... trochę zielska, cebula nie cebula — monotonne poruszanie się tego paskudztwa na mizernej fali".

Oto jak kompromituje naturę:

„Uroda brazylijska raziła mnie swym przesadnym bogactwem i rozwydrzeniem barw, jak razić może niegustownie ubrana żona właściciela dwudziestu jatek w jakimś mieście (...) Roślinność tutejsza, upojona chamskim dobrobytem, kłębiła się w tłocznym rozpasaniu, drzewo wrastało w drzewo, mchy, trzciny, paprocie do spółki z lianami nachalnie tłoczyły się wokół drzew... Widok ten powtarzał się bezczelnie i dowodził złego smaku. Tutaj doświadczyłem, że natura może nudzić".

Albo:

„Tropa pędziła z łoskotem w obrzydliwie, sucho prażącym słońcu i w kłębach przenikliwego, czerwonego pyłu. W tym śmierdzącym kraju wpada się w skrajne ostateczności. Raz leją się z nieba potoki, potem znowu rozprażona łaźnia dżungli".

Tak nie można. Brazylijskie południe, najchłodniejszy rejon kraju (w przeciwieństwie do Europy, mawia się tam: O! to dziewczyna z temperamentem! Z północy!) ma naprawdę wspaniałą i życiodajną przyrodę.

Niedziela, 21 sierpnia. Południe. Obszerny ford Zenona Gałeckiego (licencyjny) obwozi nas po mało zaludnionych połaciach stanu. Minęliśmy już przylegające do Porto Alegre miasta i osady: Canoas, Sao Leopoldo i Novo Hamburgo, gdzie rzeczywiście większość stanowią Niemcy. Samochód pnie się teraz w górę. Widoki są, krótko mówiąc, cudowne — lasy, przepaście, doliny o łagodnych podejściach. Wszystko tonie w zieleni, a zima nie przeszkadza wcale rodzić krzewom i drzewom.

Gałecki polemizuje z Uniłowskim za pomocą długiego miecza. Ot, zatrzymuje wóz, wchodzi w gąszcz bananowców i jednym wprawnym zamachem odcina dla nas gałąź, na której wisi w dwuszeregu trzydzieści, a może nawet czterdzieści tych owoców. Parę kilometrów dalej buszuje w trzcinie cukrowej: oderżniętą, ciążką, ociekającą sokiem i łudząco podobną do bambusa lachę obiera ze skóry łuski, a może łupiny? nie wiem jak to tam nazwać, i dzieli na kawałki, które pakujemy sobie do ust i ssamy, jak słodki, wonny cukierek. Potem jeszcze kokosy — sam się przecież na palmę nie wdrapie... daje więc pięć cruzeirów murzyńskiemu chłopcu, a ten zrywa dla nas trzy sztuki.

— Zerwij no jeszcze parę mandarynek.

Chłopak zrywa.

— I trochę tych żółtych śliwek.

Są śliwki.

Taka domowa uczta na pustkowiu robi wrażenie.

— Do kogo to wszystko należy? — pytam.

— Do nikogo. Czyli do każdego — odpowiada z dumą Gałecki. — W tym kraju trudno umrzeć z głodu, choćbyś nic nie robił.

Zamyślenie. — I może dlatego wielu jest takich, co nic nie robią...

Zwiedzamy piękne, stare miasteczko Gramado, a później Canelę, miejscowość znaną z malowniczego wodospadu. Podczas gdy panie robią sobie zdjęcia na tle roztrzaskujących się o kamienne koryto rzeki potoków, huczących i białych jak mleko, Gałecki analizuje brazylijską mentalność:

— Myśli pan, że ktokolwiek docenia urodę tej ziemi?... Każdy zamiast pracować, leniuchuje i narzeka. Każdy chciałby wyemigrować — do Stanów Zjednoczonych, Kanady, Europy... Każdemu się zdaje, że Brazylia, to najbrzydszy kraj świata.

— Zdumiewa mnie pan.

— A tak. Patriotyzm wybucha tylko wówczas, kiedy grają piłkarze, na co dzień każdy wzdycha i przeklina, że akurat tutaj musiał się urodzić.

— Pan też tak myśli?

— Nie. Ja trochę jeździłem po świecie, to wiem, że Brazylia jest piękna, chociaż całkiem nie odkryta przez turystów. Wiem także, że jest bogata. Jeśli ktoś dochodzi tutaj do pieniędzy, to tylko ludzie pochodzenia europejskiego. Kocham Brazylię. Niech pan pomyśli: jest większa niż cała Europa. Lat trzeba, żeby ją zwiedzić, życia nie starczy, aby poznać. Ale Brazylijczyk nie ma takich ambicji. Co własne, to nic niewarte...

— Taka już chyba natura człowieka. Mało jest narodów, które naprawdę dumne są ze swojego kraju. Anglik zawsze będzie twierdził, że najpiękniejsze są wyspy. Francuz da się porąbać za Paryż.

— Zgoda. Jeszcze może Amerykanie, Rosjanie, ja wiem?... niektórzy Polacy?... Tutaj, u nas, każdy by czmychnął, żeby mógł.

— Są jakieś ograniczenia?

— Oczywiście. Tylko najbogatszych stać na wycieczkę do Stanów czy Europy. Rząd postanowił, że każdy, kto wyjeżdża, musi zostawić w depozycie bankowym na zastaw osiemnaście tysięcy cruzeirów, i nawet jak wróci, przez okrągły rok nie wolno mu ich wycofać. W związku z permanentną dewaluacją, kwota ta, nie objęta procentami, kurczy się w przeliczeniu na siłę nabywczą.

— Myśli pan, że słuszne jest to rozporządzenie?

— Z jednej strony słuszne, z drugiej nie... Pieniądze zostają w kraju, nikt nie może sprzedać majątku i wyjechać, bo turyście przysługuje prawo do wywozu tysiąca dolarów i koniec. Toteż, kto wyjeżdża, ten wraca. Ale... ludzie czują się trochę zniewoleni, sarkają, bo nie mogą swobodnie dysponować swoim kontem.

Niedziela, 21 sierpnia. Wieczór. Po sutym obiedzie w Gramado (osiemnaście dań) wracamy do Porto Alegre. Trochę boli mnie serce, albowiem Curitiba, stolica stanu Parana i zarazem kolejny etap naszej podróży, zaczyna się oddalać. Wolałbym złapać autobus w Gramado lub Caxias do Sul. Byłoby wówczas do celu o stokilkadziesiąt kilometrów bliżej i kilkadziesiąt cruzeirów taniej, nie mówiąc już o oszczędnościach czasowych. Przecież jedna z dróg do Parany prowadzi właśnie przez Gramado... Jednakże Zenon Gałecki postanowił, że złapiemy wygodny autobus w Porto Alegre i pojedziemy do Parany inną, nadmorską drogą.

— O której jest ten autobus?

— O dziewiętnastej piętnaście.

— Zdążymy?

— Oczywiście. Nie ma jeszcze szóstej.

Fakt. Jeszcze nie ma. Ale nasza szybka jazda zostaje nagle przyhamowana. Tuż za Sao Leopoldo dostajemy się w ogon wielokilometrowego zatoru. Przecież to niedziela, koniec weekendu, nieprzebrana rzeka samochodów wraca do miasta z różnych stron. Na dodatek otworzono akurat w Porto Alegre wystawę bydła, polskie krowy także są ponoć, no i tłok przez to jeszcze większy.

Posuwamy się z szybkością pięciu kilometrów na godzinę. Jesteśmy autentycznie zdenerwowani. Najbliższą przyszłość widzę raczej w ciemnych barwach. W duchu rozważam możliwość czy nie zaniechać całej eskapady i nie wrócić do Rio Grande, na statek, tym bardziej że z chłodem wieczoru znowu łapią mnie dreszcze i ból gardła.

Samochody stoją, a gdzieś tam z bocznej drogi wyjeżdża konno na szosę gaucho. Tak w argentyńskiej prowincji Buenos Aires, i w brazylijskim stanie Rio Grande do Sul nazywa się tutejszy chłop — po trosze pasterz z kowbojskimi rekwizytami (kapelusz, lasso, nóż), po trosze rolnik; człek nie specjalnie robotny, ale dobry, łagodny, zadowalający się byle czym: kurną chatą na pustkowiu, garścią suszonych owoców... W Argentynie wolny czas wypełniają sobie Los gauchos rozmową i popijaniem yerba mate, którą Europejczycy niesłusznie utożsamiają z herbatą. W Brazylii gauchos umilają sobie pogaduszki łykiem caipirini, krążącej z rąk do rąk w pojemnym naczyniu. Słowa mają u nich swoją wagę, padają rzadko i celnie, co przypomina zwięzły sznur dialogowy we współczesnym dramacie. Gaucho pogardza zegarkiem, nigdy się nie śpieszy, wychodząc z założenia, że zawsze zdąży się spóźnić...

Człapie sobie teraz biedaczysko skrajem szosy. Tysiące samochodów stoi i trąbi, kierowcy ocierają z czoła pot i bluzgają namiętnie, ten zaś na koniku, patataj, noga za nogą, posuwa się do przodu, przy czym twarz ma pogodną a oczy wesołe...

(c.d.n.)

Zdjęcia: Elżbieta Makowiecka

Skraj dżungli

CZARNY KSIĄŻĘ

To, co znajduje się na kartach tej książki, jest w swojej istocie jak i w swoim zarysie historią miłości (...) Twórcza walka człowieka, jego poszukiwanie mądrości i prawdy, to historia miłosna. Poniższa opowieść jest dwuznaczna i często relacjonowana nieco pokrętnie. Poszukiwania i walki człowieka są dwuznaczne i zaprzysiężone tajemnym drogom. Ci, którzy żyją w mrocznym świetle, potrafią mnie zrozumieć. A przecież: co może być prostsze od historii miłosnej i bardziej czarujące? Że sztuka dodaje uroku rzeczom strasznym, to może jej chwała, a może jej przekleństwo. Sztuka to wyrok losu. Była wyrokiem losu dla Bladley Pearsona". Bradley Pearson to bohater „Czarnego Księcia" — powieści, której autorką jest Iris Murdoch, współczesna pisarka angielska. Bradley, pięćdziesięcioośmioletni pisarz, dla którego najważniejszą wartością w życiu jest sztuka, zakochuje się w dwudziestoletniej dziewczynie, córce swoich przyjaciół. Finał tej miłości jest równie tragiczny, co nieoczekiwany. Bradley umiera w więzieniu. Powieść „Czarny Książę" nie ogranicza się tylko do tego wątku, przewija się na jej kartach wiele postaci uwikłanych, mimo pozornie łatwego i ustabilizowanego życia, w sprzeczności i konflikty z najbliższymi. Bohaterowie powieści „Czarny Książę" to ludzie o skomplikowanej psychice, wewnętrznie rozdarci, nie bardzo umiejący znaleźć sens swojego życia.

Pisarka znana jest już polskiemu czytelnikowi z takich powieści, jak: „Czas aniołów", „Dzwon", „Skromna róża", „W sieci". „Czarny Książę" ukazał się w popularnej serii „Nike".

Iris Murdoch — „Czarny Książę", przełożyła K. Tarnowska, Czytelnik, W-wa 1977, str. 720, cena zł 65.

POWIEŚCI MAGDY SZABO

Powieści współczesnej pisarki węgierskiej, Magdy Szabo, cieszą się wśród polskich czytelników dużym powodzeniem. Urodzona w 1917 roku Magda Szabo po ukończeniu studiów uniwersyteckich zaczęła pracować jako nauczycielka w szkole średniej. Później jednak poświęciła się wyłącznie pisarstwu. Prawie wszystkie jej książki zostały przetłumaczone na język polski, a do najbardziej znanych zaliczyć trzeba: „Fresk", „Sarenkę", „Piłata" oraz książki o tematyce młodzieżowej: „Bal maskowy" i „Powiedzcie Zsófice".

Dwie oficyny wydawnicze: „Iskry" i PIW dostarczyły nam ostatnio kolejnych przekładów prozy węgierskiej pisarki. Pierwsza powieść — „Tajemnica Abigel" opowiada o losach piętnastoletniej Giny, umieszczonej, wbrew jej woli, w starej, o staroświeckich metodach nauczania i wychowania, pensji w prowincjonalnym mieście węgierskim. Akcja tej na poły sensacyjnej powieści rozgrywa się w końcu 1943 roku i na początku 1944. Przygody piętnastoletniej pensjonarki mogą oczywiście stanowić lekturę odprężającą dla czytelnika dorosłego, ale głównym jej odbiorcą, do którego książka jest przede wszystkim adresowana, będzie z pewnością młodzież.

Dorosłym czytelnikom natomiast można polecić następną powieść Magdy Szabo — „Świniobicie", która ukazała się w Klubie Interesującej Książki pod patronatem PIW. Odnajdujemy tutaj tak typowe dla tej pisarki zafascynowanie relacją i konfliktami między ludźmi pozornie sobie najbliższymi. Bohaterowie powieści Szabo to zawsze postacie o zagmatwanej psychice, a autorka maluje ich portrety z drobiazgową dokładnością i znawstwem.

Magda Szabo — „Tajemnica Abigel", przełożyła A. Mazurkiewicz, Iskry, W-wa 1977, str. 375, cena zł 42.—

Magda Szabo — „Świniobicie", przełożyła K. Pisarska, PIW, W-wa 1977, str. 137, cena zł 20,—

PRZECIW SZOKOWI PRZYSZŁOŚCI

Tak zatytułował swoją książkę Józef Bańka i jest ona polemiką ze słynną książką amerykańskiego publicysty Alvina Tofflera „Szok przyszłości". Alvin Toffler ukazuje katastroficzną wizję świata, w którym w wyniku szybkiego rozwoju cywilizacji następuje „dehumanizacja" życia. Józef Bańka sprzeciwia się takiej koncepcji.

Józef Bańka jest dyrektorem Instytutu Filozofii i kierownikiem Zakładu Filozofii Techniki na Uniwersytecie Śląskim Zajmuje się ochroną psychosfery człowieka. Stworzył nowy kierunek nauki — e u t y f r o n i k ę, zajmującą się badaniem wpływu cywilizacji na psychikę człowieka i szukaniem właściwych środków profilaktycznych, które zapobiegałyby ujemnym oddziaływaniom cywilizacji na ludzi. Swoje poglądy na ten temat zawarł w książkach: „Technika a środowisko psychiczne człowieka" i „Humanizacja techniki".

Nic więc dziwnego, że to właśnie Józef Bańka — nieustannie szukający rozwiązań sprzeczności między cywilizacją a człowiekiem, który zresztą tę cywilizację tworzy — podjął polemikę z tezami zawartymi w książce Alvina Tofflera. W książce „Przeciw szokowi przyszłości" zawarł on jednak nie tylko krytykę poglądów Alvina Tofflera, ale też przeciwstawił tym poglądom taki model humanizacji techniki, który może ludziom zapewnić ochronę ich podstawowych wartości psychicznych. Pokazuje on też przyczyny, dla których współczesna technika albo przynosi ludziom korzyści, albo cierpienia.

„Przeciw szokowi przyszłości" jest książką przepojoną ogromną wiarą w wielkie możliwości ludzi. „Analiza sytuacji krytycznych — pisze Józef Bańka — w których od czasu do czasu człowiek lub grupa znaleźć się mogą, wskazuje, że kiedy życie ludzkie zagrożone jest przez czynniki zewnętrzne, wola życia jest niezwykle silna, rezerwy psychiczne człowieka ulegają mobilizacji". Dzięki temu ludzie mogą przezwyciężać grożące im niebezpieczeństwa. Ale muszą też być tego świadomi. Muszą umieć z tych możliwości korzystać.

Józef Bańka — „Przeciw szokowi przyszłości", Wydawnictwo „Śląsk" 1977, str. 414, cena zł 50,—

ARCHEOLOGIA DLA WSZYSTKICH

Archeologia zrobiła wielką karierę. Jest to jedna z trudnych nauk, która cieszy się ogromnym zainteresowaniem laików Archeologia jest też nauką najpowszechniej bodaj popularyzowaną. Ludzie interesują się bowiem nie tylko tym, co nas czeka, ale i tym, co było dawniej, skąd pochodzimy, jaki jest nasz rodowód, jak żyli nasi przodkowie. Interesujemy się tymi sprawami nie tylko w skali świata ale też i daleką przeszłością Słowian, najwcześniejszymi dziejami naszego narodu i państwa. Chociaż trzeba przyznać, że popularyzacja badań archeologicznych w Polsce jest stosunkowo mniejsza od popularyzacji badań archeologicznych w innych rejonach naszego kontynentu czy świata.

Obecnie czytelnik otrzymał interesującą pozycję traktującą o badaniach archeologicznych w Polsce. Jest to lektura nie mniej fascynująca niż badania nad przeszłością piramid czy grobów starożytnej Grecji. Książką tą jest pięknie przez Naszą Księgarnię wydana praca popularyzatorska Feliksa Zygmunta Weremieja pt. „Śladem zagubionych ogniw". Przystępnie napisana, bogato ilustrowana książka F. Z. Weremieja opowiada o dziejach wielu interesujących odkryć archeologicznych dokonanych w naszym kraju. Opowiada o trudnej pracy archeologa, o współpracy ze specjalistami z innych dziedzin nauki, o wspólnym wysiłku przynoszącym sensacyjne niemal wyniki.

„Śladem zagubionych ogniw" wydała Nasza Księgarnia, ale fakt ten niech nie myli czytelników. Nie jest to książka przeznaczona wyłącznie dla młodych czytelników. Jest to książka dla tych wszystkich, którzy wiedzą, że archeologia jest nauką fascynującą i chętnie śledzą wszelkie publikacje na ten temat. A z książki F. Z. Weremieja dowiedzą się wiele ciekawych rzeczy o archeologicznych odkryciach ostatnich czasów.

Feliks Zygmunt Weremiej — „Śladem zagubionych ogniw", Nasza Księgarnia, Warszawa 1977, str. 210, cena zł 60.—

STARA ŁÓDŹ

OFIARY FUSZERKI I BRAKU KONTROLI

Miastem liczącym około 150 tysięcy ludności, a ponadto głównym ogniskiem niemiecko-polskiego przemysłu jest Łódź. Nie dziw też, że wyrabia ona, obok innych produktów, także więcej niż inne miasta prowincjonalne zabójstw, kradzieży, oszustw, kalectw fabrycznych i tym podobnych wypadków, które ciernionym wieńcem zdobią każdy dzień życia człowieczego. (Sąsiedztwo Bałut, przedmieścia stanowiącego przymusową siedzibę tzw. „złodziei pobytowych" 1), znacznie pomnaża liczbę przestępstw, zwłaszcza przeciwko własności).

Uznawszy jednak ze strony cyfrowej za naturalną tę masę złego, właściwą wielkim zbiorowiskom ludzkim, nie możemy rejestrować jej bez krytyki, a w pewnych szczególnych zdarzeniach bez protestu.

W minionym tygodniu Łódź była widownią dwu katastrof, których niepodobna zapisać tylko do rachunku, lecz które należy rozważyć i ich źródła napiętnować.

Naprzód runął nowo budowany dom, zgniótłszy jednego robotnika, a ciężko pokaleczywszy kilku. Dlaczego runął? Czy go podmyła powódź? Czy nadwerężyły kule armatnie? Czy podważył wybuch?

Nie — dom zapadł się dzięki niedbalstwu i spekulującej fuszerce! Posłuchajmy wyjaśnień.

Według korespondenta Kuriera Warszawskiego" kamienica była tak „wykończona", że posiadała już sufity, podłogi, a nawet szyld nad jednym ze sklepów. Inż. Landau-Gutenteger, twórca planu, wezwał komisję miejską do oględzin Dnia 20 zeszłego miesiąca komisja ta, obejrzawszy budowę znalazła ją wadliwą i grożącą niebezpieczeństwem, a wskutek tego policja nakazała właścicielowi, p. Bławatowi, wstrzymać wszelkie roboty i otoczyć mury parkanem. Na kilka dni przed wypadkiem doniesiono władzom, że w owym fatalnym domu ludzie nad czymś pracują. Jak się okazuje z zeznań robotników, p. Landau zamierzał poprawić budowę i w tym celu rozebrano klatkę schodową oraz osłaniający ją mur, fundamenty zaś zaczęto wzmacniać przez dodanie nowej warstwy cegieł. Podczas tego „wzmacniania" jedna ze ścian runęła. Pod gruzami zginął robotnik Wł. Tyrański z Kutna, pięciu zaś innych odniosło mniej lub więcej ciężkie rany

Jak widać z tej opowieści, przyczyną katastrofy nie była żadna „siła wyższa", żaden czynnik nieprzewidziany, ale zwyczajna fuszerka, tak wyraźna i bezczelna, że ją przy oględzinach od razu spostrzeżono, a tak wystepna, że o zasłużoną karę się doprasza. Wobec tego rodzaju tandet nie należy sądzić, że właściciel, budowniczy, majster mularski lub ciesielski wznosząc wątłą kamienicę, przypuszczają, że ona zawali się zaraz po „wykończeniu". Byłaby to rachuba zbyt naiwna i zapewniająca same straty. Przeróbka bowiem, a tym bardziej przeróbka po runięciu murów łącznie z kosztami pierwotnej fuszerki, wypada znacznie drożej niż postawienie od razu domu mocnego. A do tych wydatków trzeba jeszcze dołączyć następstwa pieniężne i karne odpowiedzialności prawnej, zwłaszcza gdy, jak obecnie, kilku ludzi postrada zdrowie i życie.

Spekulant rozumuje inaczej: jeden — zacietrzewiony oszczędnością, ma nadzieję że okpi ziemię, na której wsparł fundamenty, okpi cegłę okpi belki i że tanio złoży coś takiego, co nie oprze się trzęsieniu ziemi, ale będzie utrzymywało się w całości; drugi, zwyczajny oszust, pragnący okpić nabywcę, mniema, że zbudowawszy dom nietrwały, zdąży sprzedać go komuś przed ujawnieniem wad ukrytych lub zasmarowanych maścią panamską 2), a gdy za lat parę ściany popękają i fundamenty osuną się, niech nowy właściciel poprawia je i dźwiga ciężar kłopotu.

Ten ostatni szwindel występuje zwykle podczas tzw. „gorączki budowlanej", która napada wszystkie wielkie miasta po większych napływach ludności. Tak na przykład Warszawa znajduje się obecnie w okresie tej gorączki skutkiem przybycia i osiedlenia się ogromnej masy Żydów z cesarstwa rosyjskiego, którzy wytworzyli brak mieszkań i potrzebę budowy nowych domów. Przypadłości tej uległa również Łódź zabudowywana na gwałt. Rzecz naturalna, że gdy jedni w przedsiębiorstwach budowlanych chcą dobrze oprocentować sobie kapitał, inni pragną od razu zrobić świetne „geszefty" i wznoszą ogromne lepianki, które niekiedy stoją po lat kilka lub kilkanaście, a niekiedy zapadają się natychmiast. Jaki jest stopień winy właściciela zawalonej kamienicy, autora jej planu, wreszcie majstrów, my rozstrzygać nie będziemy, pozostawiając tę sprawę sądom. Prasa tylko winna przypominać i zaostrzyć czujność komisji budowlanych ze względu na wytężoną spekulację, która czułym sumieniem wcale się nie odznacza. Kto wie, ile podobnych domów już stanęło lub jeszcze stanie w Łodzi, kto wie ile ich otrzyma Warszawa, a każdy z nich grozi naprzód robotnikom, a później lokatorom Ani społeczeństwo ani władze nie mogą obojętnie przypatrywać się tym krwawym ofiarom niecnych spekulantów, temu spiskowaniu przeciw bezpieczeństwu ogólnemu, temu zdobywaniu zysków kosztem życia ludzkiego. Nie jeden dom runął w Łodzi, ale runęło istnienie pięciu osób i ich rodzin — a ilu zginąć mogło?

Drugi wypadek należy do częstszych, chociaż równie karygodnych. Pękł i wyleciał w powietrze kocioł. Był to w opustoszałej fabryce sprzęt stary, dawno nie używany Obejrzał go, według zeznania robotników, jakiś specjalista i kazał wstrzymać się z ogrzaniem, ale palacz nie usłuchał tego zakazu. W chwili wybuchu znajdowało się przy kotle kilkoro ludzi jeden z nich zginął od razu, drugi — pokaleczony dogorywa. Wyrzucone z potężną mocą w górę odłamy pospadały na budowle sąsiednie, zrządziwszy w nich znaczne szkody, a jeden, zrujnowawszy dach i sufit obocznego domu, zabił wyrobnicę. Nie licząc rannych — troje ludzi postradało życie. Kto je wynagrodzi, albo raczej — kto za nie odpokutuje?

Zważmy, jak to się ładnie działo. Stary, zużyty, nie zbadany i nie wyprobowany kocioł, który posiada daleko większą siłę wybuchową i większym grozi niebezpieczeństwem niż armata, został ogrzany, to jest nabity przez jakiegoś palacza, bez żadnej ostrożności, bez żadnego dozoru, nawet wbrew zastrzeżeniu jakiegoś specjalisty. Gdyby ktoś posiadał w piwnicy beczkę prochu z pewnością nie pozwoliłby i nie pozwolono by mu na to ażeby służące stawiały sobie na niej świece przy braniu kartofli lub węgli. Tymczasem kocioł, równający się wielu beczkom prochu, zdolny — jak w zdarzeniu łódzkim — rozrzucić swoje kilkusetfuntowe czerepy naokoło w promieniu pięciuset kroków, pozostaje na opiece zwykłego palacza. A czy znowu ów palacz nie jest przysłowiowym ślusarzem, którego wieszają za winę kowala? Trudno bowiem przypuścić, żeby on sam bez rozkazu pryncypała, a nawet wbrew rozkazowi rewizora, tak dla własnej przyjemności podłożył ogień pod straszną maszynę. Byłoby to bardzo dziwne!

Na innym miejscu dzisiejszego numeru zastanawiamy się nad organizacją dozoru fabrycznego. Ostatnia katastrofa przekonała dowodnie, jak dalece jest on pożądany w najsurowszej formie. Gdyby istniał jakiś organ ściśle kontrolujący, jeden spekulant nie wydzierżawiłby starego kotła, drugi nie użytkowałby zepsutego, palacz nie zagrzałby zbiornika siły wybuchowej, a nade wszystko troje ludzi nie straciłoby życia. Zanim to nastąpi mniemamy, że ktoś z tych śmiałych co tak lekceważą sobie owo cudze życie, swoje trzymając poza niebezpieczeństwem, zasiadzie na ławie oskarżonych. Kilka lat więzienia wraz z obowiązkiem wynagrodzenia poszkodowanych, zastosowane w każdym wypadku, z pewnością wzmocniłoby kotły.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

„Prawda", nr 15 z dnia 15 kwietnia 1893.

Katastrofy budowlane w Łodzi miały miejsce co roku. Sprytni przedsiębiorcy budowlani oszczędzali na fundamentach stawiając wielopiętrowe kamienice na podkładzie kilku cegieł. Oszczędzano również na ścianach szczytowych — po prostu dostawiając własną kamienicę do ściany domu już wybudowanego przez sąsiada.

Katastrofa, omawiana przez Swiętochowskiego w warszawskiej „Prawdzie", miała miejsce 6 kwietnia 1893 roku, na jednej z licznych budów prowadzonych przez I. Bławata, który był głównym agentem parcelacyjnym Augusta Zawiszy. Bławat dorobił się olbrzymiego majątku i na parcelacji Bałut i na takich właśnie lichych budowlach.

Warto na tym miejscu przypomnieć, że kiedy już w Polsce Ludowej (w latach pięćdziesiątych) zamierzano restaurować stary gmach Muzeum Etnograficzno-Archeologicznego, przy pl. Wolności 14, okazało się, że ten imponujący gmach dawnego łódzkiego magistratu nie posiada w ogóle fundamentów, a klatki schodowe i same schody-wsparte są na drewnianych belkach wpuszczonych do... przewodów kominowych. Wiele ton cementu musiano wlać pod ten gmach jak również wypełnić kominy cementem — aby Muzeum nie runęło.

Eksplozja kotła parowego opisywana przez Świętochowskiego wydarzyła się w tym samym czasie w fabryce Manneberga, przy rogu ulic Wólczańskiej i Karola (dzisiaj Żwirki).

1). W drugiej połowie XIX stulecia nie meldowano w Łodzi kryminalistów, którzy odbyli karę kilku lat więzienia. Miejscem zamieszkania (pobytu) dla takich osobników mogły być wyłącznie Bałuty, stanowiące odrębną gminę-pobytówkę. Dzięki właśnie owym „pobytowcom" Bałuty cieszyły się w latach dziewięćdziesiątych ub. wieku sławą podobną do sławy londyńskiej dzielnicy Whitechapel. Jednakże już w roku 1904 Stefan Górski pisał w „Łodzi Społecznej":

„Dziś nad Bałutami zawisła różdżka pokoju, bezpieczniej można tu przechodzić wąskimi, krętymi uliczkami niż po Rybakach w Warszawie. I więcej raczej potwornej nędzy, posuniętej do tragedii rozgrywa się dziś na Bałutach, niżli utarczek ulicznych lub napadów". Dzięki moralnemu oddziaływaniu miejscowej ludności niejeden „Antek z Bałut" stawał się szybko przyzwoitym obywatelem.

2) Maść panamska — aluzja do głośnej w owym czasie afery przy budowie Kanału Panamskiego, zakończonej w roku 1889 bankructwem spółki założonej przez francuskiego inżyniera Lessepsa.

Felieton Aleksandara Świętochowskiego przedrukowujemy z tomu „Liberum Veto", wydanego przez PIW. (Wyboru dokonał i wstępem poprzedził Samuel Sandler).

HENRYK RUDNICKI

WACŁAW PAWLAK

NA PIOTRKOWSKIM TRAKCIE

Jeszcze w 1906 r. południowa granica Łodzi przebiegała tuż za placem Niepodległości. Dalej, wzdłuż traktu piotrkowskiego aż poza rzekę Olechówkę, rozciągały się obszary wchodzące w skład gminy Chojny.

Najstarsza wzmianka o Chojnach pochodzi z 1399 roku. Pod koniec XV stulecia we wsi tej istniał drewniany kościółek filialny św. Wojciecha należący do parafii w Mileszkach. Zabudowania wieśniacze rozrzucone były wzdłuż południowego stoku doliny Olechówki zaś dwór i kościół znajdowały się na jej przeciwnej krawędzi. Od Łodzi aż po wieś Chojny, po obu stronach drogi wiodącej do Piotrkowa, szumiały dąbrowy i sosnowe bory. Rosłe chojaki przeglądały się w rozlewiskach rzecznych. Od nich zapewne Chojny wzięły swoją nazwę

W 1643 roku na miejscu pierwszego kościółka chojeńskiego, który przypuszczalnie uległ zniszczeniu, zamożny mieszczanin krakowski pochodzący z Chojen, Jan Mulinowicz, zbudował nowy kościół modrzewiowy. W połowie XVIII wieku Chojny należały do trzech właścicieli Największą połać ziemi posiadał Sulmierski. Do niego należały dwór, młyn, browar, zajazd i 13 chałup dworskich Drugi właściciel Chojen, Stokowski, miał tylko mały dworek i gospodarstwo rolne składające się z 12 zagród kmiecych. Część trzecia, najmniejsza, należąca do Janikowskiego, składała się z dworku, niewielkiego browaru i 5 zagród.

Później dobra chojeńskie znalazły się we władaniu Benedykta Górskiego. W 1789 roku wyciął on las w części swego majątku graniczącej z wsią Zarzew i na karczowisku założył kolonię rolną Dąbrowę (dziś ul. Dąbrowskiego). Zasiedlili ją koloniści niemieccy, naówczas zwani olendrami.

Po śmierci Górskiego dobra Chojny otrzymała jego córka Izabela Walewska. Następnie przeszły one w posiadanie pięciorga spadkobierców Franciszka Kamińskiego. W 1866 r. córka Kamińskiego, Marianna Rudzka, objęła folwark chojeński drogą układów rodzinnych.

Do czasu uwłaszczenia chłopów Chojny nie wykazywały większych tendencji rozwojowych. W połowie ubiegłego wieku wieś liczyła 417 mieszkańców i 48 chłopskich zagród rozciągniętych w cztery kolonie, sięgające końcami samego miasta Łodzi.

Na terenie folwarku chojeńskiego według współczesnego zapisu znajdował się dwór i zabudowania folwarczne, kilka odartych chałup dla służących dworskich, cegielnia, ubogi kościół, dom księdza i karczma z całej wsi najlepiej wyglądająca. W 1864 r. pożar strawił dwór wraz z zabudowaniami gospodarczymi i cegielnią. Odbudowała je Marianna Rudzka w 1866 r. przy pomocy funduszu ubezpieczeniowego.

Chłopi chojeńscy ustawicznie borykali się z biedą. Wizytujący wieś w 1850 r. sekretarz magistratu łódzkiego, Teofil Sroczyński, raportował swoim przełożonym: „W mieszkaniach włościan znalazłem niedostatek i ubóstwo (...) Sami gospodarze noszą nędzne ubranie, a dzieci posiadają tylko złachmaniony strój lub też zaledwie koszulę. W stancjach zaniedbany porządek, wilgotne i smrodliwe wyziewy. Stodoły po większej części znajdują się już próżne (...) Sam inwentarz znalazłem biedny i słaby, a nawet niedostatek takowego dla obrobienia ziemi".

Bezgraniczny ucisk pańszczyźniany powodował ucieczkę chłopów ze wsi. Zbiegostwo wzmogło się, gdy w niedalekiej Łodzi rozwinął się przemysł fabryczny. Uciekinierzy znajdowali w mieście bardziej ludzkie warunki bytowania. W 1857 r. Chojny miały 19 opustoszałych gospodarstw.

Proces parcelacji Chojen, zapoczątkowany przez Benedykta Górskiego, za jego następców postępował naprzód. Uwłaszczenie chłopów, jak również długi zaciągnięte przez Mariannę Rudzką na spłacenie współspadkobierców, wprowadziły ją w bardzo trudne położenie materialne. Z opresji pieniężnych Rudzka ratowała się sprzedażą znacznego obszaru lasu, a także wielohektarowych działek ziemi. Nabywali je przeważnie koloniści niemieccy.

Rudzka, pomimo wyprzedaży części dóbr, nie zdołała utrzymać folwarku chojeńskiego w swoim posiadaniu. W 1874 r. przeszedł on na własność Jana Krauzego i Jerzego Fiszera. Chojny stały się teraz terenem wzmożonej parcelacji. Na gruntach folwarcznych wydzielono 106 placów, położonych najbliżej Łodzi, przeznaczonych pod budowę domów mieszkalnych. Powstałe w taki sposób Nowe Chojny posiadały pod koniec zeszłego wieku siedem ulic, przy których stanęły 222 domy, w tym 54 murowane. Osadą liczyła już 2214 mieszkańców Dąbrowa — tyleż samo, podczas gdy Stare Chojny zamieszkiwało tylko 900 osób. Do rozwoju Chojen przyczyniła się bliskość fabrycznej Łodzi, jak i wejście przemysłu na teren samej gminy Lokował się on przede wszystkim w Dąbrowie. W 1878 r. powstała tu przędzalnia wełny i fabryka sukna Leonhardta, Woelkera i Girbardta. W dwa lata później Henryk Glüffer założył fabrykę wyrobów bawełnianych, którą odstąpił w 1887 r. Włodzimierzowi Stolarowowi. Wreszcie w 1900 roku Emil Haebler założył w Dąbrowie przędzalnię.

Wybudowana w 1907 roku kolej obwodowa przecięła Chojny na dwie części. Pomiędzy torami kolejowymi, a miastem znalazła się najludniejsza i znacznie już uprzemysłowiona część osady. Poza torami pozostały tereny Chojen o charakterze przeważnie rolniczym. W 1906 r. Dąbrowa i Nowe Chojny włączone zostały do Łodzi. Reszta Chojen, przekształcona w odrębną gminę, aż do ostatniej wojny pozostawała poza obrębem miasta.

Południowe przedmieście Łodzi, chaotycznie zabudowane przeczyło wszelkim zasadom urbanistyki. Wąziutkie uliczki, obrzeżone ciasno stłoczonymi, przeważnie drewnianymi domami, pozbawionymi podstawowych urządzeń sanitarnych — oto obraz Chojen z okresu kapitalistycznego. W ubogich, przeważnie jednoizbowych pomieszczeniach, w ogromnej większości zamieszkiwał proletariat fabryczny Każdego dnia, na odgłos syren, robotnicy pośpiesznie opuszczali swoje izdebki, udając się w długie wędrówki do miejsc zatrudnienia. Chłonęły ich mury fabryk Scheiblera, Geyera, Leonhardta.

Stare Chojny długo jeszcze zachowały swój na pół rolniczy charakter. Malownicze położenie wsi nad brzegiem rzeczki, u podnóża wzgórz morenowych sprawiło, że spełniała ona w jakimś stopniu rolę ośrodka rekreacyjnego. Dolina Olechówki z jej łąkami i stawami była ulubionym miejscem niedzielnego wypoczynku mieszkańców Chojen i południowych dzielnic Łodzi.

W latach dwudziestych naszego stulecia wiekowy kościółek chojeński został rozebrany. Na jego miejscu stanęła okazała murowana świątynia, górująca swoimi wieżami nad okolicą. Jedyną pozostałością architektoniczną z dawnych lat jest stary dworek Górskich. Uznany za zabytek, po gruntownym remoncie służy teraz celom turystyczno-wypoczynkowym.

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

ZŁY DZIEŃ

Zdarza się czasem, że ktoś ma tzw. zły dzień. Taki właśnie dzień miała niedawno telewizja. Zaczęło się to już w Dzienniku, gdzie Adam Bronikowski zajął się problemem kalkulacji cenowych producentów. Oczywiście i sam problem i jego ocena przez komentatora nie budzą wątpliwości.

Bieda była tylko egzemplifikacją. Operując przykładami konkretnych zakładów powiedziano prawdę, ale nie do końca. Oto, rzucono gromy na hutę szkła w Garwolinie za zawyżone ceny flakonów do perfum. Lecz dlaczego na hutę, skoro ona tylko wypełniła polecenie zjednoczenia, co zresztą wynikało z przedstawionego dokumentu. A dlaczego zjednoczenie wydało takie — niezgodne z normą — zarządzenie? Dalej komentator już nie sięgnął.

Postawiono też nieszczęsnej hucie zarzut, że flakony do perfum „Pani Walewska" skalkulowała w cenie 20 zł, podczas gdy koszt produkcji wynosi tylko sześć złotych. No, cóż, zysk 14 zł na sztuce nie jest znów taki wielki, znam większe — p. Bronikowski również. Szkoda, że nie sięgnięto do przykładów naprawdę zawyżonych kalkulacji przedsiębiorstw. Warto zresztą spojrzeć na owe flakoniki z Garwolina także od innej strony. Otóż dotychczas „Pollena" kupowała opakowania do „Pani Walewskiej" po... 40 zł sztuka, sprowadzając je z zagranicy. A zatem huta zmniejszyła koszty perfum o całe 20 zł.

Zaatakowano także przedsiębiorstwo komunalne w Ursusie, za zawyżoną kalkulację instalacji np. baterii łazienkowych. Oczywiście w referenta od usług w Ursusie można bić jak w bęben, ale owa urzędniczka powiedziała prawdę, która jakoś umknęła uwadze komentatora TV. Otóż cenniki usług noszą datę sprzed kilkunastu lat, dziś są po prostu bezużyteczne. Wiadomo natomiast, że odpowiednie przepisy państwowe nie pozwalają na działalność gospodarczą przynoszącą... straty. Jeśli instalację baterii łazienkowej przedsiębiorstwo komunalne w Ursusie (i gdzie indziej) ma wyceniać (zgodnie z cennikiem) na 30 zł, to po prostu woli takich usług nie wykonywać. Niestety — komentator TV nie zechciał podrążyć nieco tego tematu.

Zły dzień miał również „Pegaz". Przypomniano w programie postać przedwcześnie zmarłego aktora, Zdzisława Maklakiewicza, pod hasłem „Aktor niewykorzystany". No cóż, Maklakiewicz grał dużo i grał pięknie, ale były to głównie epizody. Złożyło się na to wiele przyczyn, o których ci, co go znali, wiedzą dobrze — napomykał też o tym niedawno w „Kulturze" Krzysztof Mętrak. Czy jednak był to aktor „niewykorzystany", jak chce „Pegaz"? W pewnym sensie tak ale z materiału telewizyjnego dowiedzieliśmy się, że był to aktor niewykorzystany także przez... Telewizję. Otóż — oświadczył Jerzy Gruza — Maklakiewicz napisał scenariusz dla TV i właśnie ów ponoć ciekawy i oryginalny materiał gdzieś zapodział się w telewizyjnych archiwach.

Z pewnością skala talentu Zdzisława Maklakiewicza — i jako aktora, i jako człowieka pełnego inwencji, pomysłów i koncepcji — nie została w pełni wykorzystana. Ale nie jest to — jak chce „Pegaz" — wina reżyserów. Sprawa jest bardziej złożona, ale złożone sprawy nie mają w telewizji powodzenia.

Zofia Nałkowska napisała bardzo dużo książek, stanowczo za dużo jak na pojemność pamięci telewizyjnego komputera. W tym samym „Pegazie" poinformowano, że Ignacy Gogolewski reżyseruje film wg „Granicy" Nałkowskiej i powiedziano parę ciepłych słów na ten temat, pokazując migawki z planu zdjęciowego.

Mogę zrozumieć, że reporter TV był akurat w szkole, gdy przerabiano „Granicę" i tylko ten tytuł w głowie mu pozostał. Nie mogę jednak zrozumieć, w jakim stanie umysłu znalazł się na planie zdjęciowym, skoro nie zorientował się, że Gogolewski akurat realizuje film z zupełnie innej powieści Nałkowskiej, mianowicie z „Romansu Teresy Hennert".

Stanowczo zły dzień miała Telewizja.

WIDOK

LEWYM OKIEM

SPECJALIŚCI NA DACHU

Sprawa BHP w przemyśle stanowi przedmiot czujnego zainteresowania zarówno specjalnie ku temu powołanych komórek, jak i dyrekcji oraz wszystkich szczebli zarządzania. W halach produkcyjnych, w kopalniach, przy maszynach i warsztatach, przy kierownicy i przy sterach obowiązują szczegółowo przemyślane zasady, ograniczające do możliwego minimum ryzyko wypadku. Prawda, że zasady te są niekiedy traktowane lekkomyślnie albo pomijane — ale też przypadki takie karane są surowo — i to właśnie w interesie człowieka, pracownika, nierzadko natomiast wbrew interesom produkcji samej w sobie. Prymat najwyższej wartości — życia i zdrowia człowieka — jest w ten sposób w pełni uhonorowany.

Ale to dotyczy tylko stanowisk pracy, i to tylko tej pracy, którą zwykliśmy nazywać fizyczną, a przy tym takiej, która wykonywaną jest zawodowo, w sposób zorganizowany. Do wielu dziedzin działalności ludzkiej opiekuńcze skrzydła BHP nie sięgają, lub sięgają niedostatecznie.

Przez wiele lat pracowałem w biurze, gdzie do niektórych pomieszczeń światło dzienne nie dochodziło nigdy! tam się zawsze pracowało przy jednej lampie, zawieszonej wysoko pod sufitem. Pochylone głowy zasłaniały własnym cieniem zapisane gęsto arkusze, urzędnicy mrużyli czerwone oczy, co roku dodawali jedną dioptrię do szkieł. Żaden przepis widocznie nie obligował kierownictwa do groszowej inwestycji: lampy na każde biurko. To wcale nie jest historia — dziś też odwiedzam takie biura, takie nie dogrzane i mroczne hale bankowe, i wciąż nie wiem: czy istnieją jakieś normatywy światła dla pracowników „umysłowych" — urzędników, projektantów, księgowych? A jeśli istnieją — czy ktoś próbuje je konsekwentnie egzekwować w imię Higieny Pracy, pisanej w ustawach dużą literą?

Obok biur — pałaców, biur czasami wyzywająco nowoczesnych w zestawieniu na przykład ze stareńką fabryczką, którą siedzący w tych pałacach urzędnicy zarządzają, istnieje mnóstwo przykładów wykonywania pracy umysłowej w warunkach bardzo złych, a przez nikogo nie kwestionowanych. Niedostateczne oświetlenie i ogrzewanie, brak powietrza, ogromny ścisk; brak elementarnych urządzeń sanitarnych, jedna toaleta na kilkadziesiąt osób, brak umywalni, rozchwiane schody i poręcze, zacieśnione do niemożliwości korytarze. W mojej bardzo długiej urzędniczej „karierze" przechodziłem mnóstwo kontroli, ale nigdy, ani razu nie zdarzyła się kontrola „po linii" BHP. Byliśmy bowiem tak zwaną jednostką nadrzędną, a więc nadbudową administracyjną, nie zakładem produkcyjnym.

Już dawno temu wprowadzono zakaz jazdy na motocyklu bez hełmu ochronnego. Mówi się o obowiązkowym stosowaniu pasów ochronnych w samochodach, tylko że podobno nie ma kto tych pasów produkować. Ale specjaliści od zakładania anten telewizyjnych skaczą sobie beztrosko po dachach i kominach na wysokości kilkunastu pięter, w deszczu, mgle, na wietrze i ślizgawicy. Od samego patrzenia ściska mnie w dołku — a pamiętam, że już przed pół wiekiem każdy fachowiec smarujący papę na dachu, poprawiający dachówkę, czyszczący rynny — musiał być obowiązkowo przywiązany liną do komina.

Mycie okien — o czym już wspomniałem — jest może sprawą prywatną każdego obywatela i niech tam sobie każdy ryzykuje, jak chce. Ale przecież okna są nie tylko w lokalach prywatnych. Myje się też okna w fabrykach, biurach, instytucjach. Myje się na klatkach schodowych — a robi to dozorca w ramach obowiązków służbowych, które nie powinny go narażać na służbowe nieszczęście. Czy żaden przepis nie wymaga zabezpieczenia przed wypadnięciem z okna, czy też przepisy są, tylko nikt ich nie egzekwuje?

Czy nikt nie zakazuje budowania długich, publicznych, masowo uczęszczanych schodów bez poręczy, na przykład w ulicznych przejściach podziemnych? Te schody też są często śliskie, zabłocone, mokre, a chodzą tamtędy także ludzie niesprawni i starzy. Czy kasy w sklepach muszą zawsze stać przy samych drzwiach, na największym przeciągu, skutkiem czego siedzące w nich kobiety są ciągle usmarkane i zachrypnięte? Czy to nie jest problem z zakresu BHP?

Wczoraj skręciłem nogę na schodach naszego bloku. Żarówki bowiem nie palą się nigdy — podobno instalacja zepsuta. Gdyby to była fabryka — dostałbym odszkodowanie, a tak — mogę tylko napisać felieton.

ĆWIEK

SPORT

NIE MA SPRAWY KAZIMIERZA DEYNY

Pamiętny mecz z Portugalią na Stadionie Śląskim w Chorzowie rozpoczął się od słynnego już gwizdania. Gwizdano przeciwko Kazimierzowi Deynie. Fakt ten został już osądzony, a chamstwo publiczności zgromadzonej na trybunach potępione. I słusznie. Nikt nie będzie bronił chamskiego zachowania się sportowej publiczności, tym bardziej że przyjmowanie gwizdami kapitana własnej reprezentacji jest działaniem na jej szkodę. Od meczu z Portugalią minęło już tyle czasu, że można sobie pozwolić na chłodną refleksję. Zadać pytanie: dlaczego?

Warto przypomnieć, że po Mistrzostwach Świata w Monachium polska reprezentacja, czyli trzecia reprezentacja nie spisywała się — łagodnie mówiąc — najlepiej. Przegrywała spotkania międzypaństwowe. Przegrała eliminacje do Mistrzostw Europy. Na Olimpiadzie w Montrealu nie potrafiła obronić złotego medalu i przegrała spotkanie z drużyną NRD. A trzeba tu dodać, że był to pierwszy i ostatni liczący się przeciwnik wśród olimpijskich finalistów. Te fakty spowodowały w świadomości kibiców — inaczej być przecież nie mogło — głęboki spadek zaufania do zawodników, którzy najpierw byli rewelacją w Monachium, a potem grali tak, jakby dokładnie zapomnieli o wszystkich swoich możliwościach i zaletach. Objęcie funkcji trenera-selekcjonera przez Jacka Gmocha wzbudziło nadzieję na odmłodzenie drużyny. Jego poczynania zdawały się te nadzieje potwierdzać. Budowana od nowa drużyna nie gwarantowała jednak sukcesu. Przegrywała mecze międzypaństwowe równie łatwo, jak dawna reprezentacja. W tej sytuacji trener Jacek Gmoch coraz częściej wracał do starego składu reprezentacji. Decydujące spotkania rozgrywała drużyna, której trzon stanowili zawodnicy z okresu Monachium.

Zostawmy w tej chwili rozważania, czy Jacek Gmoch postępował słusznie czy nie, bo nie o to chodzi. Dla wielu kibiców natomiast postępowanie Jacka Gmocha nie podlegało dyskusji: robił źle. Przekonanie takie mogło powstać tym łatwiej, że wielu czołowych reprezentantów srebrnej drużyny przeżywało kryzys i grało słabiej. Słabiej grał przez pewien czas Grzegorz Lato, kłopoty z formą miewa Andrzej Szarmach, a i sam Kazimierz Deyna nie zawsze gra jednakowo. Wszakże jednak Kazimierz Deyna był tym zawodnikiem, który rzadko tylko nie był powoływany do reprezentacji.

Jeszcze przed meczem z Portugalią „Sztandar Młodych" zaczął publikować listy czytelników, którzy wypowiadali się na temat gry Kazimierza Deyny. Wypowiadali się dobrze i źle. Część czytelników krytykowała postawę Kazimierza Deyny w meczach międzypaństwowych, a jego obrońcy przypominali o dawnych zasługach i sukcesach tego zawodnika. Gdyby takiej ocenie poddano któregoś z innych asów srebrnej drużyny, efekt byłby podobny. Wszystko zależałoby od momentu, w którym taka ocena byłaby dokonywana. Andrzejowi Szarmachowi na pewno przypomniano by głównie dawne zasługi, choć wydaje się, że obecnie powraca on do dobrej formy. O Grzegorzu Lacie pisano by z uznaniem, nie ulega bowiem wątpliwości, że piłkarz ten gra ambitnie, z ogromnym poświęceniem i skutecznie. Do gry Kazimierza Deyny wielu kibiców ma jednak ciągle poważne zastrzeżenia. Nic więc dziwnego, że to właśnie on stał się niejako uosobieniem braku zaufania do tej części reprezentacji, która zdobywała sukcesy w Monachium i ponosiła klęski po Monachium. Narastający rozdźwięk między nadziejami kibiców na nową, młodą reprezentację, która zagwarantowałaby przyzwoitą grę w Argentynie, a ciągle nie zadowalającą rzeczywistością, musiał więc znaleźć swój wyraz. Szkoda tylko, że stało się to w takiej formie, która musi budzić sprzeciw.

Coraz częściej daje się słyszeć głosy, że do Argentyny może pojechać nawet stara jedenastka z Monachium, byleby tylko dawało to szansę na sukces. Niektórzy uważają nawet, że tylko ta jedenastka (ewentualnie nieco uzupełniona) daje taką szansę. Kibicowi przez długi czas wmawiano, że w Argentynie powinniśmy wystąpić z czymś nowym: z nowym składem, z nowymi pomysłami, z nową taktyką. Jeżeli więc zwyciężą stare koncepcje, kibic będzie znów zawiedziony. I wcale się nie zdziwię, jeśli gdzieś przeciw komuś da temu wyraz. A cała rzecz chyba w tym, aby przestać traktować kibiców jako uprzykrzonych ignorantów.

BOGDA MADEJ

KOMUNIKAT

Uprzejmie zawiadamiamy naszych Czytelników i Współpracowników o zmianie adresu naszej redakcji. Od dnia 6 GRUDNIA br. będzie on brzmiał: Redakcja „Odgłosów", 90-438, Łódź, ul. MICKIEWICZA 12, tel. 619-75, 680-99, 677-70.

PROPOZYCJE

MIŁOŚĆ DO EKSPERYMENTÓW

Codzienna prasa doniosła nam kilka dni temu, że na posiedzeniu Komisji Zaopatrzenia Ludności i Usług Rady Narodowej miasta Łodzi rozpatrywany był projekt zmiany godzin urzędowania w sklepach. Referowany przez sprawozdawców prasowych projekt nie wnosi żadnych rewelacji. I nie jestem zupełnie pewny, czy trzeba tymi — bądź co bądź — technicznymi problemami absorbować radnych. Radni byli widać podobnego zdania, gdyż uwagę swoją skupili na zupełnie nowej sprawie. Ktoś zapropował, aby w wolne soboty... wszystkie sklepy w Łodzi były zamknięte. Ktoś inny uznał to za wielce interesujący pomysł. Rozgorzała dyskusja, a jeszcze ktoś inny pomysł ten podniósł do rangi... łódzkiego eksperymentu. Na szczęście, aby słowo ciałem się stało potrzebna jest zgoda ministerstwa handlu wewnętrznego i usług.

W rejestrze naszych narodowych wad i zalet poczesne miejsce zajmuje miłość do eksperymentowania. Miłość ta bierze się z przeświadczenia, że ani przed nami, ani obok nas nikt nie myśli, nie działa, nie projektuje, nie ma pomysłów. Wszystko, co sami wymyślimy, co przyjdzie nam do głowy jest rewelacyjne, nowe, odkrywcze. W tym przeświadczeniu nie raczymy nawet zapoznać się z literaturą przedmiotu i skonfrontować nasze pomysły z praktyką innych, a także starać się dopasować do konkretnych warunków. W Poznaniu też eksperymentowano z wolną sobotą i „Trybuna Ludu" po tym eksperymencie nie bez powodu pytała: „czyim kosztem?". Przede wszystkim klienta.

Radni zgromadzeni na obradach wspomnianej komisji słusznie zauważyli, że na dni świąteczne ludzie wcześniej się zaopatrują, że dwa a nawet trzy dni świąt, jakie zdarzają się nam w zasadzie dwa razy do roku, nie wywołują tylu kłopotów co wolne soboty. Trzeba wszakże pamiętać, że zaopatrywanie się na tradycyjne i kilkudniowe święta rozpoczyna się znacznie wcześniej, że jest to z gruntu rzeczy cała akcja, wciągająca całą rodzinę, a poza tym ilość zgromadzonych zapasów wystarczy na znacznie dłużej niż same tylko święta. Jest to zupełnie inny problem.

Wolnych sobót mamy — jak do tej pory — 12 w roku i nie jest to wcale ani specyfika łódzka, ani tym bardziej polska. Wolne soboty i to wszystkie w roku są już od dawna znane na świecie i mają je również nasi najbliżsi sąsiedzi. Nic więc prostszego, jak pojechać tam i skonfrontować ich doświadczenia z naszymi, ich system funkcjonowania z naszym, ich stan zaopatrzenia i nasz, i wyciągnąć z tego praktyczne wnioski, jeśli już te 12 wolnych sobót w roku musi koniecznie być problemem wartym ogólnonarodowej dyskusji.

Mamy na koncie rozwoju społecznego niewątpliwe osiągnięcia i powinniśmy się tym cieszyć. Musimy sobie jednak zdawać sprawę i z tego, że rosnący status społeczny obywatela naszego kraju rodzi również zjawiska ujemne. Łatwość korzystania z usług służby zdrowia sprzyja nie tylko poprawie stanu zdrowia społeczeństwa, ale i przyczynia się do wzrostu absencji w biurach i przedsiębiorstwach produkcyjnych. Łatwość dostępu do oświaty wszelkich szczebli powoduje, że zainteresowanie społeczne zwraca się w kierunku dziedzin wiedzy bardziej atrakcyjnych, gwarantujących przyszłym specjalistom wyższy status społeczny, uznanie ludzi, popularność i możliwość stworzenia sobie i rodzinie warunków życia opartych na wysokim poziomie materialnym. Nie przypadkiem przecież zawsze wielu jest kandydatów do zajmowania stanowisk kierowniczych, a nie ma kto sprzątać, wywozić śmieci, rano roznosić mleka. Jakiś młody człowiek słusznie zauważył niedawno, że jakoś ludzi do pracy w biurach nigdy nie brakuje, a w fabrykach, na budowach, na roli — brakuje nieustannie.

Możemy się cieszyć z tego, że stworzyliśmy ludziom warunki do realizacji ich marzeń i ambicji. Ale warto od czasu do czasu zanucić sobie starą piosenkę, w której autor pouczał nas, że aby ktoś mógł spać, ktoś inny musi czuwać. O tej zasadzie trzeba pamiętać, też i w okresie dyskusji o organizacji zaopatrzenia w wolne soboty. Jest nieprawdą, że handel może w piątek dostarczyć klientom to wszystko, co im jest potrzebne na dwa wolne dni. Nasz handel jeszcze tego nie potrafi. Tenże sam sprawozdawca „Dziennika Popularnego", który informował o dyskusji nad zamiarem eksperymentalnego zamienienia Łodzi w handlową pustynię w każdą wolną sobotę, brał udział w reporterskim rajdzie właśnie w wolną sobotę, 19 listopada 1977 roku, badając z kolegami tylko zaopatrzenie w świeże pieczywo. Rezultaty penetracji dziennikarskiej nie były optymistyczne. A klienci znają to przecież z autopsji.

Każdy chciałby mieć wolną sobotę: i kolejarze, i tramwajarze, i pracownicy elektrowni, i pracownicy radia i telewizji. Wszyscy. Ale niestety jest to niemożliwe. Aby jedni mogli wypoczywać, inni muszą pracować. Dlatego dla nich czas wolny musi przypadać w innym dniu. Takie jest życie i warto o tej zasadzie pamiętać we wszelkich dyskusjach o wolnych sobotach. I warto pamiętać, że słowo eksperyment ma określony sens, którego lepiej nie nadużywać.

MARCIN RODAK

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-102. Telefony 652-44 i 217-98 oraz 293-00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Nr indeksu 26762. Zam. 2518, W-2.